



Pod skrzydłami ŻURAWI

Czasami nie rozumiemy drogi, którą podążamy,
dopóki jej nie przejdziemy

MONIKA CIELUCH

AMARE



Pod
skrzydłami
ŻURAWI

MONIKA CIELUCH

AMARE

„Czasami dopiero na końcu drogi dane nam jest zrozumieć, dlaczego
musieliśmy ją przejść”^{*}

Z dedykacją dla Dziewczyn z grupy *Książki emocjami pisane*.
Dziękuję, że byłyście ze mną, gdy świat brutalnie runął mi na głowę.
To dzięki Wam powstała ta historia.



^{*} Źródło internetowe, autor nieznan.



PROLOG

Flynn

Niebo przybrało kobaltowy kolor. Wiatr wzmagał się z każdą chwilą i lizał chłodem moje policzki, śmiało tarłosząc jasne włosy. Stałem na klifie i nasłuchiwałem fal, które rozbijały się o brzeg. Poruszyłem palcami bosych stóp, czując pod nimi przyjemny chłód trawy. Nie mogłem oderwać wzroku od okrętu przemierzającego bezkres oceanu. Kiedyś będę taki jak on. Wolny i niezniszczalny. Odważnie pokonam wzburzoną codzienność w poszukiwaniu bezpiecznego portu. Portu, spowitego ciszą i samotnością...

Kiedyś to zrobię.

Osiądę w miejscu, w którym będę bezpieczny...

Live

Podobno w gwiazdach została zapisana nasza przyszłość. Jeśli wierzyć mędrcom, nie unikniemy tego, co jest nam pisane. A mimo to często nie wierzymy w przeznaczenie.

Jesteśmy na nie ślepi.

I to jest naszym największym błędem.



Rozdział 1

Południowa Anglia, hrabstwo Dorset

Flynn

– Flynn! Tylko nie spóźnij się na obiad! – Wsunąłem do plecaka dwie paczki suszonych rodzynek i butelkę oranżady. Spojrzałem na mamę, która stała na ganku domu i wycierała dłonie w kuchenną ścierkę. Wiatr bawił się jej kwiecistą sukienką, której barwy w promieniach letniego słońca wydawały się jeszcze bardziej intensywne. Pełen obaw, że nawet z odległości kilkunastu metrów zorientuje się, że coś knuję, czułem, jak serce biło mi silniej niż zazwyczaj. Spuściłem wzrok, by następnie odpowiedzieć:

– Nie spóźnię się! – Założyłem plecak i nim wsiadłem na rower, podciągnąłem bawełniane skarpetki niemal pod same kolana. Platforma jednego pedału była uszkodzona i już kilkakrotnie dość boleśnie zraniła mi nogę. Tym razem postanowiłem tego uniknąć.

– Masz kategoryczny zakaz zbliżania się do wody! Nie zapomnij o tym, jeśli nie chcesz, by ojciec sprzął ci skórę! – Skończyła wycierać dłonie w ścierkę, przerzuciła ją przez ramię i pogroziła mi palcem. – Pamiętaj o tym, Flynn!

– Będę pamiętał! – odkrzyknąłem i wsiadłem na rower, by po chwili opuścić podjazd i zacząć kierować się w stronę domu przyjaciela, który mieszkał na drugim

końcu wsi. To właśnie dla niego, po kryjomu, zwinąłem z kuchni rodzynki. Wiedziałem, że je lubi. Ja natomiast lubiłem Ervina. Był moim najlepszym kumplem i świetnym rowerzystą. Już dawno potrafił jeździć bez trzymania rękami kierownicy, czego szczerze mu zazdrościłem. Potrafił też szybciej biegać i bić się znacznie lepiej niż ja. Gdy w trzeciej klasie syn McGregorów próbował utopić mnie w sedesie w jednej ze szkolnych toalet, z pomocą przyszedł mi właśnie Ervin. Od tego dnia w zasadzie staliśmy się nierozłączni. Byliśmy dla siebie jak bracia.

Pedałowałem intensywnie, czując zapach powietrza przesyconego wonią gorącego asfaltu, na powierzchni którego tworzyły się czarne bąble. Musiałem sprawnie manewrować kierownicą roweru, by nie wjechać w smołę, która mogłaby oblepić opony. Kiedyś mi się to przytrafiło i tata bardzo się zdenerwował. Z tego powodu dostałem karę i przez dwa dni nie mogłem wyjść na dwór.

Otarłem prawym przedramieniem spocone czoło, wciąż nie przestając mrużyć oczu z powodu oślepiającego słońca, które dziś grzało wyjątkowo intensywnie. Rosnące wzdłuż drogi strzeliste topole wdzięcznie szumiały i co rusz otulały mnie swoim cieniem, przynosząc odrobinę ulgi. Zaschło mi w gardle i nagle świadomość, iż mam w plecaku butelkę chłodnej oranżady, wydała mi się bardzo pocieszająca. Skręciłem w polną ścieżkę i dostrzegłem Ervina. Czekał na mnie, tak jak się umawialiśmy, tuż obok obalonego dębu. Jego srebrny rower pobłyskiwał w promieniach letniego słońca, a postać przyjaciela wydawała się nieco bardziej smukła niż zwykle. Poczułem w ustach smak unoszącego się w powietrzu kurzu, gdy wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. Uniosłem prawą rękę, chcąc mu pomachać, i straciwszy równowagę, w ostatniej chwili zeskoczyłem z roweru, dzięki czemu uniknąłem upadku.

– Sierota z ciebie, Flynn! – zaśmiał się Ervin, zginając się wpół. – Nigdy mi nie dorównasz – dodał po chwili i odwrócił czapkę bejsbolową daszkiem do tyłu.

Podniosłem rower, czując niewielkie zawstydzenie. Tak, Ervin miał rację, nigdy nie będę tak dobry jak on ani w jeździe na rowerze, ani w grze w piłkę, ani...

– Ścigamy się? – rzucił z łobuzerskim uśmiechem. – Kto pierwszy na klifach! – zdążył jeszcze krzyknąć, nim wskoczył na rower i zaczął pedałować z taką prędkością, że wznoszący się w powietrzu kurz niemal całkowicie go przysłonił. Nie chcąc stracić cennego czasu, zrezygnowałem z napicia się oranżady i wciąż czując w ustach suchość, wsiałem na rower. W myślach powtarzałem, że jestem w stanie dogonić Ervina. Pedałowałem zaciekle, jakby od wyniku wyścigu zależało co najmniej moje życie. Kilkakrotnie wpadłem w dziury, co boleśnie odczuła moja pupa. Z każdym pokonywanym metrem pot zalewał mi oczy, a mięśnie ud i łydek piekły niemiłosiernie.

Gdy zbliżyliśmy się do klifów, przyjemny wiatr zaczął owiewać moją twarz, wilgotny kark i plecy. Jeszcze tylko kilometr, może dwa, i dotrzemy do celu. Dam radę! Mogę to zrobić! Dogonię Ervina i wówczas będzie musiał odwołać to, co powiedział.

– Nigdy mnie nie dogonisz, Flynn. Nigdy!

Ostatnie metry pokonałem, z trudem łapiąc oddech. Miałem wrażenie, że płuca trawi mi ogień. Ervin rzucił swój rower na ziemię i zacisnął dłoń na moim barku.

– Jesteś coraz lepszy – dodał na pocieszenie. Zsunąłem z ramienia jego rękę, następnie plecak, z którego wyjąłem oranżadę, i wciąż nie mogąc wydusić z siebie słowa, upiłem kilka łyków, a gdy skończyłem, spytałem:

– Chcesz?

– A nie napłułeś, gdy piłeś? – Skrzywił się.

– Nie naplułem.

Chwycił za butelkę i nim przyłożył do ust, uniósł ją w stronę słońca.

– Dobra. Zimna – ocenił, gdy skończył pić.

– Mam też rodzyнки. – Wyjąłem dwa pudełeczka, z których jedno podałem Erwinowi.

– Super! – skomentował. – Ja mam coś lepszego. – Ruszył przed siebie, następnie spojrzał przez ramię i przywołał mnie ruchem ręki. Usiadł w cieniu, który rzucał na ziemię rokitnik zwyczajny, i otarłszy przedramieniem czoło, zaczął intensywnie przeszukiwać plecak. Zająłem miejsce tuż obok niego i ponownie upiłem kilka łyków oranżady.

– Podkradłem dziadkowi. Jest już niemal ślepy, nie zauważy. – Otworzył metalowe pudełko, w którym zwykł nosić przybory szkolne, i ruchem głowy wskazał na cztery papierosy i zapalki.

– No nie wiem...

– Serio! Wczoraj rano miał problem ze znalezieniem własnych kapci, nie ma szans, by zauważył, że brakuje mu czterech szlugów. – Obserwowałem, jak ze spokojem na twarzy wyjął papierosa z pudełka, włożył go do ust i chwycił za zapalki. Poczulem w powietrzu zapach siarki mieszający się z morską bryzą, gdy Ervin zbliżył płomień do wystającego z bibułki tytoniu. Zaciągnął się mocno, jakby palił nie po raz pierwszy, następnie wypuścił dym z ust i uśmiechnął się szeroko.

– No dalej, Flynn, nie bądź cykorem – powiedział, podając mi pudełko.

– Nie wiem, czy potrafię – wyznałem, wciąż walcząc z poczuciem, że to, co robimy, zasługuje na potępienie. Gdyby tata się o tym dowiedział...

– Jasne, że potrafisz, to proste. Rób tak, jak w filmach. Wciągasz powietrze i po chwili wypuszczasz je z ust. Dasz radę. – Szturchnął mnie ramieniem w bok,

zachęcając do spróbowania. Nieco nerwowo spojrzałem za siebie, jakbym chciał mieć pewność, że nikt nas nie zobaczy. Wsunąłem papierosa do ust, a Ervin w tym czasie zapalił zapałkę i ochraniając płomień dłonią, przysunął go do bibułki. – Dalej, zaciągnij – zachęcał, a ja posłusznie wykonałem jego polecenie. – Mocniej! – naciskał. Wciągnąłem do płuc większy haust dymu nikotynowego i poczułem w nich palący ból. Oczy zaszyły mi łzami. Wyjąłem z ust papierosa i zacząłem kaszleć tak bardzo, że w pewnej chwili bałem się, że zwymiotuję.

– Ale z ciebie cienias... – zaśmiał się Ervin i po raz kolejny zaciągnął się papierosem. – Musisz potrenować. Każdy kolejny smakuje lepiej – zapewniał, a ja wciąż walczyłem o oddech.

– Jak dorośli mogą to palić? – wydusiłem z siebie, gdy w końcu zapanowałem nad kaszlem.

– Nie jest tak tragicznie, nie przesadzaj. – Zaciągnął się po raz kolejny. Byłem zdziwiony, że nie kaszle jak ja. Najwyraźniej miał już doświadczenie w tej kwestii.

– Wiesz, że Molly z czwartej klasy mnie pocałowała? – Uniósł brew i poruszył nią kilkakrotnie.

– Poważnie?

Potaknął, ponownie włożył do ust papierosa i skrzyżował nogi w kostkach. Patrzyłem na żarzący się ogień, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, z jaką łatwością przychodzi Erwinowi palenie, podczas gdy mnie jedno zaciągnięcie niemal zwęgliło płuca.

– Jak było? Podobało ci się? – dociekałem.

– Szczerze?

– Tak. – Poruszyłem się niespokojnie.

– To jeszcze bardziej obrzydliwe niż palenie papierosów.

– Dlaczego?

– Okropnie się śliniła – wyznał bez ogródek, po czym wypuścił dym z ust.

– Faj – jęknąłem, krzywiąc się na samo wyobrażenie ich pocałunku.

– No... To tylko w filmach wygląda tak fajnie.

– Nigdy nie będę się całował. – Pokręciłem głową, rzuciłem na trawę papierosa i właśnie miałem go przygnieść butem tak, jak zazwyczaj robił to mój tata, ale Ervin mnie przed tym powstrzymał.

– Zwariowałaś?! Wiesz, ile trudu mnie kosztowało, by wykraść dziadkowi fajki? – Trzymając swojego papierosa w ustach, podniósł mojego, następnie wsunął jego końcówkę pod czubek buta, by ugasić żarzący się ogień. Gdy już to zrobił, oderwał zmiażdżoną część, by resztę papierosa odłożyć do metalowego pojemnika

z przyborami szkolnymi. Otworzyłem pudełko z rodzynkami i wysypałem kilka sztuk na dłoń. Ervin zrobił dokładnie to samo.

– Znasz zabawę w wyzwanie? – zapytał, wciąż przeżuując suszone owoce.

– Nie. – Spojrzałem na niego i zmrużyłem oczy. – To jakaś nowa gra?

– Czy nowa, to nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Ale na pewno jest ciekawa. Trevor, wnuk państwa Parkers, wylądował przez nią w szpitalu.

– Ten Trevor, co ma rude włosy i piegi na całym ciele? – spytałem, chcąc mieć pewność.

– Tak – potwierdził. – Jest Irlandczykiem. Wszyscy Irlandczycy są rudzi i piegowaci – podsumował. Nie do końca się z nim zgadzałem. Nasz sąsiad pochodził z Irlandii i nie był rudy. Nie miał też piegów, za to mówił z dziwnym akcentem, trochę tak, jak bohaterowie jednej z kreskówek. – Wjechał rowerem pod samochód. Podobno grał z synem McGregorów właśnie w wyzwanie. Założyli się o to, kto odważy się wyjechać na ulicę i nie uciec przed nadjeżdżającym z naprzeciwka samochodem. No i wygrał McGregor, zresztą jak zawsze... – Ponownie wzruszył ramionami i wsypał do buzi resztę rodzynek.

– Co z Trevorem? – spytałem, a następnie czubkiem buta wykopałem niewielką dziurę w ziemi. Wrzuciłem do niej papierowe pudełko po rodzynkach, które ukryłem w obawie, że gdybym włożył śmieć do plecaka, mama mogłaby się zorientować, że podebrałem łakocie bez jej wiedzy. Często sprawdzała mi plecak, by upewnić się, czy zjadam w szkole drugie śniadanie.

– Słyszałem, jak pod kościołem jego matka mówiła, że cały jest w gipsie i że szybko do domu nie wróci.

– Biedny Trevor... – powiedziałem ze współczuciem.

– Nie biedny, tylko głupi. To cienias, ot i co! – Ervin wstał, założył plecak na ramiona i zaczął podnosić rower.

– Już wracamy? – spytałem. Jeszcze raz powiodłem wzrokiem po lazurowej wodzie i krawędzi klifu, który dumnie wznosił się nad znajdującą się pod nim plażą. Czułem, jak piekły mnie policzki i kark, najpewniej od słońca, które grzało dziś niemiłosiernie.

– No co ty! – Posłał mi oburzone spojrzenie. – Dwie mile stąd znajduje się niewielka wieś, a w niej sklep, który sprzedaje najlepsze lody w tej części hrabstwa. Mam kasę – rzucił wyraźnie dumny z siebie. – Są naprawdę pyszne. – Mrugnął zawadiacko i wciąż uśmiechając się nieco łobuzersko, przełożył nogę ponad ramą roweru. – Na pewno będą ci smakowały.

– Skąd masz pieniądze? Dostałeś je od mleczarza, któremu pomagasz rozwozić mleko? – dopytywałem. Tak jak Ervin zarzuciłem plecak na ramiona i upewniłem się, że moje skarpetki nie zsunęły mi się z łydek, by w końcu podnieść rower i przyszykować się do jazdy.

– Nie. Pieniądze od mleczarza zbieram na model do sklejania. Kupię sobie Bismarcka. Będzie piękny. – Odepchnął się nogą i ruszył przed siebie, spokojnie pedałując. Zrobiłem to samo i już po chwili zjeżdżaliśmy stromą i krętą ścieżką w dół klifów, a ja uważałem, by nie najechać Erwinowi na tylne koło.

– To skąd masz pieniądze? – dociekałem.

– Z kieszeni spodni dziadka. – Spojrzał przez ramię i wyszczerzył się, ukazując komplet białych zębów.

– Ukradłeś mu?

– Pożyczyłem. – Zaśmiał się, by po chwili krzyknąć: – Kto pierwszy na dole! – Zaczął pedałowac z całych sił. Tuman kurzu wzbił się w powietrze. Zacisnąłem mocniej dłonie na kierownicy i puściłem się za przyjacielem. Tym razem nie przegram. Nie ma takiej opcji. Pedałowałem najszybciej, jak potrafiłem, nie zważając na dziury i wystające z ziemi kamienie. Sprawnie omijałem przeszkody, zbliżając się do Ervina. W pewnej chwili do oka wpadł mi jakiś owad, ale dzielnie sobie radziłem, pedałując tylko z jedną uniesioną powieką.

– Flynn! Pedałujesz jak dziewczyna! Nie wygrasz ze mną! – krzyknął, odwracając głowę w moim kierunku. Przyspieszył jeszcze bardziej. Zrobiłem to samo. Droga stawała się coraz bardziej kręta i niebezpieczna. Zarzucało mną na każdym z zakrętów i kilka razy niemal straciłem równowagę. Ervin wciąż się oddalał, a ja zaczynałem wątpić w to, że go dogonię.

– Zwolnij! – zawołałem. – Robi się niebezpiecznie! – Delikatnie nacisnąłem hamulec. Rower zachwiał się, ale utrzymałem równowagę. – Słyszysz?! Zwolnij! – nalegałem, ale Ervin w ogóle nie reagował. Spojrzał na mnie przez ramię, uśmiechnął się szeroko i ponownie krzyknął:

– Nigdy mnie nie dogonisz, Flynn! Nigdy!

A potem wszystko stało się zbyt szybko. Ervin zniknął za zakrętem. Usłyszałem jego przerażający wrzask i dźwięk czegoś ciężkiego, obijającego się o skały. Zeskoczyłem z roweru. Hamując nogami, wzbiłem w powietrze kurz i drobne kamienie. Gdy w końcu się zatrzymałem, rzuciłem rower na ziemię i z dziko bijącym z przerażenia sercem pobiegłem ile sił w nogach wzdłuż ścieżki. Nigdzie nie widziałem Ervina. Zrobiło się cicho. Zbyt cicho. Ustał wiatr i skrzek mew, fale jakby zamarły w bezruchu. Ciężko dysząc, zacząłem się rozglądać z nadzieją, że Ervin robi

sobie ze mnie żarty. Zgiąłem się w pół, oparłem dłonie o kolana i mrużąc oczy od słońca, nadal wzrokiem przeszukiwałem teren.

– Ervin, nie wygłupiaj się! Wygrałeś! – krzyknąłem resztką sił. – Słyszysz? Wygrałeś! – I wtedy je zobaczyłem. Ślady hamowania. Ostrożnie podszedłem do krawędzi drogi, za którą znajdowało się urwisko. Zrobiło mi się gorąco, a łzy napłynęły do oczu. Nogi pode mną drżały. Najpierw przykucnąłem, następnie położyłem się na brzuchu i zacisnąwszy dłonie na suchej trawie, która porastała klify i zbocze, przyciągnąłem się do krawędzi urwiska, by bezpiecznie spojrzeć w dół. Rozplakałem się, gdy na jednym z ogromnych kamieni dostrzegłem ślady krwi, w oddali zaś rower Ervina. Tak jak rano skrzył się w promieniach słońca wszystkimi barwami tęczy.

Patrzyłem na klatkę, którą w dłoniach trzymał tata. W jej wnętrzu biegał szary chomik. Mama potarła moją czuprynę i uśmiechnęła się delikatnie. Przykucnęła tuż obok mnie i nieco nerwowym ruchem poprawiła mi kołnierzyk od koszulki polo.

– Flynn, kochanie, to twój nowy przyjaciel. Pomyśleliśmy z tatą, że jego obecność w naszym domu sprawi ci radość – mówiła słodkim głosem, tak jak w chwilach, w których się bałem, bo śniły mi się nocne koszmary. Widziałem, jak łzy zbierają się w jej oczach, jak próbuje nad nimi zapanować. Ostatnio ciągle wyglądała na smutną. Tata również.

Gdy dowiedziała się o wypadku, nawet na mnie nie krzyczała. Chyba bała się, że też mogłem umrzeć. Wciąż powtarzała, że nie wie, co by zrobiła, gdyby coś mi się stało. Tata też nie krzyczał. Nie dostałem żadnej kary. Chyba nawet nie byli na mnie źli.

– To jak nazwiesz swojego nowego przyjaciela? – spytała, dłonią gładząc mój policzek.

– Może Puszek? – zaproponował tata.

– Puszek brzmi świetnie! – Mama najpierw spojrzała na tatę, potem na mnie. Pokręciłem głową. Od dnia, w którym Ervin spadł z klifu, przestałem się odzywać. Straciłem zdolność mówienia i nikt nie mógł mi pomóc w jej odzyskaniu. Nawet lekarze. – Nie podoba ci się imię Puszek? To może zaproponujesz coś innego? – zasugerowała. Na jej twarzy pojawiło się zmartwienie. Wstałem, podszedłem do stolika i chwyciłem notes, z którym nie rozstawałem się od ostatnich tygodni. Ująłem w dłoń ołówek i przygryzając końcówkę języka, w skupieniu napisałem swoją propozycję, a gdy skończyłem, podszedłem do mamy i wręczyłem jej notes.

– Ervin? Tak chcesz nazwać swojego chomika? – spytała drżącym głosem, a ja energicznie potaknąłem głową. Mama się rozplakała. Nie wiem dlaczego. Chyba nie

spodobało jej się imię, które wybrałem dla chomika.

– To nie twoja wina, Flynn. Tak się czasami zdarza. – Patrzyłem na kartonowe pudełko, w którym leżał martwy chomik. Nie wiem, dlaczego zdechł. Dbałem o niego najlepiej, jak umiałem. Pamiętałem, by wsypywać mu karmę i napełniać miseczkę wodą. Bawiłem się z nim, przytulałem, chociaż to nie zawsze było łatwe, bo Ervin był wyjątkowo szybkim gryzoniem. Własnoręcznie zbudowałem mu tor przeszkód z klocków Lego i pustych rolek po papierowych ręcznikach. Gdy wczoraj, tuż przed snem, bawiłem się z nim, to wyglądał na szczęśliwego. W końcu przestał mnie gryźć i byłem pewien, że nareszcie się zaprzyjaźniliśmy. Jednak dziś rano, gdy przyniosłem mu liść sałaty, już po niego nie przyszedł. Był martwy. Nigdy więcej żadnemu zwierzakowi nie dam na imię Ervin.

– Flynn, chcesz, żebym sam zakopał chomika czy wolisz zrobić to ze mną? – Po raz kolejny spojrzałem na papierowe pudełko i dziwnie wykrzywione ciało gryzonia, następnie odwróciłem się i bez słowa ruszyłem w stronę drzwi wyjściowych. Nie chciałem patrzeć, jak tata zakopuje mojego przyjaciela. Bałem się, że będę płakał. Tęskniłem za moim chomikiem, tak jak za prawdziwym Ervinem. Po śmierci przyjaciela zostałem sam. Nikt nie chciał się ze mną przyjaźnić. Miałem tylko chomika. Do wczoraj...

Podniosłem z ziemi piłkę i zacząłem ją kozłować, a gdy stanąłem na wprost kosza, oddałem celny strzał. Patrzyłem, jak piłka prześlizguje się przez siatkę, by spaść na posadzkę i potoczyć się po ulicy w stronę zarośli. Ervin byłby ze mnie dumny – pomyślałem. Upewniłem się, że nic nie jedzie, i pospiesznie przebiegłem przez ulicę. Nie zważając na pokrzywy, wszedłem w krzaki i właśnie miałem podnieść piłkę, gdy w oddali usłyszałem ciche popiskiwanie. Zaciekawiony tym dźwiękiem zrobiłem kilka kroków naprzód, uważając, by suche gałęzie nie podrapały mi twarzy. Tuż przy czarnej topoli siedział niewielkich rozmiarów psiak. Miał smutny wyraz oczu i cichutko skomlał. Na mój widok zamerdał ogonem. Zauważyłem, że na szyi miał czerwony sznurek, którego drugi koniec był przywiązany do drzewa. Spokojnie podszedłem do szczeniaka, przykucnąłem i spojrzałem w najbardziej smutne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Ostrożnie wysunąłem dłoń do przodu, a wówczas szczeniak polizał ją spontanicznie i radośnie szczeknął. Dostrzegłem, że końcówka jego merdającego ogona jest biała, tak samo jak łatka na jednej z przednich łap, co stanowiło wyraźny kontrast dla ciemnej sierści. Odważyłem się unieść dłoń i pogłaskać psa po grzbiecie. Wtedy on stanął na tylnych łapkach i zaczął zabawnie poruszać przednimi, tak jakby błagał o to, bym go uwolnił. Nie zwlekałem. Pobiegłem do garażu taty, z którego

zabrałem nóż do tapet, i odciąłem sznurek. Następnie chwyciłem jego końcówkę i wraz z psem udałem się do ogrodu. Z drewnianej szopki wyjąłem plastikową doniczkę i napełniłem ją wodą. Gdy Buddy (bo tak postanowiłem nazwać szczeniaka) pił wodę, ja pobiegłem do lodówki, z której wyjąłem dwie parówki. Wsunąłem je pod bluzkę i nie wzbudzając żadnych podejrzeń rodziców, przemyciłem je do ogródka. Buddy uwielbiał parówki! Zjadł je błyskawicznie, a następnie wskoczył mi na kolana i polizał mnie po buzi.

– Pies to odpowiedzialność, Flynn. Będziesz musiał się z nim nie tylko bawić, ale również wyprowadzać go na spacer – powiedziała mama, gdy jechaliśmy do kliniki weterynaryjnej. –Pozwolimy ci go zachować, jeśli nie będziemy mogli odnaleźć właściciela. Musisz jednak wiedzieć, że istnieje możliwość, iż psiak zwyczajnie komuś uciekł i ten ktoś może go szukać. – Wiedziałem, że szanse na to są małe. Gdyby tak było, Buddy nie zostałby przywiązany do drzewa. Mimo to potaknąłem energicznie głową, potwierdzając, że zrozumiałem. – Po prostu chciałabym oszczędzić ci rozczarowania, synku – dodała nieco zmartwionym głosem i podrapała psiaka za uchem. Buddy to lubił. Bardzo. Wciąż domagał się pieszczot. Nadstawiał głowę i mokrym nosem szturchał mnie w ramię, bym kontynuował głaskanie, które rozpoczęła mama. Zatopiłem dłonie w miękkiej sierści Buddy’ego, w myślach prosząc, by mógł ze mną zostać. Chciałem go zatrzymać. Chciałem, żeby został moim przyjacielem.

– Ani śladu chipa, niestety. – Doktor Stroke odłożył skaner, następnie zajrzał Buddy’emu najpierw do uszu, potem do pyska. – To młody psiak, sądzę, że może mieć około roku. Jest nieco niedożywiony, ale z tym sobie poradzimy.

Wyciągnąłem dłoń i zacisnąłem ją wokół dłoni mamy, chcąc zwrócić na siebie jej uwagę.

– Tak, Flynn, możemy go zatrzymać, ale jeśli znajdzie się jego właściciel, to wiesz, co to będzie oznaczało? – Potrząsnąłem głową i objąłem ramionami talię mamy, ona zaś palcami przeczesła moje jasne włosy. – Powinniśmy zacząć mu podawać jakąś specjalną karmę? – spytała.

– Nie ma takiej potrzeby. – Doktor Stroke dłońmi ugniatał brzuch psiaka, a on nie wyglądał na szczególnie zadowolonego. – Musimy go natomiast odrobaczyć i oczywiście zaszczepić.

Wolałem na to nie patrzeć. Nie lubiłem igieł. Odwróciłem się i dłońmi zasłoniłem oczy. Buddy nawet nie pisnął, taki był dzielny!

Nie było fali, której Buddy by się bał. Skakał przez nie jak szalony, szczekając i strasząc wszystkie mewy, które zebrały się w pobliżu z nadzieją na łatwy żerunek. Uwielbiał aportować, więc często wrzucałem mu piłkę do wody, a on zawsze potrafił ją znaleźć. Był wspaniały pod każdym względem. I był moim prawdziwym i jedynym przyjacielem. Nigdy nie opuszczał mnie nawet na krok. Razem spaliśmy w łóżku i wspólnie spędzaliśmy czas na dworze. I chociaż do rozpoczęcia roku szkolnego pozostał jeszcze tydzień, już teraz się bałem, że będę za nim tęsknił, gdy zacznę chodzić do szkoły.

Temperatura znacznie się obniżyła, a słońce zaczęło znikać za horyzontem. Siedzieliśmy na piasku i jedliśmy truskawkowy sorbet. Raz lizałem ja, raz Buddy, który miał ogromną słabość do łakoci.

– Flynn, proszę cię, przestań. To bardzo niezdrowe. Nie możesz częstować psa swoim lodem, zrozumiałeś?

Skinałem głową, ramieniem przyciągnąłem do siebie Buddy'ego i oddałem mu swój sorbet. Mama jęknęła, przewróciła oczami i nie chcąc na to patrzeć, odwróciła się do nas plecami, by wytrzepać piasek z koca, na którym wcześniej leżeliśmy.

– Chyba znalazłeś prawdziwego przyjaciela, synu. Mam rację? – Tata przysiadł obok mnie i parsknął cichym śmiechem na widok psa, który śliskim jęzorem łapczywie lizał truskawkowy sorbet, co rusz smakując również moich dłoni. – Flynn, powiedz, proszę: Bu-ddy – nalegał delikatnie. Pokręciłem głową. Wiedziałem, że nie będę w stanie tego zrobić. Nie umiałem. – Spokojnie, nie spiesz się, synu. Bu-ddy – powtórzył. Otworzyłem usta. Raz i drugi i bardzo starałem się, by wydostało się z nich imię mojego przyjaciela. Nie chciałem zawieść taty. Chciałem, by był ze mnie dumny, tak jak ja byłem dumny z Buddy'ego.

– Bu-ddy – powtórzył wyraźnie, pełen nadziei, że będę w stanie to zrobić.

Spróbowałem jeszcze raz, ale nic to nie dało. Spuściłem głowę, a tata przygarnął mnie ramieniem, potarł mi grzywkę i złożył pocałunek na czubku głowy.

– Nie przejmuj się, Flynn. Kiedyś ci się uda, zobaczysz...

Nienawidziłem szkoły. Nienawidziłem tego, jak wszyscy na mnie patrzyli. Wciąż słyszałem szepty: „To przez niego zginął Ervin”. Nie chciałem tu być, bo bez Ervina szkoła nie była już taka sama. Nikt mnie nie lubił, nikt ze mną nie rozmawiał, nikt nie chciał usiąść obok mnie na stołówce. A ja przecież nic nie zrobiłem. To był wypadek – tak mówili mama i tata. Ervin jechał zbyt szybko, a potem spadł. Spadł i już go nie było.

Czekałem na koniec lekcji, starając się nie rozplakać. McGregor nigdy by mi tego nie zapomniał. Teraz, gdy nie było już Ervina, znowu zaczął mi dokuczać. Podczas lunchu nazwał mnie niemową, a gdy mijaliśmy się na korytarzu, pchnął mnie na ścianę tak mocno, że nabiłem sobie guza. Odetchnąłem z ulgą, gdy lekcje dobiegły końca. Zrzuciłem na ramiona plecak i wyszedłem z budynku, łapczywie wciągając powietrze do płuc. Chciałem jak najszybciej dotrzeć do domu i móc zabrać Buddy'ego do parku. Tęskniłem za nim i wiedziałem, że on też na mnie czeka. Niemal biegiem pokonałem odległość dzielącą szkołę od domu. Wpadłem do kuchni, zrzuciłem plecak i wyjąłem z lodówki butelkę chłodnej wody.

– Flynn, jak ci minął pierwszy dzień w szkole? – spytała mama, wychodząc z łazienki. W rękach trzymała miskę wypełnioną praniem, którą oparła sobie o biodro. Uniosłem kciuk, dając jej do zrozumienia, że nie było najgorzej. Nie chciałem jej martwić. Od wypadku Ervina rzadko się uśmiechała.

– Na pewno wszystko w porządku? – dopytała. Dłonią odgarnęła mi grzywkę z czoła i podejrzliwym wzrokiem spojrzała na sporych rozmiarów guza. Odtrąciłem jej dłoń, z szuflady wyjąłem przekąski dla Buddy'ego i na papierowym ręczniku napisałem, że będę w parku. – Dobrze, tylko uważaj, jak będziesz przechodził przez ulicę. – Pochyliła się i złożyła czuły pocałunek na moim zgrzanym policzku. Potaknąłem głową, z przedpokoju zabrałem smycz, by następnie wraz z Buddym pobiec do parku. Spędziliśmy w nim sporo czasu. Od kilku dni starałem się nauczyć Buddy'ego nowej sztuczki polegającej na tym, by udawał, że zdechł. Nie było to łatwe, a fakt, że nie mówiłem, z całą pewnością nie pomagał. Mimo to postanowiłem, że się nie poddam. Mój przyjaciel każdego dnia robił postępy, ale wciąż potrzebował treningu. Byliśmy do siebie bardzo podobni. Oboje wciąż musieliśmy się sporo nauczyć. On sztuczek, ja mowy. Buddy'ego porzucił pierwszy właściciel, mnie odtrącili mieszkańcy wsi. I chociaż nam obu nie było łatwo, codziennie uparcie dążyliśmy do celu, wiedząc, że któregoś dnia staniemy się silni i niezwycięzeni, dokładnie tak, jak Ervin.

Pierwsze krople deszczu rozbiły się na moim nosie. W zaledwie kilka minut park opustoszał, a suche drogi zmieniły się w rwące strumyki. Z oddali dobiegł nas głośny grzmot i Buddy przylgnął do mojej nogi. Pogłaskałem go po karku, chcąc mu dodać otuchy, i biegiem ruszyliśmy do domu. Gdy zbiegałem z góry, dostrzegłem tatę zmierzającego w naszym kierunku. Szedł po drugiej stronie ulicy, bezustannie nawołując mnie i Buddy'ego. Podniosłem rękę i zacząłem machać, chcąc dać mu znak, że go słyszymy, ale mnie nie zauważył. Po raz kolejny zawołał Buddy'ego, a wówczas mój pies ruszył biegiem w stronę taty, wyrывая mi z dłoni smycz.

Z przerażeniem dostrzegłem zbliżające się auto osobowe. Zacząłem biec, chcąc złapać psa, ale on był szybszy. Próbowałem krzyknąć raz i drugi, ale nic z tego. Nie mogłem. Samochód zaczął ostro hamować. Widziałem, jak kierowca próbuje ominąć mojego psa, który właśnie wybiegł na ulicę, ale mu się nie udało. Najpierw usłyszałem pisk opon, następnie huk.

– Buddy! – krzyknąłem, nie mając już pewności, czy głos, który rozbrzmiał w powietrzu, należał do mnie. Nie słyszałem go od tak dawna...

– Lauren, to nie może być zbieg okoliczności. Najpierw Ervin, potem chomik, teraz pies...

Siedziałem na schodach, przysłuchując się cichej rozmowie rodziców. Było mi zimno. Miałem mokrą piżamę, bo przez cały wieczór wycierałem w nią łzy. Gdy samochód potracił Buddy'ego, tata próbował mu pomóc, ale nic już nie mógł zrobić. Straciłem go. Nigdy już nie będę miał przyjaciela. Nie chcę.

– Skarbie, wiesz, co to oznacza, prawda? – spytał tata, a mama niemal natychmiast zalała się łzami. Tata przygarnął ją do siebie i zamknął w ramionach. Było mi jej żal. Nie lubiłem, gdy płakała.

– Muszę do niego pojechać, muszę z nim porozmawiać, Tom. Nie wiem, co mam robić. Jak pomóc Flynnowi? – szlochała, a ja starałem się zrozumieć, przed czym próbowała mnie chronić. Do kogo chciała pojechać? Płakała z mojego powodu? Dlaczego? Przecież nic nie zrobiłem. To był wypadek. Wypadek...

– To zbyt niebezpieczne, Lauren, nie możesz się z nim spotkać. Ryzykujesz nie tylko swoje życie, ale również Flynn'a.

Nic z tego nie rozumiałem. Mama płakała, tata był zdenerwowany, Buddy odszedł na zawsze, a ja...

Ja czułem się zagubiony.



Rozdział 2

Południowa Anglia, hrabstwo Dorset
Dwadzieścia lat później

Oliver

Z ust mędrca usłyszałam kiedyś, że każdy z nas umiera taką śmiercią, na jaką zasłużył. Patrzyłam na wątłe ciało ciotki Rachel i nie wiem, dlaczego nie potrafiłam przestać się uśmiechać. Wyglądała, jakby śniła swój najpiękniejszy sen. Jej pomarszczone powieki delikatnie drgały, a wąskie usta, teraz skrywane pod maseczką tlenową, nieznacznie rozciągały się w uśmiechu. Wciąż była piękna i delikatna. Pomyślałam, że umiera z charakterystyczną dla siebie klasą, jeśli tak w ogóle można było powiedzieć o umieraniu. Mimo choroby, która niszczyła ją przez ostatnie miesiące, nadal wyglądała dystyngowanie. Jej dłonie, na których teraz można było zauważyć plamy wątrobowe, pozostały smukłe i zadbane, a niemal białe włosy wciąż opadały falami na nieco spiczaste ramiona. Rachel umierała w sposób spokojny, łagodny – dokładnie w taki, na jaki zapracowała swoim przykładnym życiem. Zagorzała katoliczka, uczynna sąsiadka, wyrozumiała nauczycielka i kobieta, która zawsze w pierwszej kolejności myślała o innych – właśnie tak ją zapamiętam.

Ciotka Rachel była najstarszą i przyszywaną siostrą mojej babki oraz moją jedyną żyjącą krewną. Po śmierci rodziców i dziadków stała się dla mnie najważniejszą

osobą. I chociaż na co dzień dzieliły nas od siebie długie godziny jazdy samochodem, to nasza relacja była ciepła. Mówiliśmy sobie o wszystkim. Przynajmniej tak myślałam do dnia, w którym zupełnie niespodziewanie, podczas jednej z naszych rozmów telefonicznych, wyznała mi, że ma raka płuc w ostatnim stadium i że już dawno odmówiła leczenia. Pamiętam, jakim szokiem były dla mnie jej słowa. I gdy tak szlochałam do słuchawki, błagając ją, by chociaż spróbowała walczyć, odpowiedziała mi, że Pan ma swój własny plan względem każdego z nas. Następnie dodała, że jej bliska sąsiadka, która pochodziła z Europy Środkowej, zwykła mawiać, że „kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno”^{*}, i że ona jest teraz gotowa, by przez to okno przejść. Ale ja nie chciałam jej na to pozwolić. Nie mogłam. Kochałam Rachel całym swoim sercem, nawet jeśli w ostatnich latach nasz kontakt ograniczał się głównie do rozmów telefonicznych. Jasne, starałam się odwiedzać ciotkę, gdy tylko nadarzała się ku temu okazja, ale studia, staż, a wkrótce potem praca w renomowanej klinice weterynaryjnej pochłaniały większość mojego wolnego czasu, w efekcie do Horwell wpadałam na dzień lub dwa w okolicach świąt Bożego Narodzenia. Zresztą, Martin, mój narzeczony, nie przepadał za wsią, a i ja sama odzwyczaiłam się od życia w miejscu, w którym wszyscy wiedzą o sobie wszystko.

– Olive, w pokoju pielęgniarskim mamy duży dzbanek kawy. Może masz ochotę? – Poczułam na ramieniu zaciskającą się dłoń pielęgniarki. Uniosłam wzrok i mimo zmęczenia uśmiechnęłam się, być może nieco smutno, ale tylko na tyle było mnie stać w tej chwili.

– Nie mam ochoty, dziękuję, Marie – wyszeptałam i językiem zwilżyłam suche usta.

– Mamy również pyszną kanapkę z kurczakiem. Myślę, że czeka właśnie na ciebie. – Mrugnęła okiem, następnie przystąpiła do zmiany kroplówki, a ja obserwowałam każdy jej ruch, zastanawiając się, czy ta kroplówka będzie już ostatnią w życiu Rachel.

– Nie byłabym w stanie niczego przełknąć.

– Siedzisz tu już trzecią dobę. Powinnaś pójść do hotelu i się przespać. Przecież wiesz, że ciotka jest w dobrych rękach. Wszyscy ją tu kochamy i troszczymy się o nią jak o członka rodziny – zapewniała.

– Wiem. Gdyby było inaczej, nigdy bym jej tu nie umieściła. Zresztą już o tym rozmawialiśmy. Nie ruszę się stąd, nie mogę. Ona ma tylko mnie. – Ostatnie zdanie wypowiedziałam tak cicho, że nie miałam pewności, czy moje słowa dotarły do Marie.

Nie było mi łatwo siedzieć przy łóżku ciotki, wiedząc, że gdy stąd wyjdę, to być może nie zdążę wrócić, by się z nią pożegnać. Bardzo chciałam, by umierając, trzymała za rękę kogoś, dla kogo była ważna, kto kochał ją mimo jej niektórych dziwactw, jak chociażby spacerowanie boso po ogrodzie, gdy z nieba lał się jesienny deszcz. Wówczas powtarzała, że mając bliski kontakt z naturą, czuje się obecność Boga, a Rachel bardzo kochała Pana. Powierzyła mu całe swoje życie. Godzinami przesiadywała w kościele, lub też na ganku, czytając Biblię. Swoją wiarę wdrażała w życie, a ja ją za to podziwiałam.

Zazdrościłam jej tego, że potrafiła tak mocno wierzyć. I chociaż sama starałam się rozmawiać z Bogiem, często miałam wrażenie, że był głuchy na moje wołania. Raz nawet powiedziałam ciotce, że gdyby Ten na górze kochał mnie równie mocno, co ją, zapewne nigdy nie zostałabym sierotą, którą najpierw wychowywała babka, a potem ciotka. Wówczas Rachel, oburzona moimi słowami, prychnęła wielce niezadowolona i rzekła, iż lepiej będzie, jeśli podziękuję Bogu za to, że trzyma wszystkie moje połamane kawałki razem, anizeli głośno będę powątpiewała w Jego miłosierdzie. Zaraz potem dodała, że niekiedy nasz świat musi stanąć na głowie, byśmy nauczyli się rozumieć, że zmiany w naszym życiu to najlepsze, co mogło nas spotkać. A teraz nadszedł czas właśnie na zmianę. Rachel miała odejść do Pana, ja z kolei znowu miałam zostać sama. I mimo iż miałam już dwadzieścia siedem lat, bałam się tej chwili. Bałam się, że stracę coś cennego, coś, czego nigdy nie będę potrafiła odzyskać. Stracę przynależność do kogoś, z kim łączyły mnie więzy krwi. Stanę się bezludną wyspą, samotnie tkwiącą gdzieś na bezkresach oceanu, i moją jedyną życiową tratwą ratunkową będzie Martin. Martin, którego dziś przy mnie nie było, bo lata nauki poświęcone psychiatrii były ważniejsze niż fakt, że umiera kobieta, która była dla mnie życiowym drogowskazem. A mimo to musiałam wziąć się w garść. Musiałam zaakceptować to, co Bóg zaplanował dla Rachel. Obiecałam jej to podczas jednej z naszych telefonicznych rozmów. Miałam być silna i z pokorą przyjąć wszystko, co się wydarzy. I przysięgam, że bardzo się starałam dotrzymać złożonej obietnicy, ale życie czasami bolało zbyt mocno. A ja pomału traciłam siły na kolejne potyczki z niesprawiedliwym losem.

– Marie? – powiedziałam cichutko, patrząc jej głęboko w oczy. Uśmiechnęła się, ponownie zacisnęła swoją dłoń na moim ramieniu, jakby tym gestem chciała dodać mi sił, i wyszeptała z wyraźnym współczuciem, które wybrzmiewało z jej głosu:

– To już niedługo, Olive. Jeśli jeszcze się z nią nie pożegnałaś, to właśnie nadszedł czas, byś to zrobiła. Czasami ludzie muszą usłyszeć z ust bliskich, że pozwalamy im odejść. Myślę, że ona tego potrzebuje.

Wstrzymałam oddech. To się działo naprawdę. Rachel odchodziła, a ja nic nie mogłam zrobić. Patrząc przez łzy, obserwowałam Marie, która cichutko opuściła pokój, ale nim to zrobiła, przyciemniła światło, sprawiając tym samym, że nagle poczułam się nieco bezpieczniej. Zimny odcień bieli zastąpiła ciepła barwa żółtego światła. Było prawie jak w domu. Prawie...

Rachel delikatnie zacisnęła palce wokół mojej dłoni. Odruchowo sięgnęłam po leżący na szafce różaniec i jej go podałam. Odkąd pamiętam, zawsze szła spać z różańcem w rękę. Trzęsącymi się dłońmi oplótłam paciorki wokół jej palców.

– Jeśli jesteś już gotowa, to możesz odejść do Pana – wyszeptałam łamiącym się głosem, zdając sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie wypowiedziałam równie ważnych i trudnych dla mnie słów. Rachel delikatnie uniosła powieki, wysunęła dłoń spod mojej dłoni i chwyciwszy za maseczkę tlenową, odciągnęła ją od ust. Wstrzymałam oddech i zbliżyłam się do niej tak, by móc usłyszeć jej ciche słowa, a wówczas ciotka spojrzała na mnie nadzwyczaj przytomnym wzrokiem i wraz ze świszczącym wydechem wydobyła z siebie słowa:

– Olive, pamiętaj, skarbie, że Bóg jest jak bijące serce. Nie widzisz Go, ale czujesz – wyszeptała, uniosła dłoń, a ja wtuliłam w nią swój policzek.

– Będę pamiętała, ciociu.

– Wszystkie problemy, bóle i obawy zawsze powierzaj Bogu.

Potaknęłam głową, czując, jak zaczynam drzeć. Rachel uśmiechnęła się, uniosła do ust różaniec i ucałowała krzyż. Następnie splótła dłonie i ułożyła je na piersi tak, jakby wiedziała, że za chwilę wyda ostatnie tchnienie. Przymknęła oczy, teraz już wyraźnie zmęczona, i gdy byłam pewna, że za chwilę zaśnie, ona jeszcze ostatkiem sił wyszeptała:

– Tylko ty możesz go ocalić.

– Nie rozumiem... – powiedziałam, marszcząc brwi. – O kim mówisz, ciociu? Kogo mam ocalić?

Otworzyła usta, ale już nic nie powiedziała. Nabrała do płuc duży haust powietrza i zasnęła. Dopiero alarm maszyny kontrolującej pracę serca i ponownie zaciskająca się na moim ramieniu dłoń pielęgniarki uświadomiły mi, że Rachel odeszła. Bezpowrotnie. Na zawsze. Wbrew moim błaganiom.

– Bardzo mi przykro, Olive – padło najpierw z ust Marie, następnie z ust towarzyszącego jej lekarza.

Świat się brutalnie zatrzymał, a ja zostałam wyrzucona na jednym z życiowych przystanków, na którym nigdy nie chciałam się znaleźć.

Zostałam sama.

Zupełnie sama.

I nic już tego nie zmieni.

.....
* Cytat z wiersza *Nie płacz w liście* ks. Jana Twardowskiego.



Rozdział 3

Olwe

Kościół pod wezwaniem świętego Jerzego znajdował się dokładnie w centrum wsi i dumnie wznosił się na zielonym wzgórzu, które otaczał kamienny mur. Sąsiadujące z nim drzewa magnolii strzeliły pąkami, budząc się do życia, a liczna ptaszyna trelowała w najlepsze, gęsto siedząc na gałęziach, wciąż jeszcze pozbawionych liści. Słońce nieśmiało przebijało się przez ciemne chmury, jakby czekało na odpowiedni moment, by w pełni zajaśnieć.

Nieco niepewnie wkroczyłam do świątyni, miło zaskoczona faktem, że zebrało się w niej tak wielu żałobników. Rachel, jak mawiali mieszkańcy Horwell, była sercem wiejskiej społeczności. Nic więc dziwnego, że kościół niemal pękał w szwach. Dostrzegłam panie z koła robótek ręcznych i wszystkich członków rady parafialnej. Na mszy żałobnej pojawiła się również dyrekcja i pracownicy szkoły, w której ciotka latami uczyła muzyki. W morzu ludzkich twarzy dostrzegłam także piekarza, od którego zwykła kupować pieczywo, i właściciela sklepu ogrodniczego. Miałam wrażenie, że w tym jednym miejscu zjawili się wszyscy mieszkańcy Horwell, że nagle zatrzymał się czas i nic poza pożegnaniem Rachel nie miało znaczenia. Uśmiechnęłam się pod nosem, wiedząc, że ciotka zapracowała sobie na tak powszechny szacunek swoją życzliwością i troską o drugiego człowieka. Wiedziałam również, że wraz z nią odeszła część lokalnej społeczności. Społeczności, której była najmocniejszym filarem.

Zacisnęłam dłoń na czarnej kopertówce, żalując, że nie mogę jej zacisnąć wokół palców Martina. Wszystkie sprawy związane z pochówkiem zmuszona byłam załatwić sama. Martin od tygodnia przebywał na seminarium lekarskim, prowadzonym przez jednego z najslawniejszych amerykańskich psychiatrów. Rozumiałam, że nie mógł być przy mnie, i starałam się nie dać po sobie poznać, że jest mi przykro, ale jakaś część mojej podświadomości wciąż krzyczała mi do ucha, że powinien mnie wspierać. Powinien rzucić wszystko i w chwilach, w których żegnałam kobietę, która była dla mnie ważna, stać u mojego boku.

Proboszcz Richard w charakterystyczny dla siebie, pełen wzniosłych porównań sposób opisał Rachel jako przykładną córkę Kościoła. W swojej homilii wielokrotnie nawiązywał do jej zasług i do praktykowania wiary katolickiej, a gdy tak płynął przez kolejne wersy wygłaszanej mowy, dostrzegłam, że większość ludzi potakuje mu głowami, w pełni się z nim zgadzając. Wzruszona ich reakcją, z trudem, na drżących nogach, podeszłam do mikrofonu, by podziękować mieszkańcom za ich obecność. Starłam się oddać najlepiej, jak umiałam, to, ile znaczyła dla mnie ciotka. Pozwoliłam sobie na krótki powrót do przeszłości, nawet poczułam się na siłach, by w pewnym momencie zażartować. A gdy tak otuliłam zamglonym przez łzy wzrokiem trumnę Rachel, dostrzegłam, że z bocznej nawy podąża w jej kierunku wysoki mężczyzna. Szedł ze spuszczoną głową, trzymając w dłoni białą różę. Zupełnie nie zwracał uwagi na mnie ani na pozostałych żałobników. Ułożył kwiat na wieku trumny, skłonił głowę i zastygł w bezruchu. Początkowo zaniemówiłam, a po chwili, gubiąc się w tym, co chciałam powiedzieć, zaczęłam się jąkać. Za nic w świecie nie mogłam sobie przypomnieć, jakie słowa miałam jeszcze do przekazania. Po prostu stałam tam jak otępiała, czując dziwną woń kwiatów migdałowca. Mężczyzna na krótką chwilę położył rękę na trumnie, jeszcze niżej pochylił głowę, a w końcu odwrócił się i jakby nigdy nic, skierował w stronę wyjścia z kościoła. Wraz z opuszczeniem przez niego świątyni wróciła moja pamięć. Płynnie dobiegłam do finału mowy pożegnalnej, dziękując wszystkim za to, że byli ważną częścią życia mojej ciotki.

Pożegnanie na cmentarzu odbyło się bez większego zamieszania. Słońce pewnie już wyglądało zza chmur, tak jakby tego dnia chciało świecić wyjątkowo jasno. W powietrzu unosił się delikatny zapach magnolii i kwitnących hiacyntów, a ciepły, wiosenny wiatr bawił się kolorowymi wstążkami, wpiętymi w dziecięce włosy. Z uwagą rozejrzałam się po tłumie żałobników, szukając wzrokiem mężczyzny, który stał się przyczyną mojego zapętlenia podczas mowy pożegnalnej. Na próżno. Zupełnie rozpląnął się w powietrzu. I gdy tak stałam, co rusz ściskając dłonie mieszkańcom Horwell i przyjmując od nich kondolencje, dostrzegłam Jodie, przyjaciółkę

z dzieciństwa. Ubrana w czarną sukienkę i równie czarny toczek z woalką prezentowała się niebywale dostojnie. Na prawym biodrze posadziła sobie jedną z córeczek, druga zaś kurczowo trzymała się paska jej torebki. W niczym nie przypominała pulchnej dziewczyny, którą była w okresie dojrzewania.

– Olive, tak mi przykro – powiedziała, gdy tylko stanęłyśmy na wprost siebie. – Zarówno z powodu śmierci ciotki Rachel, jak i tego, że gdy w końcu spotkałyśmy się po tylu latach, okoliczności temu towarzyszące są naprawdę tragiczne. Przyjmij, proszę, nasze kondolencje. – Wyciągnęła dłoń i przez krótką chwilę pocierała nią moje przedramię.

– Dziękuję, Jodie. Mimo wszystko miło mi jest was widzieć. Masz śliczne córeczki – skomplementowałam, uśmiechając się najpierw do dziewczynki, którą trzymała na rękach, następnie do tej, która próbowała skryć się za plecami matki.

– Och! Nawet nie wiesz, jak potrafią dać mi w kość. Poznaj, proszę, Giovannę i Maisy, które z całą pewnością urodę zawdzięczają swojemu ojcu. Pocieszam się jednak tym, że według naukowców dzieci po matce dziedziczą inteligencję, więc chociaż pod tym kątem będą do mnie podobne. – Mrugnęła zabawnie i odruchowo strzepnęła pyłek z rękawka córeczki.

– Słyszałam, że sześć lat temu wyszłaś za mąż. Gratuluję.

– Tak, za Graysona O’Larry’ego. – Uśmiechnęła się nieco zakłopotana, a ja wstrzymałam na chwilę powietrze. Nie lubiłam tego imienia. Nie lubiłam też Graysona, za sprawą którego lata spędzone w szkole trudno było zaliczyć do szczęśliwych. Od zawsze mi dokuczał, wyśmiewał wszelkie potknięcia, sprawiając, że moja antypatia względem niego była wielce uzasadniona.

– Wiem, ciotka mi wspominała. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Latami czuliście do siebie niechęć.

– Tak było – potwierdziła Jodie, a następnie dodała nieco ciszej: – Dopóki nie wylądowaliśmy w łóżku.

Zaśmiałam się szczerze rozbawiona jej bezpośrednim wyznaniem.

– Będzie nam brakowało cioteczki Rachel, prawda, dziewczynki? – spytała córek, które cichutko zgodziły się z jej zdaniem. – Uwielbiały zajęcia muzyczne, które prowadziła w kościele po niedzielnej szkółce. Maisy niemal siłą musiałam stamtąd wyprowadzać. To była wspaniała kobieta – zakończyła z nutką nostalgii w głosie.

– Dziękuję. – Rozpięłam dyplomatkę, bo słońce grzało coraz intensywniej.

– Jakie masz plany na przyszłość? Rachel często powtarzała, że chciałaby, żebyś zamieszkała w Horwell. Co zrobisz z domem?

– Najpierw muszę go uporządkować i wyremontować. W ostatnim czasie ciotka była zbyt słaba, by się nim zająć. A później najpewniej go wynajmę – oceniłam, sama do końca nie wiedząc, jak ostatecznie postąpię. Może go sprzedam? Martin z całą pewnością nie przeniesie się na wieś oddaloną od miejsca pracy o sześć godzin jazdy samochodem, a i ja nie widziałam siebie w małej społeczności. Chyba nie potrafiłabym już tak żyć. Wyrosłam z tego z chwilą, w której rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Bristolskim. Poza tym miałam już dom. W Bristolu.

– Wiem, że Horwell to dziura, w której nawet Internet i zasięg telefoniczny giną, ale życie w tym miejscu ma swoje plusy. Oddychasz świeżym powietrzem, codziennie rano możesz spacerować po klifach, a gdy zasypiasz, słyszysz szum morskich fal. Tego nie uświadczysz w wielkiej metropolii.

– Wiem... – powiedziałam przeciągle i zabijałam się na czubkach palców. – Ale nie mogę zostawić całego swojego życia i przeprowadzić się na wieś.

– Dlaczego? Ta i okoliczne wsie potrzebują weterynarza. Miałabyś ręce pełne roboty.

– Jodie, ty masz męża tu, w Horwell, ja swoją miłość zostawiłam w Bristolu.

– Czyli mamy zerowe szanse na to, że znowu będziemy sąsiadkami? – Zrobiła nadąsaną minę.

– Przykro mi. – Rozłożyłam ręce w geście bezradności.

– Szkoda. – Wzruszyła ramionami. – Ale chociaż obiecaj, że będziesz tu wpadała częściej niż raz na rok, dobrze?

– Postaram się. Zapraszam również do siebie, jeśli kiedyś będziesz w okolicach Bristolu.

– Dziękuję. – Spowaźniała, jakbym powiedziała coś złego. – Małe szanse, że się tam pojawię. Dziewczyna, która miała być stewardesą, stała się kurą domową. Rzadko opuszczam hrabstwo.

– Ale jesteś szczęśliwa, prawda?

Zapanowała niezręczna cisza. Jodie na krótką chwilę spuściła wzrok, następnie uniosła głowę i wpatrując się w przestrzeń ponad moim ramieniem, powiedziała:

– Moim szczęściem jest mój mąż, a on, jak się możesz domyślać, nigdy stąd nie wyjedzie.

– Nadal pracuje na farmie Rolandsów?

– Dokładnie. I najpewniej szybko to się nie zmieni. Dostał awans. Jest głównym zarządcą. Mamy z tego dobre pieniądze, ale...

– Zawsze jest jakieś „ale”, prawda?

– Tak. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale o tym porozmawiamy innym razem. Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy porządkowaniu domu ciotki.

– Dziękuję. Będę pamiętała.

– Trzymaj się, Olive, i mam nadzieję do szybkiego zobaczenia.

– Do szybkiego zobaczenia – powtórzyłam zdanie, którym zwykłyśmy się żegnać, gdy byłyśmy nastolatkami. – Jodie... – zawołałam, nim zdążyła się oddalić. – Kim był mężczyzna, który podczas mszy położył różę na trumnie mojej ciotki?

Zmrużyła oczy, jakby przez chwilę musiała się zastanowić.

– To Flynn Sallow, miejscowy dziwak.

– Dziwak? – powtórzyłam niczym echo, robiąc krok w stronę Jodie.

– No wiesz... Stroni od ludzi, pracuje w samotności, w ogóle nie angażuje się w życie społeczne. Jednym słowem: dziwny jest.

– Mimo to przyszedł pożegnać Rachel, więc musiała coś dla niego znaczyć.

– Też mnie to zaskoczyło, jeśli mam być szczerą. – Ponownie wzruszyła ramionami. – Ale to Horwell, rozumiesz? Tutaj nic nie powinno cię dziwić.

– Masz rację – odpowiedziałam, unosząc rękę, by pokiwać dziewczynkom. – Trzymajcie się.

– Pa, pa – usłyszałam z ust już nieco sennej Maisy.

Wróciwszy do domu ciotki, zrzuciłam ze stóp wysokie szpilki i boso powędrowałam do salonu. Usiadłam w starym fotelu, obitym lazurowym aksamitem, w którym uwielbiała przesiadywać Rachel. Fotel delikatnie zaskrzypiał, jakby w ramach protestu. Czując w sercu dziwną pustkę, rozejrzałam się po salonie, nie mogąc wyzbyć się uczucia, że za chwilę ciotka wejdzie do niego z imbryczkiem żurawinowej herbaty i ciepłą szarlotką. Powiodłam wzrokiem po dobrze mi znanym wnętrzu, na dłuższą chwilę zatrzymując go na dawnych fotografiach, zamkniętych w srebrnych ramkach. Słońce wpadało przez okno i rzucało jasne refleksy na starą, drewnianą podłogę, eksponując przy tym unoszący się w powietrzu kurz.

Salon, jak i reszta mieszkania, wymagał generalnego remontu. Pomyślałam wówczas, że Rachel do szczęścia potrzebowała tylko jednej rzeczy: wiary. Po śmierci pozostawiła mi sporą, jak na emerytkę, sumę pieniędzy, którą przecież mogłaby zainwestować w remont. Dlaczego tego nie zrobiła? Może chciała zabezpieczyć swój pochówek tak, by nie narażać mnie na koszty? A może zwyczajnie nie przywiązywała się do rzeczy materialnych lub trzymała te pieniądze na zupełnie inny cel? Oparłam głowę o zagłówek, zatrzymując wzrok na wiekowym, mosiężnym zegarze, który niezmiennie, od dekad, pysznił się na dębowej komodzie ciotki. Prześlizgnęłam spojrzeniem po masywnych cielskach dwóch lwów, które stojąc na tylnych łapach,

trzymały w górze tarczę zegara. I wówczas zauważyłam, że jego wskazówki zatrzymały się na godzinie ósmej trzydzieści. Dokładnie o tej porze zmarła Rachel. Że też wcześniej tego nie zauważyłam. Doświadczyłam dziwnego chłodu, który przeszył mnie na wskroś, a chwilę po nim w moich nozdrzach zatańczył zapach migdałowca, dokładnie ten sam, który poczułam w kościele, gdy Flynn Sallow żegnał się z moją ciotką. Zrodził się we mnie niepokój. Jakbym wiedziała, że wkrótce stanie się coś złego, jakby dom Rachel próbował mi coś powiedzieć. Wstałam przerażona, chwyciłam za telefon i wybrałam numer Martina. Pewnie powie, że to normalne odczucia, gdy traci się kogoś bliskiego, i zapewne będzie miał rację. I mimo iż zdawałam sobie z tego sprawę, chciałam usłyszeć te słowa od niego. Potrzebowałam ich, by ukoić nerwy i strach, by móc przenocować w domu, w którym wciąż czułam obecność ciotki. Jak na złość, nie mogłam znaleźć zasięgu. Pomyślałam wówczas, że los potrafi być złośliwy.

– Cholerne Horwell! – przeklełam z bezradności.

Czasami naprawdę zastanawiałam się, jak ludzie żyjący w tej okolicy funkcjonowali we współczesnym świecie. W świecie, w którym za pomocą Internetu płaciło się rachunki, w świecie, w którym telefonicznie trzeba było umówić się do lekarza, a najbliższy znajdował się w mieście oddalonym o kilkanaście kilometrów. Nagle zapragnęłam wyjechać ze wsi i nie musieć wracać przez kilka kolejnych miesięcy. Nie czułam się tu dobrze. Nie teraz, gdy zabrakło Rachel, a każda rzecz, każdy najmniejszy bibelot przypominał mi o niej, drwiąc z mojego bólu, niemo krzyżąc, że ciotka odeszła, a ja zostałam sama. Nie miałam rodziny, a człowiek pozbawiony obecności krewnych jest jak samotna łódź przemierzająca bezkres oceanu, zmuszona do pokonywania życiowych sztormów w pojedynkę. I mimo iż z czasem dotrze do portu, to wciąż będzie samotny i zagubiony, bez przynależności do kogoś, z kim łączą go więzy krwi. Po kolejnej nieudanej próbie uchwycenia zasięgu poziom mojej frustracji sięgnął zenitu. Ruszyłam w stronę korytarza, wciąż nie przestając kląć pod nosem. Założyłam szpilki i chwyciwszy torebkę, zwyczajnie opuściłam dom. Idąc w stronę samochodu, spojrzałam na niewielką torbę sportową, która leżała na tylnym fotelu auta, a w którą spakowałam dresy, piżamę i najpotrzebniejsze kosmetyki.

– Miałam zostać na noc, a tymczasem nawet nie wyjęłam torby z samochodu. A ty chciałaś, żebym zamieszkała tu na zawsze – powiedziałam, kierując słowa do Rachel, jakby rzeczywiście mogła mnie usłyszeć. Wrzuciłam torebkę do samochodu i nim do niego wsiadłam, jeszcze raz spojrzałam na dom ciotki. – Obawiam się, że tym razem oczekujesz ode mnie zbyt wiele, ciociu – wyznałam, czując łzy wzbierające w oczach.

Nim opuściłam podjazd, dostrzegłam jeszcze dwie harczące wiewiórki. Uśmiechnęłam się na wspomnienie Rachel siedzącej na ganku, która miała w zwyczaju dokarmiać wszystkie dzikie zwierzęta zakradające się do jej ogródka. Przez chwilę wahałam się, czy nie wrócić do domu, by wystawić na ganek miseczkę z bezcukrowymi sucharkami i nasionami słonecznika, które na pewno znalazłabym w jednej z kuchennych szafek, a na które z całą pewnością liczyły wiewiórki. Zabrakło mi jednak odwagi. Odwagi na to, by ponownie zmierzyć się z ciszą i pustką, które wylewały się z każdego zakamarka domu. Odjechałam, nie spoglądając w lusterko wsteczne. Przez całą podróż do Bristolu słuchałam głośno radia, starając się w ten sposób zagłuszyć swoje myśli, bezustannie błędzące w okolicy Horwell. Może dopiero teraz, gdy pochowałam Rachel, dotarło do mnie, że już jej nie ma? Może zmęczenie ostatnimi dniami w końcu dało mi się we znaki? Naprawdę nie miałam wystarczająco siły, by samotnie stawiać wszystkiemu czoła. Chciałam poczuć się bezpiecznie. Marzyłam o tym, by wtulić się w ramiona Martina i tak zwyczajnie spędzić z nim wieczór przed telewizorem. Tęskniłam za nim. Ostatnie trzy tygodnie w zasadzie się nie widzieliśmy. Martin cieszył się opinią dobrze zapowiadającego się psychiatry, a to z kolei zmuszało go do częstych udziałów w sympozjach lekarskich. Zawsze powtarzał, że robi to dla nas, by zapewnić nam godną przyszłość, ale ja wiedziałam, że w znacznej mierze robi to dla siebie. Uwielbiał swoją pracę. Gdyby mógł, spędzałby w niej każdą wolną chwilę. Dlatego starałam się celebrować każdy wieczór, który mogliśmy spędzić razem. Z tego powodu zatrzymałam się na jednej ze stacji benzynowych i zakupiłam butelkę białego wina. Musiałam odreagować. Musiałam nacieszyć się swoim życiem, Martinem i bezpieczeństwem, którym emanował nasz dom.

Sześć godzin później zaparkowałam samochód na niewielkim podjeździe. Szaruga śmiało panoszyła się po okolicy. Dochodziła dwudziesta druga i w oknach salonu dostrzegłam niebieskie światło telewizora. Zapewne Martin, wykończony intensywnością minionych dni, zasnął na kanapie z butelką piwa w ręku. Wysiadłam z auta, zabierając ze sobą jedynie torebkę i wino. Weszłam do domu, rozpięłam płaszcz i wciąż pozostając w szpilkach, ruszyłam w stronę salonu, by jak najszybciej poczuć ciepło Martina. Stałam w progu, słysząc w uszach bicie własnego serca. Jak otępiała patrzyłam na zupełnie nagą blondynkę, która w moim salonie, na mojej kanapie ujeżdżała w najlepsze mojego narzeczonego. Butelka wymknęła mi się z rąk i uderzyła o gres, zalewając winem moje stopy. Blondynka odwróciła się raptownie. Krzycząc wniebogłosy, zsunęła się z mojego narzeczonego i nieporadnie zasłoniła

piersi. Nie mogłam się ruszyć. Nie potrafiłam wypowiedzieć żadnego słowa. Z trudem oddychałam.

– Olive?! Miałaś przenocować w Horwell! Co ty tu robisz?! – Martin stanął przede mną z imponującym wzrodem i dłonią przeczesywał włosy. Był zaskoczony? Przerażony? Śmiałam myśleć, że nie mniej niż ja. – Posłuchaj, wiem, jak to wygląda, ale to nie tak, jak myślisz – tłumaczył się nieudolnie, podczas gdy cytata blondyna w panice i pośpiechu zbierała z podłogi części swojej garderoby.

Zaczęłam drzeć. Z każdą chwilą coraz mocniej. Patrzyłam na Martina, który stojąc na jednej nodze, próbował wciągnąć na tyłek bokserki z logo Calvina Kleina, i zastanawiałam się, co, do diabła, powinnam zrobić. Rzucić się na niego z pazurami? A może udusić go paskiem od dyplomatki?

– Olive, kochanie, pozwól mi wszystko wytłumaczyć – jęczał żałośnie. I zapewne nadal stałabym w zawieszaniu, gdyby nie spróbował otulić dłońmi moich policzków.

– Zabierz ode mnie swoje brudne ręce – wycodziłam przez zęby, wciąż panując nad emocjami. Nie wiem, skąd wzięłam na to siły. Jakim cudem zatrzymałam łzy i krzyk bólu, który utknał gdzieś pomiędzy moimi płucami a zaciśniętymi zębami. – Jesteś żalonym dupkiem, Martinie.

– Kochanie, nie przekreślaj naszego związku tylko dlatego, że raz zblądziłem. Cholera, musiałem to wszystko odreagować! – krzyczał za mną, gdy pospiesznym krokiem wspinałam się na piętro. Przystanąłam porażona wydźwiękiem jego słów. Odwróciłam się i spojrzałam na Martina z obrzydzeniem.

– Odreagować? – powtórzyłam.

Potaknął i zrobił maślane oczy. Wyglądał jak chodzące nieszczęście.

– Przepraszam...

– Jeśli chciałeś odreagować, to trzeba było zwalić konia, bydlaku! – To tyle, jeśli chodzi o panowanie nad emocjami. – Poświęciłam ci sześć lat życia! Przez sześć lat znosiłam twoje nocne zgrzytanie zębami i głośne pierdzenie przez sen, znosiłam twoje seksistowskie teksty do koleżanek z pracy i przemądrzałe tyrady odnośnie do twoich medycznych osiągnięć, a ty pieprzysz pod moją nieobecność jakąś zdziwę ze sztucznymi cyckami!

– To moje naturalne cycki! – krzyknęła z salonu blondynka.

– Zamknij pysk i wynoś się z mojego domu! Ty i te twoje pieprzone balony! – wrzeszczałam, ile fabryka dała, palcem wskazując drzwi wyjściowe. Przysięgam, że w tej chwili mogłabym ją zagryźć.

– Aniołku... – Martin ruszył w moją stronę.

Wiele nie myśląc, chwyciłam doniczkę z krokodylem, która stała na stoliku, i rzuciłam nią celnie w jego głowę.

– Zwariowałaś! Chcesz mnie zabić! – wrzasnął. Nie oglądając się za siebie, wpadłam do sypialni i zamknęłam drzwi na klucz. Z garderoby wyjęłam dużą i nieco mniejszą walizkę i jak w amoku zaczęłam wrzucać do niej najpotrzebniejsze rzeczy. A on stał po drugiej stronie drzwi, waląc w nie pięścią.

– Jesteś wariatką, wiesz?! Właśnie dlatego szukałem atrakcji na boku! Jesteś nudną, przewidywalną i nieskłoną do spontaniczności, pieprzoną idiotką!

Wrzucałam do walizki ciuchy, buty, laptop, a on wciąż krzyczał, wyzywając mnie od najgorszych, a gdy w końcu zabrakło mu epitetów, powiedział coś, co zraniło mnie dogłębnie.

– Jesteś tylko lekarzem weterynarii! – Zaśmiał się głośno, szydząco, dokładnie tak, jakby swym śmiechem chciał zadać mi jeszcze więcej bólu. – Zwykłym lekarzem weterynarii – powtórzył nieco ciszej.

Zacisnęłam zęby i otarłam łzy rękawem płaszcza.

– Nie dorastasz mi do pięt. Nigdy nie dorastałaś! – Zamilkł na chwilę, po czym dodał coś, co skrzywdziło mnie najmocniej. – Nawet w ciążę nie potrafisz zajść – wypluł z siebie z nienawiścią.

Zabolało. Bardzo. Chyba nawet bardziej niż jego zdrada. W tej chwili już nie próbowałam ukryć łez. Nie mogłam. Musiałam je z siebie wylać, gdybym tego nie zrobiła, najpewniej rozerwałaby mnie złość. Widząc przez mgłę i wciąż słysząc wrzaski Martina, starałam się zebrać myśli i zabrać z domu najpotrzebniejsze rzeczy. Biegałam po sypialni i przylegającej do niej łazience, w zasadzie krztusząc się płaczem. I wówczas wróciły do mnie słowa Rachel: „Nigdy nie wątp w swoją wartość. Ona od zawsze jest w tobie, Olive. Zaufaj Mu. Pan wie, co robi”.

– Boże, spraw, bym opuściła ten dom, nie mając śladów krwi na dłoniach – wyszeptałam pod nosem. Wyszłam na korytarz i taszcząc dwie walizki, zesłam ze schodów, po czym skierowałam się do salonu. W progu niemal z obojętnością minęłam Martina i podeszłam do regału, by zabrać z niego swoje książki. Właśnie sięgnęłam po *Tajemnice weterynarii*, gdy z ust narzeczonego padło:

– Olive! To wszystko twoja wina. Przy tobie nie mogę się rozwijać. Bezustannie ciągnęłaś mnie w dół – wyznał z brutalną szczerością, szeroko rozkładając ręce.

Wyprostowałam się niczym struna. Zaszumiało mi w głowie. I chociaż rozum krzyczał, bym zbyła jego słowa i po prostu wyszła, to emocje wzięły górę.

– Przepraszam, co robiłam? – spytałam, tuląc do piersi książki.

– Ciągnęłaś mnie w dół. Przy tobie nie mogę się rozwijać. Nie mamy wspólnych tematów, bo co ty możesz wiedzieć o ludzkiej psychice? Czasami... Czasami mam wrażenie, że dzieli nas przepaść.

– Faktycznie. – Zrobiłam dwa kroki w jego stronę i uśmiechnęłam się, mimo bólu, który niemal rzucał mnie na kolana. – Masz rację, Martinie, dzieli nas przepaść.

– Sama widzisz – dodał, zadowolony z mojej odpowiedzi.

– Głównie dlatego, że ja w życiu kieruję się zasadami, a ty jedynie fiutem. – Nie myśląc nad tym, co robię, sięgnęłam po słoik, w którym paliła się świeczka, i chlusnęłam Martinowi gorącym woskiem wprost na nagi tors.

– Kurwa mać! Zwariowałaś! – wrzasnął.

Chwyciłam walizki i ruszyłam w stronę drzwi, a gdy po drodze spotkałam, tym razem już ubraną, blondynę, z premedytacją przejechałam kółkami dużej walizki po palcach jej stóp. Wciąż słyszałam krzyk kobiety i głośne przeklinanie Martina, gdy pakowałam walizki do bagażnika. Odpaliłam silnik, wrzuciłam wsteczny bieg i jeszcze nigdy tak bardzo nie cieszyłam się z faktu posiadania haka holowniczego w swoim mercedesie. Z impetem docisnęłam pedał gazu, niemal rozpluwając się na odgłos gniecionej blachy i dźwięk alarmu. W lusterku wstecznym najpierw dostrzegłam pomarańczowe światła porsche, a następnie Martina. Wybiegł przed dom nadal ubrany w bokserki i rwał włosy z głowy, wciąż obsypując mnie najrozmaitszymi epitetami. Pomyślałam wówczas, że tak oto umiera miłość. Niegdyś wypowiedziane słowa miały być gwarantem prawdziwego uczucia, dziś rozplwwały się w powietrzu i szybowwały wysoko niczym puszyste spadochroniki dmuchawców rozsiewane przez wiatr. Na ulicę wyszli nasi sąsiedzi, głośno komentując moje zachowanie. A ja? Śmiałam się przez łzy. Śmiałam się i płakałam, jak nigdy wcześniej. Opuściłam szybę i wyjeżdżając z podjazdu, pokazałam Martinowi środkowy palec. Czy to było dojrzałe zachowanie? Nie, na pewno nie, ale sprawiło, że poczułam się lepiej.

– Wszystko, co się dzieje w twoim życiu, dzieje się z jakiegoś powodu – zaszlochałam, wierzchem dłoni wycierając nos. Wierzyłam, że pewnego dnia zrozumie to, co dziś było dla mnie niezrozumiałe.

Walenie w szybę samochodu wyrwało mnie ze snu. Zamrugałam kilkakrotnie, chcąc odzyskać zdolność widzenia, a gdy w strugach wiosennego deszczu rozpoznałam twarz Memphis, natychmiast odblokowałam drzwi, pozwalając jej zajrzeć do środka.

– Olive? Co ty tu robisz, w dodatku o drugiej nad ranem? I dlaczego wyglądasz jak chodzące nieszczęście?

– Muszę u ciebie przenocować, nie byłam w stanie zaciągnąć tyłka do hotelu – jęknęłam, wciąż błędząc pomiędzy jawą a snem.

– Do hotelu? – Zmarszczyła brwi, nic nie rozumiejąc. – Dlaczego nie weszłaś do środka? Przecież masz klucze.

– Zostały w domu. Nie mogłam po nie wrócić. Dzwoniłam kilka razy, ale chyba padła ci komórka. Postanowiłam poczekać na parkingu i zasnęłam. – Ziewnęłam przeciągle i przetarłam twarz dłońmi, nie przejmując się tym, że zapewne jeszcze bardziej rozmazałam tusz, który już teraz znajdował się na moich policzkach.

– Wyglądasz strasznie, mała. Pokłóciłaś się z Martinem? – spytała z troską w głosie. Przez chwilę patrzyłam, jak duże krople spływają z parasola przyjaciółki i giną w deszczowej lawinie.

– Rozstaliśmy się. – Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co padło z moich ust. – Gdy wróciłam z Horwell, zabawiał się w naszym salonie z jakąś cytatą blondynką. Boże, Memphis... – Zapłakałam i zakryłam oczy dłońmi. – To było takie upokarzające. Ten widok będzie mnie prześladował już zawsze. Czuję się jak ktoś, komu lodowatymi dłońmi wyrwano serce.

– Tak mi przykro, kochanie. – Chwyliła mnie za nadgarstek i zmusiła, bym na nią spojrzała. – Chodź, pójdziemy do domu, opowiesz mi o wszystkim, a ja uraczę cię wódką.

Dwadzieścia minut później siedziałam na welurowej sofie Memphis, w dłoni obracając szklaneczkę wypełnioną czystą wódką. W końcu się rozgrzałam. Kilka godzin spędzonych w samochodzie dało mi się odczuć. Noce wciąż były chłodne, w przeciwieństwie do dni, które już rozpieszczały wiosenną aurą. Odstawiłam szkło na stolik, wstałam i wsunąwszy dłonie pod kieckę, zsunęłam z nóg czarne rajstopy. Memphis rzuciła we mnie swoimi spodniami dresowymi i zajęła miejsce w rogu kanapy. Czułam na sobie jej wzrok. Wzrok osoby, która rozumiała wszystko.

– Takich jak Martin powinno się publicznie wieszać na rynku, w dodatku za jaja.

– Też tak uważam – przytaknęłam. Zdjęłam sukienkę i wskoczyłam w spodnie dresowe, darując sobie zakładanie koszulki.

– Co teraz zrobisz? Co z mieszkaniem?

Z ciężkością opadłam na kanapę i wsunąwszy stopy pod tyłek, sięgnęłam po szklaneczkę wypełnioną alkoholem.

– Nie wiem... – Pokręciłam głową, czując, jak łzy ponownie wzbierają w moich oczach. – Gdybyś słyszała te wszystkie rzeczy, które o mnie mówił, jak paskudnie się wyrażał i jak oskarżał mnie o to, że podcinam mu skrzydła, to zapewne też miałabyś

pustkę w głowie. – Upiłam kilka łyków wódki, nawet się przy tym nie krzywiąc. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, w jakie wydarzenia ubrał się wczorajszy wieczór.

– Tak postępują słabi ludzie, Olive. Obwiniają innych o swoje porażki i złe występki. Nie możesz uwierzyć temu, co słyszałaś. Musisz znać swoją wartość. Jesteś Olive Loughy, dziewczyną, która w podstawówce, w mojej obronie, potrafiła bić się ze starszymi chłopakami i która na studiach, jako jedyna, miała odwagę przeciwstawić się profesorowi Ransonowi, jednocześnie zdobywając jego podziw. Jesteś moją bohaterką, więc, do jasnej cholery, dziś możesz sobie popłakać i popić, ale jutro musisz otrzepać piórka, nastroszyć je i ruszyć do boju. Jasne?

Zlizałam z ust słone łzy. Chciałam wierzyć słowom Memphis. Chciałam spojrzeć na siebie tak, jak ona patrzyła na mnie, ale chyba już nie potrafiłam. W krótkim czasie straciłam dwie bliskie mi osoby, a teraz będę musiała jeszcze stracić pracę i Memphis. Nie wyobrażałam sobie, bym mogła pozostać w Bristolu. Nie po tym, co wydarzyło się wczorajszej nocy.

– Nie mogę tu zostać. Nie chcę. Muszę uciec. Najlepiej jak najdalej – mówiłam bez sensu, wciąż popijając alkohol. – Horwell! Przeprowadzę się na wieś. – Spojrzałam na przyjaciółkę, która z wrażenia złapała się za głowę. – Tam mnie nie będzie szukał. Martin nigdy nie przeniósłby się na wieś.

– Hola, hola! Czekaj, bo chyba zaczyna przemawiać przez ciebie wódka. – Memphis poruszyła się niespokojnie, następnie zdmuchnęła z czoła kosmyk kręconych włosów i dołała sobie alkoholu. – Jak to przeprowadzisz się do Horwell? I skąd pewność, że Martin będzie cię nachodził? Nie zrozum mnie źle, ale może on i ta zdzira... No wiesz, może to coś poważnego. – Wzruszyła ramionami, krzywiąc się przy tym przeprasząco.

– Gdyby tak było, to nie nękałby mnie wiadomościami. Skasowałam mu auto, a on przyznał, że na to zasłużył. Wiesz, co to oznacza?

– Że będzie próbował cię odzyskać? – syknęła, jakby poczuła ból.

– A ja nie chcę słuchać jego wyjaśnień, bo... – Zamilkłam. Dołałam sobie wódki i duszkiem opróżniłam szklaneczkę. Memphis wstrząsnął dreszcz, zupełnie jakby to ona wlała w siebie alkohol.

– Bo wciąż go kochasz, prawda? Boisz się, że mu wybaczysz?

I to był ten moment, w którym wszelkie inne słowa były zbędne. Potaknęłam głową, rozplakałam się, a ona przytuliła mnie do siebie, zupełnie nie dbając o to, że resztki mojego makijażu właśnie spływały na jej nowy, kaszmirowy sweterek. W tym popieprzonym świecie miałam tylko ją. Dziewczynę, którą poznałam w piątej klasie szkoły podstawowej: o oliwkowej cerze i z robiącym wrażenie afro na głowie. Przez

trzy lata byliśmy nierozłączne, a gdy straciłam rodziców i moim wychowaniem zajęła się babcia, nasz kontakt zerwał się na długie lata. Memphis pozostała w Londynie, a ja najpierw zamieszkałam z babcią w Penzance, a następnie z ciotką Rachel, która z czasem przeniosła się do Horwell. Jak wielkie było moje zdziwienie, gdy pierwszego dnia na kampusie Uniwersytetu Brytyjskiego zobaczyłam właśnie Memphis. Nasze drogi na nowo połączyła miłość do zwierząt. Od tamtej pory w zasadzie wszystko robiłyśmy razem. Razem studiowałyśmy, razem mieszkaliśmy, odbywałyśmy praktyki w tej samej lecznicy, by ostatecznie podjąć w niej pracę. I chociaż Memphis wielokrotnie powtarzała mi, że nie lubi Martina, a dzień, w którym opuściłam jej mieszkanie, by zamieszkać z narzeczonym, zwykła określać mianem „tego cholernego dnia”, to zawsze powtarzała, że dopóki ja jestem szczęśliwa, to ona też będzie się uśmiechała. A teraz? Kilka lat po „tym cholernym dniu” siedziałam na jej kanapie, płacząc w najlepsze i wiedząc, że mój ból jest także jej bólem.

– Nie wiem, co mam powiedzieć, Olive. Horwell brzmi jak drugi koniec świata. Nie wyobrażam sobie tego, że któregoś dnia pójdę do pracy, a ciebie w niej nie będzie.

– Nie mogę tu zostać... – łkałam, umęczona wczorajszymi wydarzeniami. – Nie jestem wystarczająco silna, by sobie z tym poradzić, nie w miejscu, które bezustannie będzie mi go przypominało.

– Wiem, mała, wiem... – Dłonią przeczesła mi włosy, a następnie złożyła pocałunek na czubku mojej głowy. – Ale jeśli przeprowadzka sprawi, że będziesz szczęśliwa, to ja też będę się uśmiechała – zapewniła jak przed laty. Rozplakałam się jeszcze bardziej. Pomyślałam wówczas, że przyjaciele są jak anioły. Potrafią otulić nas swoimi bezpiecznymi skrzydłami i chronić w chwilach, w których cały świat jest przeciwko nam. A ja właśnie miałam stracić swojego anioła. Miałam zostać sama. I w tej konkretnej chwili nie wiem, co bardziej mnie przerażało: pusty dom ciotki Rachel czy to, że musiałam pozostawić Memphis w Bristolu.

– Kocham cię, Memphis.

– Ja też cię kocham, kociaku.

Przymknęłam oczy, chcąc zapamiętać jej słowa na zawsze, zapisać je w sercu i wracać do nich w chwilach, w których świat będzie wyjątkowo gorzki. Czasami musimy stracić wszystko, by móc się przekonać, ile człowieczeństwa w nas pozostało. Wierzyłam, że mimo całego żalu i bólu, z którym musiałam się zmierzyć, z czasem przestanę nienawidzić Martina i na powrót stanę się pogodną dziewczyną, która idzie przez życie, z optymizmem patrząc w przyszłość. Jak na razie tego optymizmu było we mnie bardzo mało, a pogody ducha miałam tyle, że mogłabym ją pomieścić w niewielkiej kieszeni dzinsów.



Rozdział 4

Oliver

To zadziwiające, ile rzeczy jest człowiek w stanie pomieścić w samochodzie osobowym, gdy zmusi go do tego sytuacja. Mój pięcioletni Henry – jak zwykłam nazywać swojego mercedesa – był wypchany po dach kartonami i workami na śmieci, do których z pomocą Memphis spakowałam ciuchy i pościel. Wiedziałam, że Martin pozostanie w pracy w zasadzie do późnej nocy, i właśnie dlatego postanowiłam wejść do domu i zabrać z niego książki, ulubiony pled i kubek do kawy oraz to, co na początku będzie mi niezbędne, by urządzić się w Horwell.

Nie było mi łatwo spakować sześć lat życia do kartonów i worków, a myśl, że od teraz zmuszona jestem zaczynać wszystko od początku, dźgała mnie boleśnie, wywołując uczucie mdłości. Czasami los potrafi solidnie skopać nam tyłek. Sprawić, że nasze plany rozmyją się w powietrzu niczym mgła w ciepłych promieniach słońca, i chociaż wierzyłam, że wszystko w naszym życiu dzieje się po coś, nie mogłam wyzbyć się wrażenia, że Ten na górze zadrwił sobie ze mnie w najbardziej okrutny sposób.

Pokonując kolejne mile, zastanawiałam się, jakimi słowami powitałaby mnie Rachel, gdyby wciąż żyła. Być może powiedziałałaby, że „Bóg wie, co robi. Bądź cierpliwa” albo skwitowałałaby całą sytuację, mówiąc: „Bóg chce ci przypomnieć, że Jego plany są lepsze niż twoje pomysły.” Z całą pewnością miałaby dla mnie czułe spojrzenie i wszystko rozumiejące serce. Nagle zaczęłam odczuwać wyrzuty

sumienia. Przez ostatnie lata widywałyśmy się tak rzadko. Martin nie lubił wsi, ja natomiast kochałam Martina i każdą wolną chwilę wolałam spędzić z nim aniżeli z kobietą, która przez całe lata była moim domem. Czy dziś tego żałowałam? Bardzo. Gdybym tylko potrafiła przewidzieć to, w jakim kierunku potoczy się mój związek z Martinem i ile tak naprawdę dla niego znaczyłam, z całą pewnością podjęłabym inną decyzję. Ale nie potrafiłam. Spieprzyłam wszystko koncertowo. Będąc zaślepioną przez uczucie do Martina, straciłam to, co miałam najcenniejsze. Straciłam czas z Rachel. I nie wiem, co w tej chwili było dla mnie bardziej bolesne. Świadomość, że przez lata ufałam komuś, dla kogo byłam nikim, czy poczucie, iż rozczarowałam ciotkę i zadałam jej ból, zmuszając ją, by w pełni zaakceptowała moje decyzje. Dziś było mi wstyd. Wstydziałam się tego, jaką osobą byłam. Wstydziałam się swoich wyborów i życiowych przystanków, do których mnie zaprowadziły. Wracałam do Horwell – jakkolwiek źle to zabrzmiało. Wracałam tam, skąd przed laty uciekłam, nie oglądając się za siebie.

Z ostrożnością pokonywałam kręte i wąskie drogi, w myślach modląc się, by nie wpaść w poślizg. Padało tak bardzo, że wycieraczki z trudem nadążały zbierać wodę. Potężne drzewa w znacznej części zakrywały niebo i miałam wrażenie, iż dzień zbyt szybko przemienił się w noc. Zwolniłam na zakręcie, wiedząc, że tuż za porastającymi pobocze krzewami znajdują się klify, z których z łatwością można spaść wprost w zburzone fale. Dostrzegłam znajomą tablicę informującą, iż do Horwell pozostało zaledwie dziesięć mil, i odruchowo przełożyłam nogę na hamulec. Wiedziałam już, gdzie jestem. Zbliżałam się do farmy Rolandsów. Zatrzymałam się i skierowałam chłodny nawiew powietrza na przednią szybę, chcąc się pozbyć wilgoci, która ograniczała mi widoczność.

– Posłuchaj, Olive, to wcale nie musi być koniec. Nie traktuj swojego powrotu jako porażki. – Potaknęłam głową, przyznając sobie rację, a palcami nerwowo wystukiwałam rytm na skórzaną kierownicę. – To, że raz poniosłaś klęskę, nie musi oznaczać, że od razu jesteś beznadziejna. Dasz radę! Kto, jak nie ty! Wyliziesz rany, odpoczniesz, wyremontujesz dom, sprzedasz go, a pozyskane pieniądze zainwestujesz we własną klinikę. Musisz tylko... – Spojrzałam na serdeczny palec i pierścionek z brylantem, który otrzymałam od Martina. Nawet w tak ponury dzień pięknie odbijał zabłąkane promienie słońca, które jakimś cudem przebiły się przez wysokie drzewa i wpadły do wnętrza auta. – Musisz tylko uwolnić się od przeszłości. – Zacisnęłam zęby. Zdecydowanym ruchem ściągnęłam z palca pierścionek zaręczynowy i opuściwszy szybę, rzuciłam nim w stronę wysokich krzewów

rododendronów. Pierścionek odbił się od tabliczki z nazwą miejscowości, a następnie spadł miękko na leśne poszycie.

– To by było na tyle – powiedziałam, tym razem znacznie ciszej. Czy czułam się lepiej bez pierścionka na palcu, który był zaręczeniem naszej wspólnej przyszłości? Nie, wcale nie było mi lżej, ale czasami musimy mieć odwagę zrobić to, czego bardzo się boimy. W przeciwnym razie zduszą nas strach i obawy. Zamknęłam okno, chcąc jak najszybciej ruszyć ku nowej codzienności, by w końcu pozbyć się bólu, który dławił mnie od środka. Dodałam gazu, ale samochód nawet nie drgnął. Usłyszałam warkot silnika oraz odgłos błota rozpryskującego się o tylną szybę i karoserię.

– Nie, tylko nie to – jęknęłam, niemal płacząc. Z desperacji uderzyłam czołem o kierownicę, a dźwięk klaksonu przestraszył sójki i zmusił je do wzbicia się w powietrze. Przez chwilę fruwały nad moim samochodem, szaleńczo trzepocząc skrzydłami, by w końcu poszybować ku górze i usiąść na gałęziach topoli. – Widzisz, co narobiłaś? Mogłaś uciec w dowolny zakątek Anglii, mogłaś sprzedać to wszystko w cholere, wyjechać do Hiszpanii i osiąść na stałe na Lanzarote, ale zabrakło ci na to odwagi, Olive. Zostałaś, bo łudzisz się, że on będzie o ciebie walczył, że cię znajdzie i w ramach pokuty na kolanach przebędzie drogę z Bristolu do Horwell, by błagać o twoje przebaczenie, a wówczas spektakularnie kopniesz go w tyłek. Idiotka z ciebie! Idiotka! – Nerwowo pacnęłam dłonią w kierownicę, ponownie powołując klakson do życia.

Intensywny deszcz zmienił się w mżawkę. Sięgnęłam po leżącą na fotelu pasażera dzinsową kurtkę, zarzuciłam ją na ramiona i niechętnie otworzyłam drzwi samochodu. Spojrzałam w dół i cichutko zakląłam pod nosem. Gdzie ja wylądowałam? W ruchomych piaskach? Widząc ogromną, błotnistą kałużę, zdjęłam z nóg sportowe buty, podwinęłam nogawki spodni i ostrożnie zanurzyłam stopy w ciemnej brei. Ależ była lodowata! Pomyślałam, że przypłcę to infekcją pęcherza i jak nic wieczór spędzę na kanapie, tuląc termofor do swoich dolnych partii ciała.

– Boże, nie wiem, co dla mnie szykujesz, ani co tam sobie zaplanowałaś, ale sądząc po kłodach, które rzucasz mi pod nogi, musi to być coś wielkiego. Tak, masz mnie. Chciałam powiedzieć „coś zajebistego”, ale w rozmowie z Tobą chyba mi nie wypada, prawda?

Brnęłam w błocie krok za krokiem, a gdy w końcu doszłam do tylnego koła, przykucnęłam i zauważyłam, że ugrzęzło w mazi aż po wahacz. Wstałam niczym rażona prądem, a w uszach słyszałam szum wściekle krążącej krwi. Z kieszeni kurtki wyjęłam komórkę, łudząc się, że będzie miała zasięg. Dupa! Zbliżałam się przecież do Horwell, miejsca, które wciąż było jak osiemnastowieczna twierdza. Spojrzałam

w niebo, które przysłaniały konary drzew, i chociaż wiedziałam, że nie powinnam, nie mogłam sobie darować, by nie krzyknąć:

– Przesadziłeś! Słyszysz?! Przesadziłeś! Nie wiem, jak to odkręcisz, ale w tej chwili musisz zrobić coś, co sprawi, że auto wzbije się w powietrze i... – Zamilkłam. Znowu to poczułam. Zapach słodkiego migdałowca. Czułam go tak wyraźnie, jakbym wsadziła nos w bukiet kwiatów lub słodko pachnący krzew. Deszcz przestał siąpić. Promienie słońca coraz śmielej przebijały się przez gęste konary drzew, rzucając ciepłe refleksy na wilgotną glebę. Zrobiło się cicho. Bardzo cicho. Świat zamarł, a ja byłam w stanie usłyszeć krople spadające z liści i rozbijające się o ziemię. Zdałam sobie sprawę, że się boję. Boję się czegoś niezrozumiałego, czegoś potężnego. Serce biło mi niczym powolnie kozłowana piłka. I wtedy go zobaczyłam. Bordowy ford ranger wyłonił się zza zakrętu, minął mnie, zwolnił i zatrzymał się w odległości kilku metrów.

– Dzięki – powiedziałam, spoglądając w niebo. – To żeś się postarał, nie ma co – dodałam, marszcząc nos, bo otaczający mnie zapach z każdą mijającą sekundą był coraz intensywniejszy. Wypełniłam płuca wilgotnym powietrzem i ruszyłam w stronę kierowcy z nadzieją, że pomoże mi wyciągnąć auto. – Z nieba mi spadłeś! – rzuciłam zakłopotana w chwili, w której kierowca zaczął opuszczać szybę.

I wówczas go rozpoznałam. Flynn Sallow, miejscowy dziwak. Ten sam, który nie zważając na plan ceremonii pogrzebowej Rachel, pożegnał się z nią w chwili, w której uznał to za słuszne, w poważaniu mając porządek pochówku. Wiatr zawiął nieco mocniej, strącając z mokrych liści rododendronów krople deszczu. Jasne, sprężyste loki Flynnna zatańczyły wokół jego twarzy, gdy wbijał we mnie przeszywające spojrzenie. Miał ładną twarz. Idealnie nadającą się na pierwsze strony gazet. Był śniadym mężczyzną o silnie zarysowanej szczęce. Gdybym określiła go mianem przeciętniaka, skłamałabym. Naprawdę było na co popatrzeć. Tylko jego niebieskie oczy wzbudzały dystans, by nie powiedzieć: strach.

– Hej, nazywam się Olive Loughty i jestem krewną Rachel, nie wiem, czy mnie kojarzysz... – Wykrzywiłam palce dłoni. Denerwowałam się, w zasadzie sama nie wiedziałam dlaczego. On zaś, wciąż milcząc, skłonił delikatnie głowę i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik przestał pracować i znowu zrobiło się cicho. Miałam wrażenie, że słyszę bicie własnego serca. Bałam się, że on też mógł je usłyszeć. Było dziwnie. Tak nietypowo. Mimo to przełknęłam ślinę, która stała mi gulą w gardle, i kontynuowałam: – Moje auto ugrzęzło. Czy byłbyś na tyle miły i pomógł mi je wyciągnąć? – Wsunęłam pasemko ciemnych włosów za ucho i nerwowo zagryzłam wargę. Flynn otworzył drzwi tak niespodziewanie, że zmuszona byłam odsunąć się,

by nimi nie oberwać. Wskoczył z auta i bez słowa ruszył w stronę paki. Przez chwilę podziwiałam jego tyłek. Przysięgam, że noszenie mocno opinających pośladki spranych dżinsów w połączeniu z ciężkimi, skórzanymi butami i flanelową koszulą w kratę powinno być zakazane. Taki strój działał na większość kobiet jak skąpe bikini na wygłodniałych mężczyzn. Naprawdę starałam się odwrócić od niego wzrok, ale nie potrafiłam. Przez chwilę zagryzłam dolną wargę, czując, jak fala gorąca zalewa mnie od środka. Zdrowiałam – jakby określiła to Memphis. Po traumatycznych przejściach związanych z Martinem wracałam do normalności. I chociaż myślałam, że będę na to potrzebowała długich miesięcy, najwyraźniej byłam w błędzie. Tyłek Flynn Sallowa szybko mi uzmysłowił, że gdy w grę wchodzi zdrada, miłość szybko idzie w zapomnienie. Przynajmniej tak było w moim przypadku.

– Masz u mnie plusa. Chyba nawet wybaczę Ci to błotne bajoro, w którym wylądowałam – powiedziałam, pospiesznie spoglądając w stronę nieba. – Twój plan zaczyna mi się podobać. – Poczulałam na sobie spojrzenie Flynn, który teraz wychylił się zza paki, najpewniej myśląc, że mówiłam do niego. – Nie przejmuj się. To nie do ciebie. – Machnęłam ręką i mrugnęłam okiem, licząc na to, że sprowokuję go do uśmiechu, ale nic takiego nie miało miejsca.

Facet był tak sztywny, jakby przez całe życie nosił zbyt ciasne bokserki. Gdy w końcu przestał przerzucać skrzynki z narzędziami, wciąż milcząc, ruszył w stronę auta, a wraz z nim powędrowało moje spojrzenie. Flynn, nie zważając na błoto, klęknął na ziemi i zamocował linkę holowniczą. Następnie wstał i trzymając w dłoniach jej drugi koniec, kiwnął głową w stronę mojego samochodu. Zrozumiałam jego polecenie. Po raz kolejny pokonałam błotnistą trasę i wsiadłam do mercedesa, krzywiąc się na widok zabłoconych stóp, które spoczęły na samochodowej wycieraczce. Flynn przymocował drugi koniec linki do forda, a następnie wskoczył do niego z większą gracją niż ja, zapewne nie rozczulając się nad tym, że zapaskudzi jego wnętrze. Uruchoił silnik i wystawiwszy rękę za okno, dał mi znak, że powinnam zrobić dokładnie to samo. Jego samochód z łatwością ruszył przed siebie. Po chwili praca silnika stała się głośniejsza, a mną targnęło nieprzyjemne szarpnięcie. Jedno... drugie... I po sprawie. Niemal krzyknęłam z radości, gdy poczułam pod kołami stabilne podłoże. Flynn zatrzymał się i w pośpiechu wyskoczył z auta. Ja zrobiłam to samo, a gdy odpinał linkę holowniczą, stanęłam tuż za nim, bosą przestępując z nogi na nogę.

– Dziękuję, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ty. Zapewne byłabym zmuszona pozostawić auto i pokonać resztę drogi pieszo.

Podniósł się i zwijając linkę, patrzył na mnie z uniesioną wysoko brwią. Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam dłoń w jego kierunku.

– Jeszcze raz dziękuję.

Zamarł. Spojrzał na moją rękę, następnie w moje oczy, i gdy już myślałam, że nic z siebie nie wydusi, rzucił krótkie:

– Nie ma sprawy. – Wyminął mnie, nie decydując się na wymianę uścisku dłoni, i szybkim krokiem udał się w stronę samochodu. Wrzucił linkę na pakę, wskoczył do auta i jakby nigdy nic, ruszył przed siebie. Zdażyłam zasłonić się rękoma, by nie dostać błotem spod kół prosto w twarz. Zrobił to celowo? Możliwe. Kto normalny zachowuje się tak, jak Flynn Sallow? I co takiego łączyło go z Rachel? Strzepnęłam większe bryłki mazi z rękawów kurtki, wciąż będąc w szoku.

– Jaja sobie ze mnie robisz, co? – wyszeptalam, spoglądając w niebo. Miałam wrażenie, że słyszę Jego śmiech.

Wczesnym popołudniem dotarłam do domu Rachel. Po drodze zajechałam do lokalnego sklepiku, by kupić kilka najpotrzebniejszych produktów. Wrzuciłam do koszyka ciemne pieczywo, opakowanie jaj, butelkę napoju migdałowego i chudą wędlinę. Napisałam do Memphis wiadomość, w której poinformowałam, że dotarłam do celu, z nadzieją, że kiedyś ją otrzyma. Oczywiście pominęłam przygodę z autem i Flynnem Sallowem w roli głównej.

Przez dłuższą chwilę przyglądałam się pustemu gankowi. I chociaż stały na nim donice wypełnione hiacyntami, żonkilami i krokusami, mój wzrok przykuł stary, wiklinowy fotel bujany, na którym zwykła siadać ciotka. Wiatr delikatnie wprawił go w ruch. Przymknęłam oczy, chcąc chociaż na krótką chwilę wrócić do czasów, gdy byłam dzieckiem, do czasów, gdy codzienność nie bolała tak bardzo, jak boli teraz. Chciałam być szczęśliwa, móc jeszcze raz dokonać tych większych życiowych wyborów i tym razem nie schrzanić tego, co schrzaniłam. Bóg jest większy niż walka, z którą się zmagasz. Zaufaj Mu! – usłyszałam głos Rachel wyraźnie, jakby szeptała mi do ucha. Otworzyłam oczy, a serce biło mi tak bardzo, że niemal boleśnie uderzało o żebra. Czułam, że jest tuż obok. Czułam, że chciała, by tak właśnie się stało: bym wróciła do domu.

– Wiedziałaś, że tak to się skończy, prawda? – Gdy wypowiedziałam te słowa, usłyszałam, jak smutno brzmi mój głos. Na ganek wbiegły dwie wiewiórki, kontrolnie zaglądając do pustych miseczek. Jedna z nich wskoczyła na parapet, stanęła na tylnych łapkach i przytuliła pyszczek do okna. Szukała Rachel. Byłam o tym przekonana. Coś mnie ścisnęło za mostkiem i sprawiło, że w sercu poczułam żal. Żal, który teraz wylewał się ze mnie każdym fragmentem skóry. Dusił mnie. Czułam się,

jakbym dryfowała po bezkresnym oceanie. A najgorsze w tym wszystkim było to, że nie wiedziałam, jak długo będę w stanie utrzymać głowę nad powierzchnią.

Przekroczwszy próg domu, sięgnęłam po mieszankę orzechów i sucharów, które wysypałam do porcelanowej miseczki, stojącej na ganku. Wiewiórki ostrożnie do niej podeszły i zabrały się za pałaszowanie przysmaków.

Popołudnie upłynęło mi na rozpakowywaniu zawartości auta i sprzątaniu mieszkania. Z grubsza ogarnęłam pokoje, nieco więcej czasu spędziłam w kuchni. Staralam się nie skupiać na tym, że dom bez Rachel nie jest już tym samym domem. Pomyślałam, że aby było mi łatwiej, z początku będę się oszukiwała. Wmawiałam sobie, że ciotka wyszła na spotkanie koła biblijnego i za chwilę wróci. Tym sposobem mogłam skupić się na porządkach i myślami uciec w zupełnie innym kierunku. Musiałam złapać głębszy oddech, oczyścić umysł z emocji, by móc zaplanować przyszłość. I gdy tak przymierzałam się do snucia nieśmiałych planów, czyjaś dłoń zacisnęła się na moim ramieniu. Wrzasnęłam przerażona, a gdy się odwróciłam, ujrzałam znajome zielone spojrzenie. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy drżącym głosem powitałam Jodie:

– Cześć, ale mnie wystraszyłaś! – Dłoń wciąż trzymałam na klatce piersiowej, jakbym chciała mieć pewność, że serce pozostanie na swoim miejscu. – Co ty tu robisz?

– Cześć, przepraszam, że cię przestraszyłam. – Skrzywiła się, robiąc współczującą minę, i postawiła na kuchennym blacie naczynie żaroodporne. – Zauważyłam twój samochód na podjeździe i domyśliłam się, że jednak postanowiłaś wrócić i uporządkować rzeczy ciotki, więc założyłam, że na pewno nie będziesz miała czasu i głowy do gotowania, zatem przybyłam z odsieczą.

– Z odsieczą? – powtórzyłam niczym echo i uważnie przyjrzałam się naczyniu. Na wewnętrznej stronie pokrywki niespokojnie drżały krople pary wodnej, a samo danie wyglądało apetycznie. Mój żołądek zaburczał jak na zawołanie, co Jodie skomentowała jedynie szerokim uśmiechem.

– Klopsiki w sosie pomidorowym, z ryżem i pieczarkami. – Uniosła wieko naczynia, a zapach potrawy zatańczył w moich nozdrzach niczym najbardziej lubiany bukiet aromatów. Wyczułam bazylię i tymianek, na które natychmiast zareagowały moje ślinianki. – Przepraszam za to wtargnięcie, ale pukałam i nie reagowałaś. Drzwi były otwarte, więc...

– Daj spokój... – Machnęłam ręką, bagatelizując jej tłumaczenia. – Odplynęłam w myślach i zwyczajnie nie słyszałam pukania. – Podeszłam do szafki i wyjęłam z niej dwa talerze, z szuflady zaś komplet sztućców. – Zjesz ze mną, prawda?

– Jasne, że tak.

Szybko nakryłam do stołu, a gdy Jodie zajęła miejsce na jednym z krzesel, spytałam:

– Napijesz się nalewki? Mam na nią ogromną ochotę.

Spięła się. Dostrzegłam to od razu.

– Nie namawiam. Możemy się napić innym razem. – Czekałam w zawieszeniu na jej odpowiedź.

Jodie poruszyła się niespokojnie, następnie spojrzała na zegarek i po dłuższej chwili milczenia uśmiechnęła się tak radośnie, jak tylko ona potrafiła.

– Z przyjemnością. Dziewczynki spędzają weekend u szwagierki, więc kiedy, jeśli nie dziś. – Zdjęła z ramion sweter i przerzuciła go przez oparcie krzesła. Zaczęłam przeszukiwać kuchenne szafki jedna po drugiej z nadzieją, że znajdę w nich chociaż buteleczkę trunku. Rachel lubiła ten rodzaj alkoholu. Zdarzało się, że sama robiła domowe nalewki. Zwykła mawiać, że pije się je dla zdrowotności i zawsze w małych ilościach.

– Mam! Może być z aronii? Wow! Rocznik dwa tysiące piąty, więc będzie miała kopnięcie. – Mruknęłam dla rozładowania napięcia. Śmiech Jodie zawirował w powietrzu niczym confetti. Dom... Wróciłam do domu. Za sprawą jej chichotu poczułam się, jakbym była we właściwym miejscu; w miejscu, do którego nigdy nie przestałam należeć.

Sięgnęłam po kryształowe kieliszki i nalałam nam alkoholu. Jodie w tym czasie wypełniła talerze przygotowanym daniem. Dopiero gdy włożyłam do ust pierwszy kawałek i poczułam na języku smak sosu pomidorowego, uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam głodna.

– Boskie, naprawdę. I pomyśleć, że w młodości nawet jajecznicę nie potrafiłaś zrobić.

– Yhy, życie weryfikuje nasze umiejętności, plany na przyszłość i decyzje – powiedziała z pełną buzią.

– Tak, a my to wiemy jak nikt inny – dodałam i upiłam łyk nalewki, na krótką chwilę uciekając spojrzeniem w kuchenne okno.

– My? – powtórzyła Jodie.

Wzruszyłam ramionami i wbiłam widelec w jeden z klopsików.

– Chyba zostanę w Horwell nieco dłużej, niż planowałam. Może nawet miesiąc lub kilka miesięcy...

Zastygła w bezruchu, cierpliwie czekając na moje wyjaśnienia, a ja nagle znalazłam w sobie odwagę, by jej o wszystkim opowiedzieć. Czasami musimy

popłynąć z nurtem, wyrzucić z siebie to, co nas boli, popłakać, pokrzyzczeć, przekląć, a nawet zrobić wyrzuty Bogu. I ja właśnie tego potrzebowałam. Oczyszczenia. Wraz z tempem upijania nalewki wzrastało tempo słów, które z siebie wyrzucałam. Słów, które kreśliły moją przeszłość, nieco kształtowały teraźniejszość, ale jeszcze w żaden sposób nie potrafiły nadać formy czekającej mnie przyszłości. Opowiedziałam Jodie o Martinie, o oskarżeniach, które padły z jego ust, i o tym, w jakiej życiowej próżni aktualnie zawisłam. Wspomniałam o próbach zajścia w ciążę, które zawsze kończyły się rozczarowaniem i przepłakаныmi nocami, a ona słuchała. Słuchała tak, jak przed laty. Z zainteresowaniem, z powagą, nie wchodziła mi w słowa, a jedynie potakiwała głową na znak, że mnie rozumie. A gdy butelkę nalewki później w końcu ucichłam, łzy na moich policzkach zdążyły już wyschnąć, Jodie wstała, podeszła do mnie, zamknęła w swoich ramionach i wyszeptowała:

– Dobrze, że wróciłaś. Nawet nie wiesz, jak mi ciebie brakowało.

Nie odezwałam się, bo niby co miałam jej powiedzieć? Że myślę o tym, by sprzedać dom ciotki i ponownie stąd uciec? Że Horwell to taka moja chwilowa poczekalnia na lepsze czasy?

– Ta i okoliczne wsie potrzebują weterynarza, a ty potrzebujesz pracy. Może to wszystko dzieje się po coś? Może...

– Bóg tak chciał? To chciałaś powiedzieć? – Jodie wróciła na swoje miejsce, uważnie mi się przyglądając.

– Jakkolwiek to zabrzmie, myślę, że On wie, co robi. A ty powinnaś być otwarta na Jego plany. Olive... – Pochyliła się nad stolikiem i chwyciła mnie za rękę. – Przecież możesz tu żyć i nadal robić to, co kochasz.

– O czym mówisz? – Zmarszczyłam brwi, próbując nadażyć za jej tokiem myślenia.

– Dom ciotki Rachel jest spory. Z powodzeniem możesz przekształcić dół na klinikę weterynaryjną, a górę na część mieszkalną.

Zaśmiałam się pełną piersią jak ktoś, kto usłyszał dobry dowcip.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Mam stół kuchenny zamienić na weterynaryjny? – Przeczesałam włosy dłońmi i związałam je na czubku głowy.

– No a po co ci taki duży stół? – Puściła oczko, rozbawiona swoją odpowiedzią.

– Jodie, to tak nie działa. Klinika weterynaryjna to nie tylko stół. Potrzebne są jeszcze, nie wiem... – Szeroko rozłożyłam ręce, porażona jej pomysłem. – Chociażby pompy infuzyjne, przenośne ultrasonografy, stół RTG i cała masa innych rzeczy. Pojęcia nie masz, ile tego potrzeba i jaki byłby koszt zakupu sprzętów. A o formalnościach i biurokracji wolę nawet nie wspominać.

– Może i nie mam pojęcia – fuknęła, udając obrażoną. – Ale mam szczerą chęć pomocy. A ty powinnaś wykrzesać z siebie nieco odwagi i przestać w końcu bać się tego, co przyniesie przyszłość. Za dużo analizujesz, za mało działasz. – Skrzyżowała ramiona na piersi i plecami przyłgnęła do oparcia krzesła.

– Ja? Ja się boję przyszłości? – sarknęłam prześmiewczo, palcem wskazującym dźgając się w mostek.

– A kto głośno protestuje przed otwarciem własnej działalności, mimo że obie wiemy, że to bardzo dobry pomysł? Tylko raz w życiu miałaś odwagę zawalczyć o to, co było dla ciebie ważne. Walczyłaś, by dostać się na weterynarię, mimo że Rachel prosiła, byś wybrała medycynę. Więc nie strać tego, o co z takim trudem zabiegałaś. Rób to, co kochasz, i nigdy, absolutnie nigdy, nie żyj pod czyjeś dyktando, Olive. Możesz wykonywać pracę, która daje ci satysfakcję, i możesz być sobie szefem. Jedyne, co musisz zrobić, to się odważyć. Odważyć żyć tak, jak zawsze chciałaś.

Zamilkła. Ja też. I tylko stary zegar cykał w najlepsze, odmierzając kolejne sekundy od tego, co było, i do tego, co stać się musiało.

– Masz czerwone stringi? – spytała po dłuższej chwili milczenia.

– Że co? – Zmarszczyłam brwi, nie mając pewności, czy dobrze ją zrozumiałam.

– Pytam, czy masz czerwone stringi. – Założyła ręce na piersi i i przyglądała mi się z wysoko uniesioną prawą brwią. Policzki spłonęły mi rumieńcem.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nigdy nie nosiłam stringów. Na studiach miałam koleżankę ginekolożkę, która stanowczo odradzała ten typ bielizny. Podobno sprzyja ona infekcjom i...

– Boże... – jęknęła Jodie, na krótką chwilę zakrywając dłońmi twarz. – Kup czerwone stringi, załóż je na dupę, a zobaczysz, że poczujesz się pewniej.

– Pewniej? – powtórzyłam niemal szeptem. – Moja życiowa pewność nigdy nie będzie zależna od rodzaju majtek, które mam na sobie – zawyrokowałam, lekko oburzona.

Jodie nachyliła się nad stolikiem, zmniejszając dzielącą nas odległość, następnie wolno i bardzo wyraźnie powiedziała:

– Kup te cholerne stringi, Olive.

I w tej chwili dostrzegłam przed oczami cytatą blondynę stojącą w moim korytarzu w stringach na tyłku. Pewność siebie. Czerwone stringi. Zapamiętać, uwierzyć, kupić – powtarzałam w myślach niczym mantrę. Nie zaszkodzi, prawda?



Rozdział 5

Olwe

Horwell było specyficzną wsią. W centralnym miejscu, na wzgórzu, wznosił się kościół, a wokół niego widniały najbardziej strategiczne punkty. Tym sposobem, tuż obok siebie, znajdowały się: cukiernia, niewielki sklep spożywczy, prowizoryczny salon fryzjersko-kosmetyczny, który sytuował się na parterze domu mieszkalnego Caroline Cox, szkoła i oczywiście budynek, w którym przesiadywały lokalne kury domowe, zwany Domem Gospodyń. Był też sklep rolniczy, szczycący się swoją bogatą ofertą nawozów, a także wiejski rynek, na którym rolnicy z Horwell i okolicznych wsi sprzedawali swoje wyroby i na który postanowiłam zawitać dzisiejszego ranka.

Przystanęłam przy jednym ze straganów i chwyciłam w dłoń pęczek rzodkiewki. Pachniała obłądnie. Bez wątplenia największym plusem zamieszkania w tej dziurze był dostęp do ekologicznej żywności i świeżego, morskiego powietrza, które niesione wiatrem otulało mieszkańców wonią jodu. W Horwell czas zatrzymał się całe dekady temu. Miałam wrażenie, że od mojego wyjazdu na studia nic się tu nie zmieniło. To nadal była ta sama senna wieś, pozbawiona wszelkich atrakcji.

– To panienka, prawda? Wnuczka Rachel? Ależ panienka wyrosła. – Sprzedawca sięgnął po woreczek i wrzucił do niego wybrany przeze mnie pęczek rzodkiewki.

– Tak, to ja. Przepraszam, nie kojarzę pana. Minęło sporo czasu od mojego wyjazdu i... – urwałam i chwyciwszy w palce kosmyk włosów, którym bawił się wiatr,

wsunęłam go za ucho.

– Nie szkodzi. Kto by tam starego dziada pamiętał – zażartował. – Pani otwiera u nas klinikę weterynaryjną, prawda? Z nieba nam pani spadła. – Ręce złożył jak do modlitwy. – Moja klacz w ostatnim czasie często miewa kolki. Raz naprawdę było z nią krucho. – Pokręcił głową, a następnie chwycił w palce sprany kaszkiet, zdjął go z głowy i przygładził włosy ręką. – Jestem John Davis, mieszkam zaraz przy drodze wjazdowej do wsi. Gdyby miała pani chwilę i zajrzała do mojej Ateny, to... – Patrzył na mnie wzrokiem, z którego wylewała się nadzieja, a ja byłam w stanie myśleć tylko o tym, że muszę rozprawić się z Jodie. Zawsze miała długi język, ale tym razem odrobinę się zagalopowała.

– Panie Davies... – zaczęłam, siląc się na uśmiech.

– John, proszę mi mówić John. – Przesząpił z nogi na nogę, w dłoniach nerwowo obracając kaszkiet.

– John, jestem Olive. – Wyciągnęłam dłoń w geście przywitania, on zaś wytarł swoją o robocze spodnie, nim zacisnął palce wokół moich.

– Wiem, wiem. Ostatni raz rozmawialiśmy, gdy byłaś jeszcze dzieckiem.

Uśmiechnęłam się i sięgnąwszy do koszyka po portmonetkę, wyjęłam z niej pięć funtów.

– Myślę, że Jodie nieco przesadziła, mówiąc, że otwieram klinikę. Tak naprawdę wciąż się nad tym zastanawiam i szczerze powiedziawszy, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł, by... – Uśmiech zniknął z jego twarzy szybciej, niż się na niej pojawił. Oczy Johna posmutniały. Opuścił ręce i przygarbił się rozczarowany. Niemal pękło mi serce. – Ale wiesz co, z przyjemnością poznam Atenę – powiedziałam szybciej, niż pomyślałam. Słowa same ze mnie wystrzeliły niczym noworoczne fajerwerki, zaś oczy Johna rozbłysnęły wdzięcznością i szczęściem. – Zajrzę do ciebie pod wieczór, dobrze? – Wyciągnęłam rękę, chcąc zapłacić za rzodkiewkę, ale John wrzucił do woreczka kolejny pęczek i melodyjnym głosem odmówił przyjęcia zapłaty.

– To w prezencie. Są pyszne, pani doktor. I na złotku uprawiane. Żadnej chemii – zapewniał żywiołowo.

– Na złotku?

– Krowim oborniku, znaczy się. – Skinął głową i dosłownie wcisnął mi woreczek w dłoń. – Będę na panią czekał, pani doktor.

– Wystarczy Olive. Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

Uśmiechnął się serdecznie, a ja miałam wrażenie, że za sprawą tego uśmiechu coś się we mnie zmieniło.

– Dobrze – potaknął. – Do zobaczenia wieczorem.

– Do zobaczenia, John.

Wrzuciłam rzodkiewki do wiklinowego koszyka i ruszyłam w stronę piekarni, która znajdowała się tuż za rogiem. Z chwilą przekroczenia jej progu powróciło do mnie wspomnienie z młodości. Rachel zawsze kupowała chleb u pana Mandeville, pamiętając o tym, by wrócić do domu z bułeczką cynamonową dla mnie. Wiedziała, jak ogromną słabość do nich miałam, i tym prostym gestem, tym, że o mnie pamiętała, zawsze rozgrzewała moje serce. To właśnie za sprawą bułeczek cynamonowych zmusiła mnie do tego, bym się do niej odezwała. Po śmierci rodziców, a wkrótce także babci, obraziłam się na cały świat. Nie czułam potrzeby rozmawiania z nikim, nie chciałam jeść, bo i nie widziałam sensu w tym, by żyć. Gdy młodemu człowiekowi wali się świat, gdy traci ludzi, których kocha, traci również chęć nawiązywania relacji z kimś obcym, a Rachel wówczas była dla mnie niemal obca. To zabawne, że lata później stała mi się tak bliska, a teraz, gdy już jej nie ma, czuję się, jakbym straciła część siebie, jakby zmienił się świat i tylko zapach cynamonowych bułeczek pozostał taki sam. Zawsze powtarzała, że aby móc zacząć od nowa, trzeba najpierw pożegnać to, co mamy już za sobą, a płacz jest swego rodzaju żałobą po tym, co straciliśmy. No więc płakałam i połykałam kęsy cynamonowych bułeczek, aż płacz stał się łkaniem, by w końcu odejść w zapomnienie.

– Olive! Jakże miło cię widzieć, dziecko! – zawołał ożywiony pan Mandeville, ubrany w białą zapaskę i czapkę piekarską, po czym posłał w moją stronę szeroki uśmiech.

– Dzień dobry! – Postawiłam koszyk na podłodze, tuż obok nóg, a piekarz oparł swoje dłonie o blat i w zadumaniu pokręcił głową.

– Wyrosłaś na piękną kobietę, Olive. Aż żałuję, że moi synowie już są żonaci. – Mrugnął okiem, a mnie policzki stanęły w ogniu.

– Dziękuję. Ma pan dwie wspaniałe synowe, nie ma czego żałować – skontrowałam, nerwowo wykręcając palce dłoni.

– Podobno o ludziach nie wypada mówić źle, ale... – Nachylił się jeszcze bardziej, przywołał mnie do siebie ruchem ręki, a gdy dzieląca nas odległość znacznie się zmniejszyła, szepnął: – Leniwe krowy z nich, żadna do pracy się nie nadaje. – Następnie wyprostował się niczym struna i chwycił w dwa palce podkręcony wąs. – Słyszałem, że zostaniesz u nas na dłużej i że otwierasz klinikę weterynaryjną. Ambitnie. Ta wieś potrzebuje kogoś takiego jak ty.

– Czyżby dziś rano Jodie robiła u pana zakupy? – Pokręciłam głową, pełna podziwu dla szybkości działania przyjaciółki.

– To mała wieść, dziecko, a dobre wieści rozchodzą się tu szybciej niż te złe. – Skrzyżował dłonie na piersi i puścił do mnie oczko.

– Tak, chyba już o tym zapomniałam. – Przycisnęłam język do zębów, by przypadkiem nie powiedzieć zbyt dużo. – Zapomniałam też, jaką plotkarą jest Jodie – wyznałam szczerze rozbawiona.

– I jak tu jej nie kochać? – Pan Mandeville wyjął spod lady biały papier z logo piekarni, położył go na blacie i podwinąwszy rękawy koszuli, spytał, co zapakować.

– Mały bochenek chleba lawendowego, poproszę.

– A jednak pozostałaś wierna swoim dawnym przyzwyczajeniom? – Sprawnie zapakował bochenek i nabił na kasę jego wartość. Dzwoneczek zawieszony przy drzwiach oznajmił przybycie nowych klientów. Piekarz spojrzał w stronę wejścia i radosnym głosem powitał kolejnych mieszkańców wsi, by ponownie utkwic spojrzenie w mojej twarzy.

– Zdecydowanie, ale tylko tu, w Horwell – dodałam. – Lawendowy chleb w Bristolu smakuje paskudnie. – Mężczyźni oczy rozszerzyły się z zachwytu, a ja chwyciłam zakupione pieczywo i włożyłam do koszyka, tuż obok rzodkiewki.

– Bo wypiekać trzeba sercem i miłością, chęcią nakarmienia głodnych, a nie kierując się pragnieniem zysku.

– I właśnie za to Rachel pana cenila.

Uśmiechnęłam się, ale radość nie zamigotała w jego oczach.

– Dobrze, że wróciłaś, dziecko. Twoja ciotka bardzo tego chciała.

Zacisnęłam usta, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby zranić uczucia piekarza. Pan Mandeville, jak niemal wszyscy mieszkańcy wsi, uwielbiał Horwell wraz z jej brakiem Internetu, przychodni lekarskiej czy zasięgu telefonicznego. Ja wciąż się tego uczyłam. Przywykłam do życia w wielkim mieście i nagła przeprowadzka na typowe zadupie była jak zderzenie z dawno zapomnianą rzeczywistością.

– A to ode mnie, na dobry początek. – Odwrócił się i z drewnianego regału zjął niewielki kartonik. Od razu zorientowałam się, co kryje jego wnętrze. Wydostający się zapach był intensywny i słodki, dokładnie taki, jak go zapamiętałam.

– Bułeczki cynamonowe... – Rozpłynęłam się, nie potrafiąc ukryć wzruszenia. – Dziękuję.

– Pamiętam, jak ogromną słabość do nich miałaś.

– Nadal mam – powiedziałam miękko, zabierając z lady tekturowe pudełko. – Do zobaczenia, panie Mandeville.

– Do jutra, Olive – krzyknął za mną w chwili, w której zacisnęłam dłoń na klamce drzwi.

Do jutra... Wciąż miałam wrażenie, że za dzień lub dwa wyjadę stąd, że nie będzie żadnego jutra. Czułam się jak ktoś, kto na peronie czeka na pociąg i już za chwilę, za kilka minut, wsiądzie i wyjedzie, a tymczasem życie pisało dla mnie inny scenariusz. Miałam tu zostać. I tylko Bóg wiedział, na jak długo.

Szłam w stronę domu i bez wyrzutów sumienia podjadałam cynamonowe bułeczki, nie mając wystarczająco silnej woli, by się im oprzeć. „Jak się masz, Olive? Dobrze, że wróciłaś, Olive. Tęskniliśmy za tobą, Olive. Potrzebujemy cię, Olive” – bezustannie padało z ust mijających mnie przechodniów. Bez wątpienia byłam największą atrakcją we wsi po tym, jak Jodie rozpowiedziała wszystkim o moim powrocie. Ludzki język to jednak potężna maszyna – pomyślałam i konsumując kolejny kęs cynamonki, przystanąłam przed piętrowym domem z drewnianymi okiennicami. Dziwne, ale miałam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy, zupełnie jakby wyrósł spod ziemi. W dodatku budynek wyróżniał się na tle innych domów. Posiadał gustowny, niespotykany w okolicznej architekturze, drewniany ganek z ażurowym wypełnieniem o wzorze winorośli. Otoczony był równie urokliwym, drewnianym płotem, który zapewniał właścicielowi namiastkę prywatności. Zatrzymałam wzrok na stojącej nieopodal altance, którą dostrzegłam przez otwartą furtkę. Był tam również drewniany karmnik dla ptaków wraz z budką lęgową i pięknie wykonana drewniana bujaczka. Z ogrodu dochodził zapach migdałowca i kwitnącej wiśni, który mieszał się z morskim powietrzem. Przyjrzałam się furtce, na której wisiała tabliczka reklamująca usługi remontowo-stolarskie, i wówczas pomyślałam, że nic w naszym życiu nie dzieje się bez powodu. Potrzebowałam kogoś, kto podejmie się naprawy trzeszczących schodów i wykonania nowych parkietów. Dobrze by było zmienić też meble w kuchni, bo te obecne pochodziły z czasów, gdy Rachel była jeszcze młoda. Wiedziałam, iż żeby sprzedać dom po dobrej cenie, najpierw muszę w niego zainwestować. Może warto by było umówić się na wycenę i zorientować się, jak wielkiego nakładu finansowego potrzebuje moja posiadłość, by stać się atrakcyjną dla potencjalnego kupującego?

– Przecież wycena nie jest równoznaczna ze sprzedażą – uciszałam wyrzuty sumienia, stawiając krok za krokiem w kierunku domu. – Tylko się zorientuję – mówiłam do siebie, gdy nieśmiało wkraczałam na ganek, tknięta dobrym przeczuciem, że człowiek, który go wykonał, miał niebywały talent. Wstrzymałam oddech, sycąc oczy solidnie wykonaną pracą. Ależ on był piękny. Przejechałam dłonią po balustradzie, nie mogąc przestać się zachwycać. W każdym kawałku drewna dało się wyczuć uwielbienie stolarza dla tego surowca, a to z całą pewnością miało swoją cenę. Chwyciłam w dłoń kołatkę i zastukałam w drzwi. Odczekałam chwilę

i ponowiłam pukanie. Nic. Cisza. Najwyraźniej w domu nikogo nie było. Jeszcze raz przejechałam dłonią po balustradzie i nim opuściłam posiadłość, zrobiłam zdjęcie tabliczki, łudząc się, że jakimś cudem złapię zasięg i dodzwonię się do stolarza z telefonu komórkowego. Jeśli nie będę miała szczęścia, przyjdę tu znowu, zresztą i tak nie miałam nic lepszego do roboty.

To miała być grzecznościowa wizyta. Miałam wpaść na farmę dosłownie na kwadrans, by sprawdzić, co dolega kłaczy, a następnie wrócić do domu i skupić się na pakowaniu rzeczy ciotki Rachel, które zgodnie z jej życzeniem miały trafić do potrzebujących. Ale cały plan się posypał. Posypał się w momencie, w którym wysiadłam z samochodu i ujrzałam ludzi stojących w kolejce, jakby czekali na świeże pieczywo w sobotni poranek. Potrzebowałam chwili, by zrozumieć, po co tu przyszli, a gdy już w końcu poukładałam to sobie w głowie, niemal ugięły mi się kolana. Czekali na mnie. Jednym towarzyszyły psy i koty, innym kury, był też mężczyzna z prosiakiem, któremu za smycz posłużył sznurek od snopowiązałki, a na samym końcu stała dziewczynka, która kurczowo tuliła do siebie królika. Zrobiło mi się gorąco. W pierwszej chwili zaczęłam panikować. Ostatni raz badałam prosię na praktykach, to samo dotyczyło się kur. Pracując w Bristolu, w głównej mierze miałam kontakt ze zwierzętami domowymi i egzotycznymi, a nie z trzodą chlewną. Mimo wszystko ruszyłam ku zebrany, a strach przed ośmieszeniem i porażką chwycił mnie za płuca, grożąc uduszeniem.

– O, pani doktor! Dobrze, że pani już jest! – John Davis wyszedł przed tłum i ruszył w moją stronę, a gdy dzieliło nas zaledwie kilka centymetrów, wyciągnął ręce i oburącz uściśnął moją dłoń. – Nie mogliśmy się pani doczekać. Orwell, znaczy się weterynarz, który zajmował się naszymi zwierzętami, zmarł niespodziewanie, Panie świeć nad jego duszą, i znikąd nie mamy pomocy. Do najbliższej kliniki jest ponad godzina drogi samochodem. Toć my panienkę po rękach powinniśmy całować, że panienka zgodziła się nam tu pospieszyć z pomocą – trajkotał, prowadząc mnie ku stajni.

– Dzień dobry, nie spodziewałam się aż tylu pacjentów. Nie jestem przygotowana, nie mam ze sobą leków, bo nie planowałam pracować. Chciałabym pomóc, ale obawiam się, że jedyne, co będę mogła zrobić, to wystawić ewentualne recepty i służyć radą – tłumaczyłam nieco nieudolnie.

– To i tak ogromna pomoc, pani doktor. – Uśmiechnął się, a lawina zmarszczek spłynęła po jego twarzy. – Proszę mi wierzyć, łatwiej jest nam po leki do miasta pojechać niż pakować świnie czy konia na przyczepkę i wieźć do weterynarza.

- No dobrze, pokaże mi pan Atenę, może pomogę.
- Proszę przodem, pani doktor. – Przystanął w progu i ruchem dłoni zaprosił mnie do wnętrza stajni. – Ostatni boks po lewej.
- Olive, wystarczy Olive. – Mrugnąłam, łudząc się, że w końcu zaczniesz zwracać się do mnie po imieniu.

Jakże wielkie było moje zdziwienie, gdy Atena okazała się pięknym wierzchowcem, a nie, jak błędnie założyłam, koniem pociągowym. Miała kasztanowe umaszczenie i jasną łatę na oku. Była śliczna, mimo iż już na pierwszy rzut oka można było dostrzec, że coś jej dolega. Podeszłam do klaczy, dłonią śledząc linię jej grzbietu. Pod palcami poczułam silnie napięte mięśnie, zwłaszcza w okolicy zadu, a wzdęty brzuch jednoznacznie wskazywał na zaburzenia trawienia.

– To koń mojej nastoletniej wnuczki. Zawsze marzyła o wierzchowcu, więc kupiłam jej klacz. Wnuczka przyjeżdża do mnie co weekend, co dwa, i wówczas nie ma zmiłuj, pani doktor, żadna siła z konia jej nie ściągnie. Tylko że Atena jakaś taka chorowita. Nie wiem czemu, bo ja to mam pociągowe konie, pani doktor, w lesie mi robotę robią, o wierzchowcach to ja nic nie wiem.

– Czyli klacz nie jest ujeżdżana regularnie? – Chwyciłam za kantar i próbowałam zmusić Atenę do wyjścia z boks. Stawiała opór. Prześledziłam dłonią jej kończyny, chcąc zachęcić zwierzę do zgięcia jednej z nich. Nadaremnie.

– Znaczą na padok to ja ją codziennie wyprowadzam, ale galopuje tylko w te dni, w które Coleen u nas przebywa. Ja to czasu, pani doktor, nie mam. Od rana do wieczora w lesie siedzę, a w soboty żonie na straganie pomagam.

- Olive. – Uśmiechnęłam się szeroko.
- Olive... – poprawił się, wypowiadając nieśmiało moje imię.
- Od jak dawna tak się zachowuje? Ma pan przy sobie nazwy leków, które przepisał poprzedni weterynarz?

– No będzie z kilka tygodni. Tylko tak źle, jak jest dziś, to jeszcze nie było. – Pan Davis wyjął z kieszeni kurtki ulotki lekarstw i mi je podał. – Wcześniej to ona kolki miała, ale teraz, pani doktor, to ja myślę, że ona chora jest.

Pani doktor... Cóż, nie sposób zmienić u ludzi ich przyzwyczajęń.

– Dlaczego? – spytałam, wzrokiem śledząc ulotki. Poprzedni weterynarz postawił na morzyska.

– Bo dziś rano to ona jakieś takie silne poty miała, trzęsła się jak człowiek, gdy z grypą walczy. Nawet ją derką okryłam.

– Dobrze zrobiłaś – pochwaliłam, chcąc dodać Johnowi otuchy, i zwróciłam mu ulotki. – A powiedz mi, proszę, czy poty wystąpiły po jeździe? Wczoraj Atena spędzała

czas z twoją wnuczką?

– Tak. – Otarł dłonią czoło. Zauważyłam, że w stajni robi się coraz tłoczniej. Ludzie, którzy piętrzyli się na dworze, teraz zaczęli zbijać się w grupkę, stojąc już przy samym boksie. Co niektórzy wspinali się na palce, by ponad ramieniem Johna zajrzeć do jego wnętrza.

– John, czy w moczu Ateny zauważyłeś krew? – spytałam, dłonią masując wzdęty brzuch klaczy. Oddychała ciężko, zbyt szybko. Przyłożyłam stetoskop do serca – waliło, jakby dopiero przestała galopować.

– Nie wiem. Sika tak trochę inaczej, jakby sprawiało jej to ból, ale krwi to tam chyba nie było, pani doktor. To coś poważnego, prawda? Czy ona padnie? – spytał drżącym głosem, a stojąca za nim kobieta jęknęła głośno.

– Myślę, że Atena ma mięśniochwat, niektórzy nazywają go chorobą poświęteczną. Słyszałeś o niej?

– Nigdy.

– Gdy koń intensywnie trenuje, to po zakończonym treningu należy go odpowiednio rozstępować. W skrócie chodzi o to, by nie umieszcząć go w boksie, dopóki nie wyrówna mu się oddech. Należy mu również zmniejszyć dawkę paszy, jeśli nie pracuje intensywnie. Rozumiesz? – Potaknął głową, ale nic nie powiedział. – Jeśli się tego nie zrobi, następuje zła przemiana materii w mięśniach, dochodzi do obrzęku komórek mięśniowych, które z czasem obumierają. Myślę, że właśnie z tym mamy do czynienia. Mięśniochwat objawami może przypominać kolkę, ale patrząc na to, jak bardzo sztywne ma nogi Atena, na jej przyśpieszony oddech i poty, o których wspominałeś, obstawiałabym właśnie to pierwsze.

– Padnie? – ponowił pytanie, tym razem ze spuszczoną głową.

– Nie, jeśli szybko wdrożymy leczenie. Jeśli wystawię receptę, będzie pan mógł pojechać do najbliższej kliniki weterynaryjnej po leki? – spytałam, nie przestając głaskać klaczy.

– Ja go zawiozę! – krzyknął mężczyzna stojący w tłumie. – Nie martw się, John, zdążymy wrócić z lekarstwem.

– Świetnie, pobiorę jeszcze próbkę krwi. Zawieziecie ją do laboratorium i oddacie do analizy. Musimy sprawdzić poziom potasu i innych mikroelementów. – Zacisnęłam dłoń na ramieniu Johna. – Nie martw się, powinna z tego wyjść.

Nie odpowiedział.

Skinął głową i sięgnąwszy po derkę, zarzucił ją na grzbiet klaczy.

Gdy wróciłam do domu, zbliżała się godzina dwudziesta pierwsza. Byłam zmęczona, ale jakże podekscytowana. Przez ostatnie dni wypierałam z głowy myśl,

by osiąść w Horwell na dłużej, a już tym bardziej, by otworzyć klinikę weterynaryjną, ale po dzisiejszych wydarzeniach powoli zaczęłam przekonywać samą siebie, że może pomysł Jodie wcale nie był tak absurdalny, jak początkowo założyłam. Może powinnam spróbować. Fakt, zostanie wiejskim weterynarzem nigdy nie było szczytem moich marzeń, ale to, co stało się dzisiaj, ta wdzięczność wylewająca się z oczu zwierząt i ich właściciele sprawiła, że nieśmiało zaczęłam się zastanawiać, co by było, gdybym się odważyła.

Właśnie parkowałam samochód na podjeździe, gdy dostrzegłam Jodie siedzącą na schodach ganku. Na mój widok pomachała energicznie i uniosła pojemnik z żywnością. Pokręciłam głową i wysiadłam z auta ze słowami na ustach: „Choćbyś miała dla mnie kaczkę faszerowaną czarnym kawiolem, nigdy nie wybaczę ci tego, co dziś zrobiłaś”. Jodie zaśmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Przysiadłam tuż obok niej, wyciągnęłam nogi przed siebie i skrzyżowałam je w kostkach. Przyjęłam z rąk przyjaciółki z dzieciństwa piwo i nagle poczułam na nie ogromną ochotę.

– Zasłużyłaś. – Szturchnęła mnie ramieniem i wytknęła język. – Słyszałam, jak świetnie sobie poradziłaś.

– Mam ochotę cię udusić. – Otworzyłam puszkę i upiłam z niej kilka łyków. – Jestem wykończona. Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak „intensywnie” pracowałam. I mówiąc intensywnie, nie myślę o tym, że nie było czasu na przerwę, tylko że już od dawna nie miałam kontaktu z trzodą chlewną. Na ogół zajmowałam się psami, królikami, kotami, czasami legwanami, a tu świnie, konie, kury... – westchnęłam, a Jodie zachichotała.

– Wiedziałaś, że sobie poradzisz. – Mrugnęła, spojrzała przed siebie i tak jak ja upiła kilka łyków piwa. – Z czym miałaś dziś do czynienia?

– Ze wszystkim. – Odstawiłam piwo na ganek i dłońmi przetałam umęczoną twarz. – Mięśniobхват u kłaczy, różycyca u świni, hemoroidy u kury... Mam wrażenie, że przerobiłam niemal cały podręcznik. – Pokręciłam głową, parszkając pod nosem. – Ale udało mi się złapać zasięg na farmie Johna i...

– Zadzwońiłaś do Martina? – spytała z przejęciem, nerwowo się przy tym poruszając.

– Nie. – Posłałam jej krótkie spojrzenie. – To już zamknięty rozdział. Nagrałam wiadomość na pocztce firmy remontowej, prosząc o spotkanie w sprawie kosztorysu.

Jodie zacisnęła dłoń na moim przedramieniu i wyprostowała się jak ktoś, kogo rodzice znienacka nakryli na wypalaniu pierwszego papierosa.

– Czy to oznacza, że zostaniesz w Horwell? – Drugą część zdania wypowiedziała cicho, jakby bała się, że zapeszy. – Olive? – ponagliła mnie, chcąc uzyskać

odpowieź.

– Nie wiem, jeszcze nie podjęłam decyzji. – Wzruszyłam ramionami i nerwowo zaczęłam machać nogami. – Muszę się nad tym solidnie zastanowić. Wiesz, obawiam się, że przekształcenie części domu w klinikę weterynaryjną skutecznie nadwyręży mój budżet. Mieszkańcy Horwell i okolic są bardzo szczodrzy, ale jajami i warzywami rachunków nie zapłacę. – Zmrużyłam oczy i spojrzałam przed siebie. Wysokie topole porastające okoliczne tereny już zdążyły rozwinąć liście, które nieśmiało szumiały, poruszone wiosennym wiatrem. Nad naszymi głowami krążyły dwa sokoły, a w oddali dało się słyszeć trąbiący śpiew żurawi, który brzmiał wyjątkowo dźwięcznie.

– Od jak dawna macie tu żurawie? – spytałam Jodie.

– A mamy? – odpowiedziała, marszcząc brwi.

– Macie. – Uśmiechnęłam się, widząc jej zaskoczenie. – Słyszysz? Ten przeszywający śpiew to właśnie żurawie.

Jodie jeszcze bardziej zmarszczyła brwi, następnie wsłuchiwała się w śpiew ptaków, by po chwili powiedzieć wyraźnie zbulwersowana:

– A więc to cholerstwo, które od tygodni budzi mnie o czwartej rano, to żurawie? – Palcem wskazała w kierunku zagajnika i mokradel.

– Tak. I rozumiem twoje oburzenie, to aktualnie najgłośniejsze ptaki żyjące w Wielkiej Brytanii. – Ponownie upiłam kilka łyków piwa. Jakże mi smakowało. – Wiesz, że jako ptaki lęgowe powróciły do nas po niemal czterystu latach nieobecności? Naukowcy szacują, że w chwili obecnej na wolności żyje nieco ponad siedemdziesiąt par.

– Myślałam, że to szare bociany. I wcale się nie dziwię, że swego czasu wyginęły. Sama mam ochotę do nich strzelać, zwłaszcza o czwartej rano – wyznała z rozbijającą szczerością.

– Nic się nie zmieniłaś, Jodie. – Pokręciłam głową, rozbawiona jej odpowiedzią.

– Pierdzielisz głupoty! Od czasów młodości przytyłam dziesięć kilogramów – fuknęła, łapiąc się za fałdę brzuszna.

– Możliwe, ale nadal jesteś nogą z biologii – powiedziałam, nie mogąc sobie darować.

– Zołza jesteś, ot i co! – odgryzła się natychmiast. – Ale i tak zrobiłam ci kolację. – Wstała, podniosła pojemnik z jedzeniem i patrząc na mnie z góry, rzuciła: – Jeśli któregoś dnia wyczytasz na tych swoich portalach przyrodniczych, że populacja żurawi w Wielkiej Brytanii spadła, to będziesz wiedziała, z czego robiłam ci obiadowe kolacje.

Zaśmiałam się głośno i pełną piersią, dokładnie tak, jak w czasach naszej młodości, gdy wszystko było bez troskie i takie mało kłopotliwe.

– Najpierw musiałabym mieć dostęp do Internetu.

– A właśnie! Od tygodni trwają prace w okolicy, bo wkrótce ma tu stanąć nadajnik radiowy bezprzewodowego dostępu do Internetu, tak że jeśli wszystko pójdzie dobrze, w końcu we wsi będzie można żyć jak w wielkiej metropolii. – Jodie podała mi dłoń, bym mogła wstać. – Chodź, na pewno jesteś głodna. Mam dla ciebie gulasz. Jak na razie z krowy, ale uczciwie ostrzegam, że jeśli pod nóż nawinie mi się jakiś ptak, to...

– Daj spokój. – Machnęłam ręką, jakbym odganiała niewidoczną chmurę. – Wiem, że nie miałabyś odwagi ugotować żurawia. To piękne ptaki – powiedziałam, stając naprzeciwko niej.

– Nie masz pojęcia, do czego jest zdolna niewyspana matka – zażartowała i przewróciła oczami.

– Masz rację, nie mam pojęcia. – Musiałam zabrzmieć smutno, bo Jodie najpierw się spięła, a potem pacnęła otwartą dłońią w czoło, wydając przy tym dźwięk jak ktoś, kto sparzył się przez nieuwagę.

– Przepraszam, jeśli cię zraniłam. Źle to zabrzmiało.

– Daj spokój, nie masz za co mnie przepraszać. – Zaczęłam kierować się w stronę samochodu. – Lepiej chodź mi pomóc, bo sama nie dam rady wnieść do domu tych wszystkich jaj, serów i nalewek, którymi obdarowali mnie farmerzy. Przez cały miesiąc nie będę musiała robić zakupów. – Otworzyłam bagażnik i chwyciłam się pod boki, wędrując wzrokiem po darach wsi.

– Sporo tego – oceniła Jodie. – Naprawdę musiałaś się spisać.

– Wiesz, jeśli zdecyduję się tu pozostać, to z całą pewnością skończę jako alkoholiczka, w dodatku ze skazą białkową.

– Nie przejmuj się, Olive. – Szturchnęła mnie w bok, kolejny już raz. – Jedno i drugie można z powodzeniem leczyć. – Spojrzałam na nią i nie potrafiłam się nie uśmiechnąć. Jodie przygarnęła mnie do siebie ramieniem, ponownie zatopiła wzrok w zawartości bagażnika i z przekonaniem oświadczyła: – Fajnie, że jednak zdecydowałaś się wrócić.

W jej głosie dało się słyszeć radość i ekscytację. Pomyślałam wówczas, że prawdą jest, iż Horwell potrzebowało weterynarza, ale po stokroć mocniej potrzebowała mnie Jodie. Skromna dziewczyna z sąsiedztwa, która z jakiegoś nieznanego mi jeszcze powodu chciała zatrzymać przy sobie przyjaciółkę z dzieciństwa. Nad naszymi głowami przeleciała para żurawi, głośnym śpiewem oznajmiając swoją obecność.

Spojrzałam w górę, zachwycając się rozpiętością ich skrzydeł i gracją, z jaką tańczyły na niebie.

– Pieprzone ptaszyska – syknęła Jodie, chwytając wytłaczankę z jajkami. – Jak długo żyją te stwory?

– Długo. W Japonii i Chinach są symbolem długowieczności i nieśmiertelności, więc... – Sięgnęłam po wiklinowy kosz, w całości wypełniony kozim serem, i postawiłam go na ziemi.

– Ile? – dopytywała Jodie, ostrożnie układając na wytłaczance kolejną.

– Niektóre gatunki dożywają nawet siedemdziesięciu lat. – Spojrzałam na przyjaciółkę, która zmrużyła oczy i zastygła w bezruchu. – Co robisz? – spytałam zdezorientowana.

– Notuję w myślach.

Wyprostowałam się z pęczkiem szczypiorku i butelką nalewki w ręce.

– Co notujesz?

– Konieczność zakupu wiatrówki na Amazonie.



Rozdział 6

Oliver

Tęskniłam za tym. Tęskniłam za bieganiem, za przyspieszonym pulsem i szalenie bijącym sercem. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jogging sprawił mi tyle radości. Z całą pewnością była to zasługa czystego powietrza. Horwell należała do wyjątkowo zielonych wsi. Z licznymi mokradłami, oddalona od morza o zaledwie dwa kilometry, osadzona na wysokich klifach – co sprawiało, że niemal zawsze wiał w niej wiatr.

Pomiędzy wysokimi ostrokrzewami wiły się wąskie i strome ścieżki prowadzące do złocistych plaż. I właśnie pokonawszy jedną z nich, znalazłam się w miejscu, w którym suchy ląd mieszał się ze spienioną wodą. Przez chwilę wpatrywałam się w bezkres morskiej otchłani, nasłuchując szumu fal i skrzeku mew. Słońce odbijało swoje promienie w srebrzystych wodach tak intensywnie, że zmuszona byłam przymknąć powieki. Nappełniłam płuca powietrzem przesyconym jodem i wówczas to się stało. Pierwszy raz z odwagą pomyślałam, że to moje miejsce na ziemi, że powinnam tu zostać i na nowo przypomnieć sobie, jak niespiesznie w tej okolicy potrafi płynąć czas. Lata spędzone w Bristolu były magiczne i wyjątkowe, ale również intensywne i wyczerpujące. Życie w ciągłym pośpiechu, pogoń za kolejnymi sukcesami, chęć posiadania wciąż więcej sprawiły, że zapomniałam o tym, co jest najważniejsze. Zapomniałam żyć. Nie mogłam pozwolić sobie na to, by rankiem biegać po złocistych plażach, a w szumie pędzących ulicami aut na próżno było nasłuchiwać śpiewu ptaków. Magnolie pachniały tylko w parkach, a hiacynty w marketach. Nie

rozpoczynałam dnia od kromki lawendowego chleba, a do porannej kawy nie zajadałam się cynamonowymi bułeczkami. Na ulicach mijały mnie tłumy obcych ludzi, zaś w pracy z imienia znałam tylko kilkoro spośród setek swoich pacjentów. I nagle uświadomiłam sobie, że wszystko to, czego potrzebuję, za czym podświadomie tęskniłam od lat, znalazłam tu, w Horwell. Wróciłam do domu. Miejsca, które zachowałam głęboko w sercu i do którego zawsze przynależałam, za którym tęskniłam nawet wówczas, gdy głośno temu zaprzeczałam.

Zmęczona, ale szczęśliwa, że w końcu odważyłam się posłuchać swojego wewnętrznego ja i powrócić do Horwell na dłużej, dotarłam do wsi. Dochodziła godzina ósma i mieszkańcy budzili się do życia. Dzieci pospiesznie maszerowały w stronę budynku szkoły, w dłoniach trzymając pojemniki z lunchem i worki ze strojem na zajęcia sportowe. Ktoś pędził na rowerze, celnie rzucając najświeższe wydanie gazety „Daily Mail” na podjazdy okolicznych domów, a z piekarni wydobywał się zapach świeżo wypiekanego chleba. Tuż przy skrzynce na listy ciotki Rachel znalazłam butelkę świeżego mleka i chwyciwszy ją w dłoń, uśmiechnęłam się szeroko. O takich skarbach w centrum Bristolu mogłam tylko pomarzyć. Spojrzałam na dom, który wymagał remontu, i poczułam potrzebę powiedzenia głośno słów, do których dojrzałam:

– Miałaś rację. Powinam tu pozostać. – Kierując się w stronę ganku, przypomniało mi się ostatnie zdanie wypowiedziane przez ciotkę: „Tylko ty możesz go ocalić”. Czyżby miała na myśli swój dom? Czy właśnie taki zapis znajdzie się w testamencie, który jutro ma zostać odczytany? Może zależało jej na tym, by dom pozostał w moich rękach i bym za pomocą jej pieniędzy przywołała go do dawnej świetności? Przystanąłam przed wycieraczką, wbijając wzrok w niewielkie pudełko z czerwoną kokardą. Podniosłam je i nim weszłam do domu, z uwagą rozejrzałam się po okolicy. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Pchnęłam drzwi, przekroczyłam próg domu i postawiwszy butelkę z mlekiem na komodzie, zdjęłam wieko pudełka. Na białej bibułce widniała karteczka, na niej zaś słowa: „Pamiętaj, jesteś silniejsza, niż myślisz. Z nimi możesz wszystko. Jodie”. Niewiele rozumiałam z przeczytanych słów, dlatego zanurzyłam dłoń w miękkiej bibułce i wyjęłam z niej czerwone, koronkowe stringi. Zaśmiałam się w głos, nie dowierzając, że Jodie postanowiła mi je kupić. Nogą zamknęłam drzwi i nie przestając się uśmiechać, udałam się prosto do łazienki. Wzięłam szybki prysznic, wskoczyłam w rozciągniętą koszulkę, która sięgała mi do połowy ud, i chcąc się przekonać o rzekomej sile czerwonych stringów, wciągnęłam majtki na tyłek. Czy czułam się w nich bardziej pewna siebie? Może... Odrobinę. Związałam mokre włosy w koka na czubku głowy i nałożyłam na twarz zieloną glinę,

chcąc pozbyć się wyrzutów sumienia odnośnie do zaprzestania pielęgnacji, do której w ostatnim czasie w ogóle nie miałam głowy. Radio głośno wygrywało największe przeboje lat osiemdziesiątych, gdy wyjąwszy z szafki ulubiony kubek, zaparzyłam kawę. Stojąc przed kuchennym oknem i delikatnie kołysząc biodrami w rytm muzyki, zaczęłam wyobrażać sobie swoją przyszłość w Horwell.

– Klinika Weterynaryjna Olive Loughy – wyszeptałam pod nosem i upiłam łyk kawy. – Brzmi fajnie. W końcu miałabym coś swojego. Coś, co stworzyłabym sama od zera. Coś, co sprawiałoby mi przyjemność i dawało satysfakcję – mówiłam jak nakręcona. – Cholera! Powinnam to zrobić! Dam radę! – motywowałam się coraz głośniej. – Jasny gwint, te czerwone stringi naprawdę działają! – zaśmiałam się, wsunęłam rękę pod koszulkę i na wysokości biodra chwyciłam elastyczną gumkę, by przesunąć ją nieco wyżej. Poczułam zapach migdałowca dosłownie na chwilę przed tym, gdy po mojej kuchni poniósł się niski, lekko zachrypnięty męski głos. Najpierw wzdrygnęłam się przerażona, następnie raptownie się odwróciłam, rzucając kubek z kawą na blat. Wówczas Flynn cofnął się o dwa kroki, zaskoczony moim wyglądem, wszak zielona glinka potrafiła zrobić wrażenie na płci męskiej. Za jej sprawą wyglądałam niczym Fiona ze *Shreka*, z tą różnicą, że miałam na tyłku czerwone stringi, a nie długą kieckę. W głowie kotłowały mi się przeróżne myśli, począwszy od tej, co miejscowy dziwak robi w mojej kuchni, a skończywszy na tej, że z całą pewnością widział moje pośladki, gdy bez pardonu przesunęłam palcami gumkę od majtek. Serce biło mi jak szalone. Z powodu niekontrolowanego skoku ciśnienia uszy zaczęły mnie piec tak niemiłosiernie, że miałam wrażenie, iż za chwilę zapłoną żywym ogniem. I tylko kawa spokojnie kapała z blatu na podłogę w równych odstępach czasu.

– Przepraszam, było otwarte – tłumaczył, ruchem głowy wskazując drzwi wejściowe.

– Boże, ale mnie wystraszyłeś... – Przytrzymałam ręką serce, obawiając się, że za chwilę wyskoczy mi z piersi. Najwyraźniej muzyka skutecznie stłumiła dźwięk pukania. Zapomniałam już, że w Horwell nikt z mieszkańców nie zamykał drzwi na klucz i takie nieoczekiwane wchodzenie sąsiadów do domów bez zgody właścicieli było w zasadzie na porządku dziennym.

– Byliśmy umówieni – przeszedł do konkretów. Zauważyłam, że trzymał w dłoni skórzany notatnik, który nieco nerwowo obracał w palcach.

– Umówieni? – powtórzyłam, czując, jak glinka na mojej twarzy zaczyna się kruszyć. Flynn w milczeniu skinął głową i położył na blacie kuchennego stołu wizytówkę. Następnie cofnął się, uważnie odprowadzany moim wzrokiem, jak ktoś,

kto za wszelką cenę stara się pozostać w bezpiecznej odległości od drugiego człowieka. Spojrzałam na logo firmy i wówczas powiązałam ze sobą wszystkie fakty.

– To tobie nagrałam się na sekretarkę? Jesteś stolarzem, tak?

Ponownie wykonał ruch głową, dając mi do zrozumienia, że moje założenie jest słuszne.

– Przepraszam, ale nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie rano. – Wyszczrzyłam zęby niczym pięciolatka i chwyciłam dół koszulki, ciągnąc ją ku kolanom. – Pozwolisz, że narzucę coś na siebie, dobrze?

Znowu skinął głową, ja pospiesznie rzuciłam kuchenną ścierkę na rozlaną na blacie kawę i poczłapałam tyłem w stronę łazienki, robiąc wszystko, co w mojej mocy, by ponownie nie zaświecić przed nim gołym tyłkiem. A gdy już do niej wpadłam, zamknęłam za sobą drzwi i spojrzałam w lustro. Jasna cholera, wyglądałam idiotycznie! Glinka na twarzy zaczęła się kruszyć, mokre włosy przylegały mi do głowy, a w dodatku miałam na sobie tylko koszulkę i czerwone stringi. Przymknęłam oczy, gdy w lustrze dostrzegłam sterczące sutki, i jęknęłam zażenowana.

– Tylko ty mogłaś tak niefortunnie rozpocząć nową znajomość, Olive. Przed lunchem cała wieś będzie wiedziała, jaki rodzaj i kolor majtek nosisz – burknęłam pod nosem. Następnie zmyłam z twarzy glinę i nie mając innego wyboru, wyjęłam z kosza na brudną bieliznę legginsy do biegania i wskoczyłam w nie w pośpiechu.

Gdy weszłam do kuchni, Flynn nadal stał w tym samym miejscu. Wykrzywił usta, co chyba miałam odczytać jako przyjacielski uśmiech, następnie uciekł spojrzeniem w stronę kuchennych szafek.

– Tak, dobrze myślisz – zaczęłam, wykrzywając palce dłoni. Z niewiadomego powodu Flynn mnie onieśmiał. W jego obecności czułam się jak nastolatka w chwili swojej pierwszej randki. Nie wiedziałam, czy mogę pozwolić sobie na żart, czy może powinnam być poważna. Miał on w sobie coś takiego, co sprawiało, że czułam się tak, jak nigdy wcześniej. Czułam się dziwnie. Po prostu było inaczej niż zawsze. – Chciałabym wymienić fronty szafek kuchennych i chyba powinnam zamienić stół na mniejszy. Miałabym wówczas więcej miejsca. Może sprawdziłby się okrągły. Jak myślisz? – spytałam, przyglądając mu się uważnie.

Flynn podumał przez krótką chwilę, zza ucha wyjął ołówek, a jego jasne, sprężyste loki zatańczyły w powietrzu. Ileż bym dała za takie włosy! Jak to jest, że kobiety latami zabiegają o to, by mieć na głowie piękne fale, a on po prostu się z nimi urodził?

– Szkoda pozbywać się tego stołu. Został wykonany z drzewa różanego. Teraz ciężko o pozyskanie tak szlachetnego materiału. – Dmuchnął, odganiając z czoła niesforny kosmyk. – Jeśli chodzi o fronty, też bym ich nie wymieniał. To również

palisander. Możemy je wyszlifować i przywrócić kuchni dawny blask. Zaoszczędzisz pieniądze i wciąż będziesz miała solidne meble. – Podszedł do szafek i kolejno otwierał drzwiczki, z uwagą im się przyglądając. – Będziemy musieli wymienić zawiasy, bo obecne już się wysłużyły.

– Serio? – spytałam, stając za nim. Flynn wyprostował się i natychmiast odsunął, jakbym co najmniej zarażała dżumą czy innym cholerstwem. Zamieszał dłonią w jasnych włosach i ponownie skupił swój wzrok na meblach. – A mógłbyś je pomalować na oliwkowy kolor? – Skrzywił się i potaknął głową. Nie wiem, który to już raz, ale zaczęłam myśleć, że ma problem z nawiązywaniem relacji. – Powiedziałam coś nie tak? – Zaprzeczył, wykonując ruch głową od lewej do prawej. Czułam, że chce mi coś powiedzieć, ale z jakiegoś, sobie tylko znanego, powodu powstrzymuje się przed tym. – Świetnie! – Klasnęłam w dłonie podekscytowana. – W takim razie zapraszam cię na spacer po parterze. Opowiem ci o swoich planach, a ty ocenisz, czy będziesz mógł mi pomóc w ich realizacji.

Flynn nie odpowiedział. Pokornie ruszył za mną, a dźwięk jego ciężkich butów z metalowymi ochraniaczami rezonował w przestrzeni. Starłam się w możliwie jak najrozumialszy sposób przedstawić Flynnowi to, jak wyobrażam sobie klinikę weterynaryjną. Pokazałam mu, gdzie będzie konieczność zrobienia ścianek działowych i którą część mieszkania chcę przeznaczyć na pokój badań, a którą na pokój rehabilitacyjny. On zaś, wnosząc kilka korekt, kosztem starego pokoju, który służył Rachel za pralnię, wygospodarował miejsce na niewielką recepcję i poczekalnię. zaproponował również ściankę działową, która oddzieli klinikę od schodów prowadzących na górę mieszkania, w efekcie drzwi ogrodowe byłyby drzwiami wejściowymi do kliniki. Tym sposobem, mając w jednym domu miejsce pracy i mieszkanie, miałabym również komfort prywatności i nikt z potencjalnych klientów i pacjentów nie zaglądałby mi w osobiste kąty.

– Wow, świetnie to rozplanowaliśmy. – Posłałam mu uśmiech z nadzieją, że odpowie tym samym. Nie udało się, niestety. Flynn, skupiony na naszych ustaleniach, zawzięcie szkicował plan zagospodarowania parteru, co i rusz dokonując niezbędnych pomiarów. Oparłam się ramieniem o futrynę, skrzyżowałam ramiona na piersi i bez najmniejszego skrępowania przyglądałam się, jak wykonywał swoją pracę. Nie potrafiłam nie zauważyć szerokich ramion i silnych barków, gdy odmierzał metrówką szerokość ścian. Posługiwał się także dalmierzem laserowym, a to, w jaki sposób marszczył brwi, gdy odczytywał z niego pomiary, powodowało, że nie mogłam oderwać od Flynn'a wzroku. Może i Sallow był dziwakiem. Może i należał do gburów, ale miał w sobie coś, co sprawiało, że nie potrafiłam być na niego obojętna.

Zagryzłam dolną wargę dokładnie w chwili, w której kucnął, a robocze spodnie ciasno opięły jego pośladki. Przysięgam, że mógłby walić się świat, a ja i tak niewzruszona patrzyłabym na jego tyłek niczym wygłodniały wilk na owcę.

– Zgadzasz się? Olive? Olive?!

Zamrugałam kilkakrotnie, gdy do mojej świadomości przebił się głos Flynna. Spoglądał na mnie z miną, której nie potrafiłam odgadnąć. Wciąż kuczał i trzymał na wysokości głowy metrówkę, czekając na odpowiedź, a ja myślałam tylko o tym, jak seksownie wybrzmiewa moje imię w jego ustach.

– Pytałem, czy będzie w porządku, jeśli przesunę drzwi o dwadzieścia cali w lewo. W tym miejscu idą przewody elektryczne, więc...

– Jasne, tak... – weszłam mu w zdanie, energicznie potrząsając głową. – Rób, co uważasz za słuszne. W pełni ci się poddam. – Zdziwił się i zastygł w bezruchu. – Znaczy, w pełni akceptuję twoje sugestie – sprostowałam nieudolnie.

Flynn wstał, odwrócił się do mnie twarzą i gładząc się po brodzie, oświadczył:

– W porządku. Myślę, że mam już wszystko. Najpóźniej jutro wieczorem podrzucę ci kosztorys i wstępną wizualizację projektu.

– Świetnie. Cieszę się, że będziemy mieli okazję współpracować. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, że zdecydowałam się zostać tu na dłużej.

Flynn popatrzył na mnie, ale w żaden sposób nie skomentował moich słów. Miałam wrażenie, że z grzeczności wysłuchał tego, co miałam do powiedzenia, a gdy zamilkłam, odwrócił się i poszedł w stronę wyjścia, zabierając ze sobą notes i narzędzia służące mu do pomiarów.

– Flynn! – krzyknęłam za nim, gdy chwycił za klamkę drzwi wyjściowych. Przystanął i spojrzał na mnie przez ramię. – Jeszcze raz dziękuję ci za pomoc z samochodem. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybyś się tam nie pojawił. – Wyciągnęłam ku niemu rękę. Trochę z powodu wdzięczności, lecz bardziej z chęci pożegnania się z nim. Tak jak przy naszym pierwszym spotkaniu, nie odwzajemnił gestu. Zmarszczył brwi, a robił to naprawdę seksownie, ponownie spojrzał na moją dłoń, po czym w milczeniu, w charakterystyczny dla siebie sposób skinął głową, odwrócił się i wyszedł na ganek.

– Flynn! – rzuciłam szybciej, niż pomyślałam. W pośpiechu wyszłam na ganek, on zaś zdążył już wrzucić na pakę samochodu skrzynkę z narzędziami. – Może dasz się zaprosić na burgery i piwo w ramach podziękowania za pomoc z autem? Podobno w moim wykonaniu smakują świetnie.

– Nie jestem zainteresowany.

Zgasił mnie. Zabił moc czerwonych stringów jednym zdaniem: „Nie jestem zainteresowany”. Otworzył drzwi i już miał wskoczyć do auta, gdy ośmieszając się do reszty, krzyknęłam:

– Rozumiem. Nie każdy musi lubić wołowinę. – Wzruszyłam ramionami, siłąc się na głupkowaty uśmiech. W końcu wypadało w jakiś normalny sposób zakończyć tę konwersację.

– Lubię wołowinę – odkrzyknął ku mojemu zdziwieniu. Następnie wskoczył do auta, uruchomił silnik i jakby nigdy nic, opuścił mój podjazd. A ja zaczęłam wmawiać sobie, że go nie lubię, wyzywając przy tym od idiotów, zarozumiałców i dziwaków. I jeszcze szeroko otworzyłam wszystkie okna, by porządnie wywietrzyć dom.

– Jaki mężczyzna używa perfum o zapachu migdałowca? No jaki?

Dziwny! – krzyczała moja podświadomość.

Dziwny...



Rozdział 7

Oliver

Bieg w szpilkach po wyboistych chodnikach miasta Dover był niczym udział w legendarnym Tough Guy*. Zdażyłam już porysować czubki szpilek o wystającą pokrywę studzienki wodnej, dwukrotnie się potknąć, krzyżąc przy tym wniebogłosy – tak już mam, to taki odruch bezwarunkowy – a teraz zbierałam z ulicy dokumenty, które, pech chciał, wysunęły mi się z teczki, a musiałam je złożyć w urzędzie, by otrzymać zgodę na zarejestrowanie kliniki. A to wszystko przez to, że wczoraj do późnej nocy siedziałam w hotelowym barze, posiadającym w ofercie darmowy dostęp do Internetu, i próbowałam stworzyć listę niezbędnych sprzętów, koniecznych do wyposażenia swojej przychodni. Sprawy nie ułatwił fakt, że ogromne hotelowe łóżko było bardzo wygodne, co skutkowało przestawianiem budzika o pięć, dziesięć, a następnie piętnaście minut. W efekcie zasnęłam i teraz mierzyłam się ze szpilkami i nierównymi chodnikami, bezustannie przeklinając pod nosem swoją opieszałość i lekkomyślność. Spotkanie z przedstawicielem kancelarii, której Rachel powierzyła odczytanie testamentu, było zaplanowane na dziewiątą, a to z kolei oznaczało, że w chwili wkroczenia do budynku byłam spóźniona o akademicki kwadrans.

– Dzień dobry. Pani Loughy? – spytała recepcjonistka, witając mnie serdecznym uśmiechem.

– Zgadza się. Przepraszam za spóźnienie. Zasnęłam – przyznałam z zażenowaniem. Zdjęłam marynarkę i przerzuciłam ją przez ramię, a palcami dłoni,

tak dla pewności, przeczesalam włosy.

– Proszę za mną. Panowie już na panią czekają.

Stawiałam krok za krokiem, starając się wyrównać oddech. Zapewne zrobiłabym kiepskie pierwsze wrażenie, gdybym wpadła do pokoju, dysząc niczym mops z nadwagą. Przystanąłam, po raz ostatni upewniłam się, że moja koszula wygląda nienagannie, i gdy recepcjonistka otworzyła drzwi pokoju, niemal przestałam oddychać. W pierwszej chwili pomyślałam, że mam jakieś halucynacje węchu, coś na kształt fantosmii, bo w ostatnich dniach dość często czułam zapach migdałowca. Może to jakieś zaburzenia neurologiczne, może...

– Bardzo proszę. – Recepcjonistka ruchem dłoni i pięknym, hollywoodzkim uśmiechem zaprosiła mnie do środka, przerywając moje wewnętrzne rozterki. I wówczas wszystko zrozumiałam. Flynn Sallow, ubrany w dżinsy i sportową marynarkę, z włosami zaczesanymi do tyłu siedział w skórzanym fotelu. Na mój widok wstał wyraźnie zmieszany i wyprostował się, sprawiając wrażenie wyższego, niż go zapamiętałam. Zapewne powinnam w tym momencie pomyśleć, że wygląda wyjątkowo kusząco, może nawet mogłabym zastanowić się, co on, u diabła, tu robi, ale skupiłam się na tym, że najwyraźniej nie mam żadnych objawów neurologicznych i że z moim węchem wszystko jest jak najlepszym porządkiem.

– Panno Loughy, czekaliśmy już tylko na panią. – Mecenas Dayer podszedł do mnie, następnie oburącz, nader serdecznie, uściśnił moją dłoń i poprowadził mnie w stronę skózanego fotela, przy okazji wyrażając swoje ubolewanie nad poniesioną przeze mnie stratą. Zapewne z grzeczności w kilku zdaniach wspomniał o Rachel, mówiąc, jak cudownie ciepłą osobą była, a gdy obszedł biurko i stanął przy swoim fotelu, poprosił, bym zajęła wskazane mi miejsce. Nim usiadłam, spojrzałam na Flynn'a. Szeptem powiedziałam mu „cześć”, on zaś skłonił głowę i również klapnął tyłkiem na fotel. Nie odpowiedział, bo i po co. Jeszcze przypadkiem zbliżylibyśmy się zbyt mocno i byłby zmuszony do każdorazowej wymiany grzeczności, gdy stanęlibyśmy sobie na drodze, a tak... Cóż. Zawsze możemy w milczeniu skłonić głowy.

– Przepraszam za spóźnienie, nie usłyszałam budzika – zełgałam i przerzuciłam marynarkę przez oparcie fotela.

– Proszę nie mieć wyrzutów sumienia – powiedział mecenas, nachylając się nad biurkiem, by na jego blacie ułożyć przedramiona. – Wraz z panem Sallowem wykorzystaliśmy ten czas na rozmowę o stolarce. Czy wiedziała pani, że pan Sallow jest stolarzem? Jego pasją są meble kolonialne. To niesamowity dar mieć tak zdolne dłonie.

– Ubolewam, ale aż tak dobrze się nie znamy – odparłam, nieco kąśliwie, przyznając.

Flynn milczał, mecenas Dayer w dalszym ciągu rozplątywał się nad jego talentem, a ja zastanawiałam się, o co w tym wszystkim chodzi i dlaczego Sallow ma być obecny przy odczytaniu testamentu mojej ciotki. Jeśli za chwilę okaże się, że niczym w amerykańskiej komedii odziedziczę dom, którego współwłaścicielem będzie Flynn, to... Nie wiem. Wybuchnę? Zacznę wrzeszczeć? Podrapię Flynna pazurami? Zrobię wyrzuty Rachel, stojąc nad jej grobem?

– Ty na górze, nie rób mi tego, dobrze? – jęknęłam pod nosem, kierując oczy ku sufitowi.

– Nie zrozumiałem, panno Loughty. – Mecenas Dayer pochylił się nad biurkiem, zmniejszając dzielący nas dystans, i wówczas uświadomiłam sobie, że wypowiedziałam myśli na głos.

– Przepraszam, ja tak do siebie.

Przysiąc bym mogła, że Flynn parsknął cicho pod nosem. A może mi się zdawało? W każdym razie, gdy spojrzałam na niego, był już śmiertelnie poważny. Cholera, ładnie mu w tej błękitnej koszuli. Przystojny był, skurczybyk. Szkoda tylko, że jakiś taki nieudany pod względem prezencji i nawiązywania znajomości.

– Dobrze, to żeby niepotrzebnie nie przedłużać naszego spotkania, przystąpię może do odczytania testamentu, następnie, jeśli coś będzie dla państwa niezrozumiałe, postaram się wytłumaczyć wszelkie niejasności.

Przyłgnęłam plecami do oparcia fotela i w napięciu wysłuchiwałam ostatniej woli ciotki. Mecenas najpierw odczytał kilka zdań od Rachel, które sprawiły, że nie byłam w stanie zatrzymać łez spływających po policzkach, następnie przeszedł do typowo prawniczego języka. Dowiedziałam się, że Flynn Sallow był dzieckiem niejakiego Josha Sallowa urodzonego w Burnham-on-Sea i w spadku po mojej ciotce odziedziczył, jak to zostało dokładnie określone, dobra materialne szczególnie bliskie jej sercu. Jednocześnie ciotka poprosiła, by wspomniane dobra nie zostały wymienione z nazwy, a jedynie oddane w ręce Flynna. Spojrzałam na szary karton o wymiarach mniej więcej dziesięć na piętnaście cali, zastanawiając się, co też skrywało jego wnętrze. Co takiego cennego Rachel powierzyła mężczyźnie i jaka relacja ich łączyła? Mecenas płynnie przeszedł do drugiej części testamentu, z której wynikało, że dom i ziemia znajdująca się wokół niego oraz oszczędności ciotki dziedziczą ja, ale tylko wówczas, gdy przez trzy najbliższe lata dom pozostanie w moich rękach. Jednocześnie Rachel zastrzegła, iż nie życzy sobie, by w tym czasie dom został wynajęty lub w jakikolwiek inny sposób udostępniony osobom trzecim.

W przypadku mojej odmowy wykonania postanowienia opisanego w testamencie oszczędności i dom Rachel wraz z należącą do niego ziemią staną się własnością Fundacji „Dzieci w Potrzebie”.

– A jednak. Zmusiłabyś mnie, bym tam została – syknęłam, z niedowierzaniem kręcąc głową. Dłonią otarłam spływającą łzę. I nie płakałam dlatego, że Rachel była w stanie pozbawić mnie swojego domu, jeśli bym nie spełniła jej woli. Nie. Płakałam, bo uświadomiłam sobie, że na długo przed podjęciem decyzji, by pozostać w Horwell, ona już wiedziała. Wiedziała, gdzie powinnam osiaść.

Niewiele pamiętam z dalszej części spotkania. Miałam mętlik w głowie, a obecność i bliskość Flynna skutecznie mnie rozpraszały. Ocknęłam się w chwili, w której mecenas zapytał, czy przyjmuję spadek i warunki, jakie postawiła mi Rachel. Cichutko potwierdziłam, że jestem gotowa spełnić żądanie ciotki, następnie złożyłam kilka podpisów, po mnie zrobił to Sallow i wspólnie z mecenasem Dayerem udaliśmy się do windy, a gdy zostaliśmy sami, spojrzałam najpierw na Flynna, następnie na trzymane przez niego pudełko i z powrotem na Flynna.

– Chyba jesteś mi winien wyjaśnienia, co nie? – Przechyliłam nieznacznie głowę, czekając na jego odpowiedź.

– Nie sądzę – odparł niskim, niemal groźnym głosem. Stał niewzruszony, uparcie patrząc przed siebie.

– Co cię łączyło z moją ciotką? – spytałam, darując sobie owijanie w bawełnę. Zbliżyłam się do niego o dwa kroki, on zaś cofnął się, chcąc zachować dystans.

– Nic.

– Nic? – powtórzyłam. – Zatem dlaczego zapisała ci coś w spadku?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. Jedną ręką przytrzymał pudło, drugą natomiast wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki nośnik USB. – Proszę, znajdziesz na nim wizualizację kliniki i kosztorys. Jeśli się zdecydujesz, wiesz, gdzie mnie szukać.

Drzwi windy otworzyły się i Flynn, jakby nigdy nic, opuścił budynek, nie oglądając się za siebie. Co było z nim nie tak? Dlaczego w mojej obecności zachowywał się, jakbym była dla niego zagrożeniem? Boi się mnie? Boi się ludzi? Może jest w znacznym stopniu aspołeczny, bo mierzy się z czymś bardzo trudnym? A może Flynn to po prostu Flynn – chłopak ze spektrum autyzmu lub inną chorobą? W głowie miałam masę pytań, w sercu zaś przekonanie, że z jakiegoś powodu Ten na górze skrzyżował nasze ścieżki. A On zawsze wiedział, co robi... Tak przynajmniej twierdziła Rachel.

Wróciłam do hotelu, wymeldowałam się i nim wsiadłam do auta, by udać się do Horwell, weszłam do Starbucksa. Zamówiłam dużą kawę latte z karmelem i korzystając z Internetu, zadzwoniłam do Memphis. Naprędce opowiedziałam jej o porannym joggingu w szpilkach i o przebiegu spotkania z mecenasem Dayerem. Przy okazji wspomniałam o Flynnie, dość sporo czasu poświęcając jego nietypowemu sposobowi bycia. Nie pominęłam faktu, że chłopak zachowuje się, jakbym chciała go co najmniej zjeść, i że wczoraj powitałam go, mając na sobie jedynie koszulkę i czerwone stringi. Memphis zagwizdała z uznaniem, ja splonęłam rumieńcem, a siedzący za moimi plecami studenci zachichotali wyraźnie rozbawieni, posyłając mi ciekawskie spojrzenia przez ramię.

– Zarumieniłaś się, Olive – powiedziała przyjaciółka, zbliżając twarz do kamery telefonu, tak jakby chciała móc zajrzeć mi w oczy. – On ci się podoba – rzuciła, melodyjnie przeciągając głoski.

– To dziwak. Utalentowany, to prawda, ale wciąż dziwak. Trudno jest złapać z nim kontakt. Jodie, przyjaciółka z dzieciństwa, wspominała, że Flynn nikogo do siebie nie dopuszcza, więc jeśli myślisz, że mieszkając w Horwell, mam jakiegokolwiek szanse na dzikie seksy, to od razu mówię, że są one znikome. – Puściłam oczko, a studenci tym razem ryknęli głośnym śmiechem. Uniosłam kubek z kawą i zanurzyłam usta w słodkiej pianie. Brakowało mi tego. Brakowało mi miejskich przyjemności. Starbucks, baru sałatkowego i siłowni. Mieszkałam w Horwell dopiero od dwóch tygodni, a miałam wrażenie, jakbym tkwiła tam całą dekadę.

– A co z kliniką?

– Boję się, że nie podołam finansowo. Rachel pozostawiła mi trochę gotówki, ale po zapłaceniu za remont mogę mieć problem z zakupem sprzętu i lekarstw.

– Ile potrzebujesz na remont? – spytała z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Nie wiem, jeszcze nie zapoznałam się z kosztorysem. Zrobię to wieczorem. Na razie muszę pędzić do urzędu dowiedzieć się, czy w ogóle wydadzą zgodę na otwarcie praktyki weterynaryjnej w Horwell.

– Wierzę, że tak się właśnie stanie, Olive.

– Czas pokaże. – Zacisnęłam kciuki. – Muszę kończyć. – Uśmiechnęłam się, gdy Memphis przesłała mi buziaka. – Tęsknię za tobą. Wpadnij kiedyś do Horwell.

– Tak zrobię. Też tęsknię.

Rozłączyłam rozmowę, dopiłam kawę i powtarzając w myślach, że z nie takimi problemami sobie poradziłam, skierowałam kroki w stronę urzędu. Czasami życie wystawia nas na próbę. Rzuca nam pod nogi przeszkody, a potem przygląda się, czy sobie z nimi poradzimy. I ja właśnie mierzyłam się z trudnościami, usilnie próbując

znaleźć rozwiązanie problemów i sytuacji, które chciały mnie przerosnąć. Jednego byłam pewna. Otrzymałam od losu tyle, ile byłam w stanie udźwignąć, i nawet jeśli teraz czołgałam się po błotnistej glebie, to wierzyłam, że któregoś dnia deszcze ustaną, a ja w promieniach słońca bosą pobiegnę po trawiastej łące. Wiedziałam, że ci, którzy nie walczą o swoje marzenia, zmuszeni będą patrzeć, jak inni żyją tak, jak oni żyć zawsze chcieli. A ja bardzo chciałam mieć własną praktykę weterynaryjną. Chciałam udowodnić sobie, Martinowi, Rachel i całej wsi, że potrafię spełnić głęboko skrywane w duszy marzenia, że mając do dyspozycji wiedzę, dwie zdrowe ręce i upór, osiągnę to, o co inni baliby się zaważczyć. Osiągnę spełnienie...

Wsypałam w miseczkę karmę dla wiewiórek i przysiadłam na ganku. Położyłam laptop na kolanach i nim go uruchomiłam, przez chwilę wsłuchiwałam się w śpiew żurawi. Ich przepiękny, niemal magiczny klangor rozpląwał się w powietrzu donośną fanfara, by ostatecznie odbić się echem od bagiennych lasów olszowych. Powietrze delikatnie drgało, a coraz cieplejsze promienie słońca przyjemnie pieściły wystawioną ku niemu twarz.

Chłonełam atmosferę całą sobą, wierząc, że przyszłość w końcu zaczyna mi się jawić w jasnych kolorach. Miałam plan, miałam Jodie i wiedzę, która pozwoliłaby mi zaważczyć o lepsze jutro. Potrzebowałam tylko pieniędzy. Nie byłam naiwna. Wiedziałam, że usługi budowlano-stolarskie nie należą do najtańszych, a i drewno w ostatnich miesiącach znacznie podrożało. Z tego powodu cholernie bałam się zapoznać z ofertą Flynna. Przecież nic nie raniło równie mocno, jak konieczność poddania się już na samym starcie. Zaczerpnęłam kolejny haust powietrza, uruchomiłam laptop i wpięłam w niego USB. Z szalenię bijącym sercem patrzyłam na wizualizację kliniki weterynaryjnej, a z zachwytem oddech więzł mi w piersi. Wszystko wyglądało dużo lepiej, niż to sobie zaplanowałam.

Wejście do kliniki zostało wykończony drewnianą altanką, niemal tak piękną jak ta, którą w swoim domu posiadał Flynn, a recepcja mogła poszczycić się wysokim, ciemnym blatem, wykonanym z drzewa mahoniowego. Tuż pod oknem stały trzy krzesła i regał, na którym mogłabym postawić zdjęcia swoich podopiecznych oraz ulotki. Na lewo od recepcji znajdowały się drzwi do pokoju badań, z niego zaś przechodziło się do pokoju rehabilitacji. Flynn wykorzystał każdą wolną przestrzeń, wypełniając ją wiszącymi szafkami, pod którymi znajdowało się miejsce na metalowe klatki. Bardzo spodobała mi się jasna, stonowana farba na ścianach i pokrycie podłogi antypoślizgową wykładziną, na której można było dostrzec ślady psich i kocich łap. Uśmiechnęłam się, bo za sprawą wizualizacji zrobiło mi się ciepło na sercu.

Wpatrywałam się w nią jeszcze przez kilka minut, nim odważyłam się z niej wyjść i otworzyć drugi plik. Tym razem znalazłam się w mojej kuchni. Była... inna, niż się umawialiśmy. Nie miała frontów w kolorze oliwkowym ani okrągłego stołu. Na pierwszy rzut oka jedynymi rzeczami, które się w niej zmieniły, były uchwyty szafek i blat. Zjechałam do sekcji komentarzy i przeczytałam wiadomość od Flynna: „Zawsze możesz pomalować fronty na dowolny kolor, ale w mojej ocenie zabijesz duszę tej kuchni. Drzewo różane jest naturalnie piękne. Musisz tylko dać mu szansę”. Czy się z nim zgadzałam? Nie wiem, nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Pomyślałam, że jeśli zrezygnuję z malowania frontów, to najpewniej zaoszczędzę część pieniędzy, a to był argument, który należało wziąć pod uwagę. Zamknęłam wizualizację, kliknęłam w kosztorys i świat brutalnie się zatrzymał.

– Trzydzieści siedem tysięcy funtów – jęknęłam załamana. W myślach do tej kwoty dodałam dwadzieścia jeden tysięcy, których potrzebowałam, by zakupić niezbędny w klinice sprzęt, i czując łzy wzbierające w oczach, zamknęłam laptop. Oparłam plecy o drewniany filar ganku i spojrzałam w niebo. Tuż nad moją głową wznosiły się majestatyczne żurawie, które z wyciągniętą ku przodowi szyją imponowały rozpiętością skrzydeł.

– Klinika Weterynaryjna „Pod Skrzydłami Żurawi” – wyszeptałam, przelękając łzy. – Pięknie by to brzmiało. Pięknie...

Zawsze uważałam się za silną kobietę. Fakt, czasami zaliczałam upadki, i to takie, po których tyłek bolał mnie nawet kilka miesięcy, ale od dziecka potrafiłam stawiać na swoim i walczyć o marzenia. Doskonale wiedziała o tym Rachel i miałam wewnętrzne przekonanie, że właśnie z tego powodu chciała, żebym została w Horwell. Wierzyła, że w tym miejscu odnajdę dawną siebie. Waleczną, ambitną i pogodną Olive. Ciotka przy każdej rozmowie telefonicznej powtarzała mi, że zbyt mocno podporządkowuję swoje życie do planów Martina. „A gdzie w tym wszystkim jesteś ty?” – pytała zmartwiona, ja zaś odbierałam to jako atak wymierzony w stronę narzeczonego. Wiedziała, że Martin nie zaskarbił sobie jej sympatii, a teraz, patrząc na to, jak zakończył się nasz związek, doszłam do wniosku, że Rachel znała się na ludziach. Potrafiła czytać im w myślach, przejrzeć ich intencje. A skoro miała taką zdolność i zapisała Flynnowi w testamencie jakieś szczególnie dla niej ważne dobra materialne, to facet nie mógł być idiotą. Tych Rachel szczerze nie lubiła i unikała jak ognia. Jeśli nie był idiotą, to może dałoby się z nim wynegocjować nieco niższą cenę za robociznę? – łudziłam się, pokonując wiejską drogę uzbrojona w notatnik i nośnik USB. Chwilę później stanęłam na schodach urokliwej altanki, pociągnęłam dekol

bluzki, tak by jeszcze bardziej wyeksponować piersi – w końcu nie zaszkodzi mieć dodatkowy argument zachęcający do współpracy – i energicznie zastukałam kołatką w solidne, drewniane drzwi. Serce biło mi równie mocno, jak w dniu ukończenia studiów, gdy odbierałam dyplom z rąk rektora. Przystąpiłam z nogi na nogę i ponownie zastukałam kołatką.

– Szukasz mnie? – Wzdrygnęłam się, gdy niski głos Flynnna wciąż rezonował w powietrzu. Odwróciłam się i... Jasny gwint! Dlaczego mężczyzna w roboczych ubraniach, z jasną grzywą i silnie napiętymi mięśniami rąk musi być tak seksowny? Powinien śmierdzieć potem, mieć roztrzepane włosy, pokaleczone dłonie i najlepiej jeszcze mięsień piwny, wówczas mogłabym się skupić na czekających mnie negocjacjach. A tak gapiłam się na Flynnna jak na greckiego boga, niemal śliniąc się niczym dziecko na widok ulubionego ciastka.

– Tak. – Zaczęłam się wachlować notatnikiem, bo powietrze w zaskakujący sposób zrobiło się gęste i ciężkie, zupełnie jakby miejsce tlenu zastąpiła woń migdałowca. Zeszłam po drewnianych schodkach, a wiosenny wiatr podwiał mi spódniczkę, ukazując górną część ud. Nie zatrzymałam jej dłonią. Nie mogłam. Liczyłam na to, że nawet w miejscowym dziwaku wciąż tli się męski pierwiastek, który nie będzie obojętny na kobiece wdzięki. – Przyszłam w sprawie kosztorysu.

– Coś z nim nie tak? – Potarł czoło przedramieniem, a następnie spojrzał na mnie spod zmarszczonych brwi.

– Opiewa na zbyt dużą kwotę. – Postawiłam na szczerość, z nerwów przyciskając notatnik do piersi.

Flynn spuścił na chwilę głowę, jakby chciał przyjrzeć się swoim roboczym butom, po czym spojrzał na mnie i odezwał się równie chłodnym i niskim głosem:

– Nie jest zbyt drogi, jest uczciwy. Poszukaj stolarza w Dover i porównaj ceny, wówczas spojrzysz na mój kosztorys bardziej przychylnie. – Wyjął z tylnej kieszeni spodni robocze rękawice, założył je na dłonie i skłoniwszy głowę w geście pożegnania, zaczął iść w kierunku ogrodu.

– Flynn! – Ruszyłam za nim, wołając go po imieniu, ale nawet nie przystanął. Przeszedł cały ogród, następnie wszedł do warsztatu, w którym, tak wnioskowałam, zwykł pracować, i zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, powrócił do wcześniej wykonywanego zajęcia. – Zrobiłeś wspaniały projekt, bardzo mi się spodobał. Jeśli mam być szczerą, to wizualizacja przeszła moje najśmielsze oczekiwania. – Spojrzał na mnie na krótką chwilę, pomiędzy wbijaniem jednego a kolejnego gwoźdźca. – Problem tkwi w tym, że nie mam takiej gotówki. Jeśli wszystkie oszczędności Rachel przeznaczę na remont, zwyczajnie nie będę miała wystarczającej ilości środków, by

zakupić konieczny sprzęt. Bez sprzętu nie otworzę kliniki. Bez kliniki nie będę miała pieniędzy na życie – tłumaczyłam nieco zawstydzona. Pomyślałam wówczas, że czasami honor i dumę trzeba zatrzymać głęboko w sobie. I tak też zrobiłam. Stałam naprzeciwko Flynna i niemal błagałam o zrozumienie, żebrząc o odrobinę litości.

– To nie mój problem – burknął i wbił kolejny gwóźdź. Naprawdę w tej chwili chciałam, by trafił młotkiem w swój palec – może to by go otrzeźwiło?

– Czy mógłbyś zrobić jeszcze jeden kosztorys? Tym razem pomijając w nim altankę? – Gdyby ludzie mieli zdolność zabijania wzrokiem, Flynn na pewno umiałby sprawnie z niej korzystać. – Proszę – dodałam, siłąc się na uśmiech.

– Zrobiłem dokładnie to, o co mnie prosiłaś, Olive. Cenię sobie swój czas. Mogę zrobić kolejny kosztorys, ale nawet jeśli zrezygnujesz z altanki, to cena spadnie tylko nieznacznie.

– O ile? – spytałam. – O ile zmniejszy się kwota, jeśli z niej zrezygnuję?

– O piętnaście procent – odpowiedział, nawet nie patrząc mi w oczy. Odłożył zbijaną część mebla i chwycił za kolejne deski.

– Piętnaście procent? Cholera, nie możesz mnie potraktować nieco bardziej ulgowo? Jeśli nie będzie mnie stać, by otworzyć klinikę, będę zmuszona zrzec się spadku. Przecież wiesz, jaki warunek postawiła mi Rachel. Znasz zapis testamentu, prawda? – Wiedziałam, że jeśli nie zbiję ceny Flynna, stracę dom, a wówczas zostanę nie tylko bez marzeń, ale przede wszystkim bez dachu nad głową. Wiedziałam, że żaden bank w tym kraju nie przyzna mi kredytu, znając moją sytuację finansową i wiedząc, że jestem bezrobotna. Wówczas nasunęła mi się myśl, którą niemal od razu wypowiedziałam głośno.

– Czy mógłbyś mi rozłożyć spłatę należności na raty? Myślę, że podołałabym kosztom do końca roku – zaproponowałam, po cichu licząc na to, że mnie i Martinowi uda się sprzedać dom i spłacić resztę kredytu hipotecznego. Wówczas mogłabym odzyskać część swoich pieniędzy i pokryć nimi koszt remontu domu ciotki.

Flynn pokręcił głową, zsunął na nos okulary ochronne i uruchomił wyrzynarkę. Coś się we mnie zagotowało. Ba! Nawet wiedziałam co! Jak można było traktować drugiego człowieka z taką obojętnością i znieczuleniem, z jakim potraktował mnie Flynn?

– Dupek! – krzyknęłam, wiedząc, że nie ma szans na to, by mnie usłyszał. Niektórzy ludzie potrafili być nieczuli, wyzbyci wszelkich uczuć i obojętni na drugiego człowieka. I Flynn właśnie taki był. Obojętny. Nim wyszłam z warsztatu i znalazłam się na wiejskiej drodze, chciałam jeszcze krzyknąć głośno „do zobaczenia nigdy”, ale

w ostateczności doszłam do wniosku, że szkoda energii i słów na człowieka, który jest tak uparty i ślepy na los innych.

– Olive, stało się coś? – Jodie stanęła przede mną, jakby wyrosła spod ziemi. – Jesteś zła? – Założyła wiklinowy koszyk na przedramię i wyjęła z ust kosmyk włosów, którym teraz bawił się wiosenny wiatr.

– Cześć – powiedziałam. Nigdy nie sądziłam, że mój głos mógłby zabrzmieć tak smutno, jak brzmiał w tej chwili. – Próbowałam porozumieć się ze stolarzem w sprawie kosztów remontu, ale niestety się nie udało. – Jodie posłała krótkie spojrzenie w stronę widocznego za moimi plecami domu. Następnie jej wzrok zlągodniał, a na twarzy pojawił się wyraz współczucia.

– Mówiłam ci, że to dziwak. Lepiej zrobisz, trzymając się od niego z daleka. – Wsunęła mi rękę pod ramię i pociągnęła mnie w stronę znajdującej się nieopodal kawiarenki.

– Lepiej zrobię? Dlaczego?

– Pamiętasz Irin Collins? – szepnęła jej imię tak cicho, jakby wypowiedzenie go na głos zagrożone było karą chłosty. Potaknęłam i jeszcze bardziej przylgnęłam do boku przyjaciółki. – Kilka lat temu, pięć, może sześć, widywano ją w towarzystwie stolarza, no a potem stało się nieszczęście...

Zatrzymałam się w miejscu i odwróciłam twarzą w stronę Jodie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz i czy w ogóle widziałam ją równie poważną, może nawet przestraszoną.

– Jakie nieszczęście?

– Podobno podczas porannego joggingu w okolicach mokradeł potknęła się i upadła tak niefortunnie, że dosłownie utopiła się w kałuży. Znalaziono ją dzień później. Miejscowi mówili, że leżała twarzą do ziemi, a w jej płucach wykryto wodę z mokradeł. Zgadnij, kto ją znalazł?

– Sallow... – wyszeptałam.

– Właśnie. – Ponownie ruszyliśmy przed siebie, milcząc przez dłuższą chwilę. – Policja zatrzymała go na dobę, przesłuchała, a następnie zwolniła do domu. Z czasem uznano, że śmierć Irin była wypadkiem, a Flynnowi nie postawiono żadnych zarzutów.

– Dlaczego Rachel nigdy mi o tym nie wspomniała? – zapytałam, gdy wszystko poukładałam sobie w głowie.

– Nie wiem, może dlatego, że była pierwszą osobą, która już na stypie Irin głośno powiedziała, że jej śmierć była nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Zawsze broniła stolarza.

– Jodie, wcześniej cię o to nie pytałam, ale czy wiesz, co mogło łączyć ciotkę z Flynnem? Wczoraj na odczytaniu testamentu okazało się, że otrzymał on od niej pudło z, jak to ciotka ujęła, szczególnie bliskimi jej sercu dobrami materialnymi.

– Serio? A to ci historia. – Pokręciła głową rozbawiona, może lekko zszokowana. – Nie mam pojęcia, co ich łączyło, ale czasami widywałam ją, jak od niego wychodziła.

– Dziwne, mnie nawet nie wspomniała o istnieniu Flyna. Od ludzi ze wsi dowiedziałam się, że zamieszkał w Horwell już po moim wyjeździe do Bristolu.

– Bo tak było – potwierdziła. – Masz ochotę na kawę? – spytała, zatrzymując się przy jednym z kawiarnianych stolików.

– Na nic nie mam ochoty – mruknęłam. – Mam za to spore problemy finansowe. Obawiam się, że klinika weterynaryjna może nigdy nie powstać. Potrzebuję dodatkowej gotówki, a na tę ze sprzedaży domu w Bristolu będę musiała poczekać.

– A samochód? – spytała nieśmiało.

– Jeśli go sprzedam i spłacę raty, które wciąż jestem winna bankowi, to niewiele mi pozostanie.

– I nie masz już nic cennego? Czegóż, co mogłabyś spieniężyć i...

Nagle mnie olśniło.

– Pierścionek! – krzyknęłam podekscytowana.

– Co? – Jodie spojrzała na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem. – Jaki pierścionek?

– Zaręczynowy! Był wart ponad dziesięć tysięcy funtów! – Czułam się, jakbym dostała gorączki. Przyłożyłam dłoń do czoła, chcąc w skupieniu obmyślić plan jego odzyskania. – Muszę go tylko znaleźć. Jeśli mi się uda, sprzedam go i być może, w połączeniu z pieniędzmi ze sprzedaży samochodu i oszczędnościami Rachel, uda mi się uzbierać potrzebną kwotę.

– Znaleźć go? – powtórzyła z niedowierzaniem. – Zgubiłaś pierścionek wart dziesięć tysięcy funtów?

– Tak! – Potaknęłam energicznie głową, bojąc się kolejnego pytania.

– Gdzie go zgubiłaś? W domu?

– Na mokradłach. – Skrzywiłam się jak dziecko, które po raz pierwszy spróbowało soku ze świeżej cytryny. Jodie pobladła, zastygła w bezruchu i nie powiedziała nic. Jakby odjęło jej mowę. Cóż... Czasami cisza potrafi być bardziej wymowna niż tysiące słów. A ja właśnie się o tym przekonałam.

Od dwóch godzin dosłownie brodziłyśmy w grząskiej ziemi, szukając pierścionka zaręczynowego. Zapach gleby i gnijącej ściółki przenikał do naszych nozdrzy, w ustach czułyśmy smak wilgotnego powietrza. Nasze płuca zostały już solidnie

dotlenione, a obecność wszechrosnących buków i jarzębin sprawiła, że poczułyśmy kojący spokój. Do pełni szczęścia brakowało nam tylko pierścionka, który (o zgrozo!) tkwił gdzieś w pobliżu, a którego nie mogłyśmy znaleźć.

– Jasna cholera, ale mam żalobę pod paznokciami – jęknęła Jodie, patrząc na swoje dłonie. – Możesz mi powiedzieć, jakim cudem zgubiłaś pierścionek na mokradłach?

– Wolisz tego nie wiedzieć. – Pokręciłam głową i dłonią odgarnęłam liście paproci.

– Olive, to ja ryzykuję, że żywcem pożrą mnie kleszcze, a ty nie możesz wysilić się na szczerłość?

Wstałam, spojrzałam na Jodie i zażenowana przewróciłam oczami.

– Zatrzymałam samochód, otworzyłam okno i go wyrzuciłam. – Jodie otworzyła usta ze zdziwienia. – To było w dniu, w którym wróciłam do Horwell. Zwyczajnie poniosły mnie emocje. – Rozłożyłam szeroko ręce, jakby ten gest mógł dopowiedzieć resztę.

– Posrało cię? – spytała z niedowierzaniem. – Wyrzuciłaś przez okno pierścionek wart dziesięć tysięcy funtów, bo byłaś wściekła na Martina? Rany... – Na krótką chwilę zakryła twarz dłońmi. – Olive, nigdy więcej tak nie rób. Chciałaś się zemścić? To mogłaś sprzedać pierścionek, pojechać za zdobyte w ten sposób pieniądze na Bali, zrobić sobie fotę z półnagimi mężczyznami i wrzucić ją na Facebooka. Może to by go zabolalo. A tak... Martin o niczym nie wie, a my brodzimy w mokradłach od dwóch godzin w poszukiwaniu dziesięciu patoli.

– Patrząc z perspektywy czasu, muszę przyznać ci rację, ale wtedy naprawdę poczułam ulgę, gdy nim rzuciłam... Znak! – wykrzyknęłam, doznając olśnienia. – Pierścionek odbił się od znaku z nazwą wsi. Musi być gdzieś tam. – Palcem wskazującym pokazałam na drugą stronę wyjeżdżonej przez auta i ciężki sprzęt rolniczy ścieżki. Jodie ruszyła biegiem. Ja za nią. W pewnej chwili niemal włożyła głowę w wysokie paprocie, a potem zdążyła jeszcze krzyknąć:

– Żmija!

Odskoczyła przerażona, zachwiała się i straciwszy równowagę, spadła z nasypu drogi w czeluści paproci i słonych mokradel.

– Jodie! – wrzasnęłam i pospieszyłam jej na pomoc, zjeżdżając tyłkiem po nasypie. – Nic ci nie jest? – Chwyciłam ją za rękę, podniosłam i przerzuciłam jej ramię przez swoją szyję.

– Skręciłam kostkę – powiedziała, sycząc z bólu. – Przez tę głupią żmiję skręciłam kostkę!

– To był zaskroniec, Jodie, nie żmija zygzakowata – tłumaczyłam, prowadząc przyjaciółkę w kierunku stabilnego gruntu.

– Mniejsza o to. Zniszczyłam buty – dodała ze smutkiem w głosie, opierając na mnie swój ciężar, jakby obuwie było teraz naszym największym zmartwieniem. – Cholera, dałam za nie osiemdziesiąt funtów. Zobacz, całe są w błotnistej mazi – jęknęła.

Spojrzałam na jej stopy, na ubłocone obuwie i wtedy go zobaczyłam. Leżał w odległości zaledwie metra na dorodnym liściu paproci, jakby czekał na dzień, w którym po niego wrócę. Ujęłam go w palce i nie mówiąc nic, pokazałam Jodie.

– Tylko ty mogłaś mieć więcej szczęścia niż rozumu, Olive.

Zaśmiałyśmy się. Mimo skręconej kostki Jodie, zabłoconego obuwia i perspektywy zawitania do oddalonego o dwadzieścia mil szpitala. Czasami los potrafi nas pozytywnie zaskoczyć. I chociaż częściej dawał nam kopniaka w tyłek, aniżeli głaskał z miłością po głowie, dziś okazał się łaskawy. Ja natomiast odczytałam to jako kolejny znak. Znak od Tego na górze, że nie ma rzeczy niemożliwych, tak jak nie ma marzeń, których nie można by było zrealizować.

.....
* Jednodniowy bieg przełajowy, uważany za najtrudniejszy na świecie.



Rozdział 8

Oliver

Miniony miesiąc dał mi solidnie w kość. Po tym, jak musiałam schować do kieszeni swój honor i wrócić do Flynna z informacją, iż przyjmuję jego ofertę, prace remontowe w klinice szły pełną parą. I chociaż z każdym dniem dawne mieszkanie Rachel coraz bardziej przypominało klinikę z wizualizacji przygotowanej przez Flynna, bywały chwile, w których opadałam z sił. Nie sądziłam, że składanie, rozpakowywanie i ustawianie sprzętu może być aż tak męczące.

Sprawy nie ułatwiała milcząca atmosfera. Sallow zdecydowanie nie należał do ludzi towarzyskich ani rozmownych. W zasadzie nasza znajomość zatrzymała się na etapie „cześć” i „do jutra” i za cholerę nie mogła posunąć się ani o krok dalej. W pierwszym tygodniu starałam się nawiązać bliższy kontakt z Flynnem głównie dlatego, że czułam, iż dla Rachel musiał być kimś ważnym. Ale to wcale nie było łatwe. Im bardziej próbowałam się do niego zbliżyć, tym większe zasieki budował wokół siebie. Kilkakrotnie zaproponowałam mu, by zjadł ze mną posiłek lub napił się chłodnego piwa po zakończonym dniu pracy, ale zawsze odmawiał. Tym sposobem Flynn wykonywał zaplanowane przez siebie prace, a ja skupiałam się na urządzaniu już gotowych pomieszczeń i dyskretnym podglądaniu mężczyzny, który stawał się dla mnie coraz bardziej intrygującą zagadką.

Któregoś razu zorientowałam się, że Flynn szukał niewielkiego pudełka z wkrętami. Poprzedniego dnia zostawił je na korytarzu, a ja schowałam wkręty do

wnęki pod schodami, by mi nie przeszkadzały, kiedy będę wnosić paczki z karmą. Nie mówiąc nic, podeszłam do niego i wyciągnęłam rękę, chcąc mu je oddać. I wówczas stało się coś, co wprawilo mnie w osłupienie. Flynn, stojąc naprzeciwko mnie, zastygł w bezruchu, wbijając wzrok w pudełeczko, ale nie wyciągnął po nie ręki. Zamarł niczym posąg.

– Tego szukałeś? – spytałam, nieco zaskoczona jego zachowaniem. Dostrzegłam, jak z trudem przełknął ślinę, a kropelki potu natychmiast wystąpiły na jego czole. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę, spuścił wzrok na krótką chwilę i znowu utkwił go w pudełeczku. Uśmiechnęłam się, wciąż nieco zdezorientowana, następnie podeszłam do szafki i postawiłam na niej wkręty. Flynn potarł dłonią swój kark, odczekał, aż wyjdę z pomieszczenia, i sięgnął po nie, czego dowodem był dźwięk pracującej wkrętarki. I wówczas wszystko zrozumiałam.

Sallow nie był dziwakiem. Nie był też gburem ani wiejskim dupkiem, jak zwykła określać go Jodie. Był natomiast człowiekiem, który bał się dotyku innych ludzi. Przejęcie pudełka z wkrętami z moich rąk niesło ze sobą ryzyko, iż w którymś momencie muśniemy się palcami, i najwyraźniej tego obawiał się Flynn. To dlatego nigdy nie uścisnął mi dłoni. A ja głupia myślałam, że z jakiegoś powodu żywił do mnie antypatię. W tej konkretnej chwili zrobiło mi się go żal. Człowiek, który mierzył się z niepokojem za każdym razem, gdy groził mu dotyk ze strony drugiego człowieka, musiał strasznie cierpieć. W takich okolicznościach rzeczą niemal naturalną było to, że pragnął się izolować, by móc poczuć się bezpiecznie. Mimo wszystko Flynn potrafił żyć w miarę normalnie, będąc samowystarczalnym, co w przypadku tak skrajnych zaburzeń z całą pewnością zasługiwało na podziw i nie było łatwe. To poniekąd tłumaczyło, dlaczego nigdy nie wypłynął na szerokie wody i mimo swojego talentu nie pozyskał klientów w wielkim mieście, a jedynie w Horwell i okolicznych wsiach. Od tamtego dnia przestałam nagabywać Flynn'a o wspólny lunch. Robiłam wszystko, co mogłam, by podczas prac czuł się komfortowo. Starłam się tak zorganizować sobie dzień, by niepotrzebnie nie kręcić się po pomieszczeniach, w których pracował. Z tego powodu przedpołudnia spędzałam na okolicznych farmach, troszcząc się o zwierzęta, które potrzebowały mojej pomocy, a dopiero popołudniami krzątałam się po klinice.

– Do jutra, Olive. – Niski głos Flynn'a poniósł się po pokoju badań w chwili, w której zawieszałam na ścianie plakat z piramidą żywieniową psów. Spojrzałam przez ramię i zagryzłam wewnątrz policzków, by przypadkiem nie jęknąć z zachwytu na widok mężczyzny w opiętej bawełnianej koszulce, z rozgrzanymi przez pracę mięśniami przedramion i cudownie jasnymi włosami, które lokami opadały mu na czoło. Mimo iż podziwiałam Flynn'a już od kilku tygodni, jego sylwetka, sposób poruszania się i uroda

tak różna od tej, którą w większości reprezentowali mieszkańcy wsi, wciąż robiły na mnie wrażenie. I nawet przywykłam do jego perfum, chociaż zapach migdałowca wciąż mi do niego nie pasował. Mężczyźni tacy jak on, seksowni i kuszący, powinni pachnieć Hugo Bossem lub Paco Rabanne, a nie kwiatami migdałowca. Ale Flynn nie był jak większość mężczyzn. Był inny. Niepowtarzalny, czasami nawet unikatowy.

– Do zobaczenia rano – powiedziałam, gdy w końcu odgoniłam od siebie brudne myśli o chwili, w której sunę palcami po jego rozgrzanej skórze. – Na szafce przy drzwiach zostawiłam dla ciebie czek. To już ostatni, prawda? – spytałam, gdy zmierzał ku wyjściu. Flynn przystanął, spojrzał w moją stronę i tak jak miał w zwyczaju, w milczeniu skłonił głowę, by następnie opuścić mój dom, nie mówiąc już ani słowa.

Przyczepiłam plakat, z lodówki znajdującej się w kuchni wyjęłam butelkę piwa imbirowego i przysiadłam na ganku, wystawiając twarz do coraz cieplejszych promieni słońca. W powietrzu unosił się zapach koszonej trawy, a w oddali rozbrzmiewał klangor żurawi. Upiłam kilka łyków piwa, wstałam i przemierzając ścieżkę od ganku do chodnika i z powrotem, zaczęłam wyobrażać sobie, jak zagospodarować wejście do kliniki, jakie rośliny posadzić, i czy w ogóle to robić? Uśmiechnęłam się na widok mieniącej się w promieniach słońca nazwy: Klinika Weterynaryjna „Pod Skrzydłami Żurawi”, która dumnie pyszniła się na drewnianej tablicy zdobiącej mój niewielki trawnik. Pomyślałam wówczas, że gdyby szczęście miało kolor, moje mieniłoby się barwami tęczy, tak jak nazwa pobłyskująca w słońcu. Dodatkowo pachniałoby skoszoną trawą i smakowało piwem imbirowym. Tak. Po raz pierwszy od lat mogłam śmiało powiedzieć, że byłam szczęśliwa. Paskudnie, niezaprzeczalnie i wariacko, dokładnie tak, jak nigdy wcześniej nie miałam odwagi być. Byłam też dumna, że w końcu sama osiągnęłam to, o czym zawsze marzyłam, że pomimo niełatwej sytuacji życiowej i finansowej udało mi się zawalczyć o marzenia. Wiedziałam, że przyjdzie dzień, w którym na pewno pojawią się jakieś trudności, że z czasem stanie się coś, co sprawi, że znowu upadnę na kolana, prosząc Tego na górze, by był dla mnie nieco łaskawszy. Ale wiedziałam również, że stosunkowo niewiele rzeczy na tym świecie było w stanie mnie zniszczyć, i jeśli z czymś mogłam przegrać, to jedynie ze sprawami, na które nie miałam wpływu.

– Czasami nie zdajemy sobie sprawy z tego, na ile nas stać, dopóki nie odważymy się spróbować. – Wzdrygnęłam się, słysząc za sobą głos Jodie. – Cześć, właścicielko najlepszej kliniki weterynaryjnej w okolicy. Pomyślałam, że prosecco będzie bardziej adekwatne do sytuacji niż piwo imbirowe. – Uśmiechnęła się szeroko i uniosła butelkę trzymaną w dłoni. Wiatr rozwiął jej jasne włosy, które teraz wdzięcznie falowały

w powietrzu. I chociaż na twarzy Jodie widniał szeroki uśmiech, w oczach krył się ogromny ból.

– Cześć. Jak twoja kostka? Długo się nie widziałyśmy. Kilka razy byłam u ciebie, ale nikt mi nie otworzył. Wyjechałaś na urlop? – Podeszłam do niej i przyjąłam z jej rąk butelkę prosecco.

– Kostka w pełni sprawna. – Zaśmiała się nieco nerwowo i poruszyła stopą, jakby chciała w ten sposób potwierdzić swoje słowa. – Wyjechałam do rodziców. Przepraszam, że cię nie uprzedziłam, ale to wszystko potoczyło się tak szybko. Ojciec złamał rękę, a matka rozpaczała, jakby co najmniej został inwalidą. Musiałam wkroczyć do akcji. Spakowałam dziewczynki i pojechałyśmy do Exeter na kilka tygodni.

– Odpoczęłyście? Jak ojciec? – spytałam, gdy wsunęła mi rękę pod ramię i pociągnęła mnie w stronę ganka. Słysmy powoli, patrząc przed siebie.

– Odpoczęłyśmy – potaknęła. – Ojciec ma się już lepiej. Czas spędzony z dziewczynkami zadziałał na niego zbawiennie.

– Cieszę się.

– Ależ to wszystko pięknie wygląda. Widzę, że doszłaś z Flynnem do porozumienia co do ceny. – Przystanęłyśmy, a Jodie wciąż spoglądała na budynek, w zamyśleniu kiwając głową.

– Tak bym tego nie nazwała. Sprzedałam pierścioneł, zamieniłam nowego mercedesa na starego rżęcha i dołożyłam pieniądze, które zostawiła mi Rachel. Razem uzbierała się całkiem pokaźna kwota. Oczywiście musiałam jeszcze spłacić koszt pogrzebu ciotki, ale dałam radę.

– Czyli jesteś splukana? – wywnioskowała z lekką nutką współczucia w głosie.

– I to doszczętnie – zgodziłam się z jej stwierdzeniem.

– Ale spełniłaś swoje marzenie. – Posłała mi krótkie spojrzenie. – I wyglądasz na szczęśliwą. – Uśmiechnęła się z nostalgią.

– To prawda – zawtórowałam. Jodie chwyciła pasemko włosów, którym bawił się wiatr, i wsunęła je za ucho.

– Co ci się stało? – spytałam, gdy na wysokości kości policzkowej dostrzegłam znaczne zasinienie, które starała się ukryć pod makijażem.

– Pytasz o to? – Palcami dotknęła policzka. – Bawiłam się z dziewczynkami w ogrodzie. Oberwałam piłką tenisową. Bolało jak jasna cholera. – Skrzywiła się, jakby nadal odczuwała ból.

– Sierota z ciebie, Jodie. – Pokręciłam głową i pociągnęłam ją w stronę drzwi wejściowych. – Pozwól, że sama otworzę prosecco. W ostatnich tygodniach zaliczyłaś

skręcenie kostki, zbitcie policzka, więc może zrezygnujemy z wielce prawdopodobnej szansy na to, byś straciła oko przez korek od butelki.

– Tak! Lepiej będzie, gdy ty się tym zajmiesz. – Mrugnęła, otwierając drzwi domu.

Wieczór upłynął mi na opowiadaniu Jodie o pracach związanych z remontem i na snuciu wizji przyszłości, w której klinika świetnie prosperuje, a ja dzięki temu jestem w stanie zapewnić sobie godne warunki do życia. W swoich zwierzeniach nie pominęłam również Flynna i chociaż z obawy o rozwiążłość języka przyjaciółki, zachowałam dla siebie informację o swoich podejrzeniach odnośnie do jego choroby, to Jodie kilkakrotnie głośno oświadczyła, że wystarczy na mnie spojrzeć, by zorientować się, że coś mnie przyciąga do tego faceta. I mimo że starałam się zaprzeczyć jej wnioskowi, nie byłam wystarczająco przekonująca.

Jodie miała rację. Z każdym dniem Flynn stawał mi się bliższy, a ja łapałam się na tym, że sukcesywnie wypełniał pustkę w moim sercu, która powstała w wyniku zdrady Martina. Nie, nie kochałam go, bo przecież nie można pokochać człowieka, którego się nie zna, ale moje serce dziwnie reagowało na jego obecność. Zupełnie jakby wpadało w popłoch, w jakiś szalony galop na sam dźwięk jego głosu, gdy mówił „cześć”, na świadomość, iż jest w pobliżu. I nawet zapach migdałowca już mi nie przeszkadzał. Najwyraźniej zaakceptowałam go tak, jak małomówność i powściągliwość Flynna.

Tego wieczoru, gdy już leżałam w łóżku, nasłuchując kropli deszczu rozbijających się o parapet i dobiegających z oddali odgłosów zbliżającej się burzy, pomyślałam, że z Flynnem Sallowem nawet milczenie potrafiło być przyjemne. Lubiałam go. Z dnia na dzień coraz bardziej. I w ogóle się tego nie bałam. Jak zwykła mawiać Rachel: „Jeśli chcesz móc spać spokojnie, musisz mieć czyste sumienie, szczerze zamiary i wiarę, że wszystko, co w życiu zostało ci dane, otrzymałaś, bo na to zasłużyłaś. Miłość to potęga, na którą nie masz wpływu. Rodzi się w sercu w najmniej oczekiwanym momencie, by stać się twoim najcenniejszym życiowym filarem. I jedyne, co musisz zrobić, to pozwolić jej zaistnieć i dbać o nią. Nigdy na siłę. Nigdy z przymusu. Zawsze z cierpliwością”.

Obudził mnie hałas, którego nie potrafiłam zidentyfikować. Wyrwana ze snu przysiadłam na łóżku z dziko bijącym sercem. Wnętrze pokoju wypełniło fioletowe światło wyładowań atmosferycznych, a silny deszcz huczał niemiłosiernie. Nad Horwell przetaczał się huragan, zdaniem synoptyków jeden z silniejszych, jaki nawiedził tę okolicę w minionych latach. Podeszłam do okna i wstrzymałam oddech na widok wysokich olch, których gałęzie niemal kładły się na ziemi, targane silnym wiatrem. Oświetlane fioletowym światłem piorunów wyglądały groteskowo, tracąc swój

majestat i spokój, którym emanowały za dnia. Kolejne wyładowanie atmosferyczne rozdarło niebo, dzieląc je na pół. Dostrzegłam zaparkowany na podjeździe samochód Flynna dokładnie w chwili, w której do moich uszu przedarł się dźwięk kołatki.

– Cholera! – jęknęłam, gdy uświadomiłam sobie, że to właśnie ten odgłos wyrwał mnie ze snu. Coś musiało się stać. Byłam pewna, że Flynn nie nachodziłby mnie w nocy, gdyby nie miał ważnego powodu. Puściłam się biegiem, nie zważając na to, że jestem boso, a na sobie mam jedynie bokserki i bawełnianą koszulkę. A ponieważ z powodu remontu wciąż nie miałam światła na korytarzu, śpiesząc się, niefortunnie śmignęłam nogą w balustradę schodów, która wymagała remontu. Łzy wypełniły mi oczy, gdy drewniana drzazga boleśnie utknęła w krawędzi mojej stopy.

– Kurwa! – krzyknęłam z bólu, by następnie zagryźć wargi i utykając, poczłapać do drzwi. Gdy je otworzyłam, do korytarza wpadły krople deszczu, a zaraz po nich silny wiatr pachnący morzem i mokrą ziemią. Zmrużyłam oczy, by w ciemności odnaleźć Flynna. Niebo rozbłysło fioletową barwą i wówczas ujrzałam go stojącego na wycieracze i ociekającego deszczem.

– Flynn?

– Potrzebujemy twojej pomocy – rzucił pospiesznie i nie czekając na zaproszenie, wkroczył do korytarza. Kolejna seria grzmotów rozświetliła ciemność nocy i zauważyłam, że na swoich rękach trzyma psa. Ślizgając się na mokrej podłodze, zamknęłam drzwi i ruszyłam w stronę pokoju badań, aby zapalić światło.

– W całej okolicy nie ma prądu.

– Szlag! – zakląłam z bezradności. – Daj mi chwilę. W kuchni mam świece. – Gdy mijałam Flynna, pies, którego trzymał na rękach, najpierw zaskomlał, a następnie zwymiotował. – Od jak dawna wymiotuje i ma biegunkę? – spytałam, szukając w szufladzie zapalniczki. Kiedy ją znalazłam, podpaliłam grubą świecę, którą włożyłam później do litrowego słoika. W powietrzu unosił się smród psich odchodów zmieszanych z wymiocinami. Podeszłam do Flynna i za pomocą świeczki przyjrzałam się psu.

– Nie wiem. Olive, on wciąż wydalą, może...

– Połóż go na stole – poprosiłam i odstawiwszy świeczkę na blat, założyłam rękawiczki, by móc zbadać psa, który na pierwszy rzut oka stanowił mieszankę border collie z owczarkiem niemieckim. Nie wyglądał dobrze. Obawiałam się, że niewiele będę mogła wskórać. – Potrzebuję więcej światła. – Flynn skinął głową i udał się do kuchni, podczas gdy ja zajęłam się czworonogiem. – W salonie na fotelu leży koc! Przynieś go, proszę! – krzyknęłam. Chwyciłam termometr i sprawdziłam temperaturę psa, a Flynn w tym czasie zdążył wrócić z dwiema kolejnymi świecami i kocem.

– Co z nim? – zapytał i postawił świece tak, by dawały jak najwięcej światła.
– Jest źle. Ma gorączkę i podkasany brzuch. Słyszysz, jak mu się w nim przelewa?
– Potaknął głową i wciąż stał, trzymając w rękach koc, a z jego włosów spadały krople deszczu wprost na ledwo przytomnego psa. – Dlaczego nie przyjechałeś z nim wcześniej? Próbowaleś dać mu się napić wody? – pytałam, jednocześnie badając reakcję mięśni pacjenta, która wskazywała na ich obniżoną kurczliwość.

– To nie mój pies. Znalazłem go na swojej wycieraczce. Myślę, że ktoś mi go podrzucił.

Przejechałam dłonią po grzbiecie zwierzaka. Miał przyśpieszony oddech i był pozbawiony energii. Z jego oczu wycierał ból i strach. Wciąż wymiotował, a biegunka zdążyła już zamienić się w krwistą wydzielinę.

– Co mu jest, Olive? – szepnął Flynn cicho, a mimo to jego słowa wybrzmiały głośno, niczym niedzielne bicie kościelnych dzwonów.

– Nie jestem pewna – przyznałam szczerze. – Powinnam wykonać badanie ultrasonograficzne, ale w tych okolicznościach... – Przerwałam w połowie zdania, wściekła, że akurat dziś nad Horwell musiał przetaczać się huragan, który uszkodził linie energetyczne. – Myślę, że to może być parwowiroza.

– Co to takiego?

– To choroba wirusowa, która najczęściej atakuje szczeniaki i niezaszczepione psy. Prowadzi do odwodnienia organizmu poprzez silne biegunki i wymioty, w efekcie zaś bardzo często dochodzi do śmierci.

– Ale będziesz mogła mu pomóc, prawda? – zapytał z ufnością dziecka.

– Niewiele mogę zrobić, Flynn. Może gdyby trafił do mnie wcześniej...

– On nie może umrzeć – powiedział cicho i nie zważając na to, że pies niemal w całości jest oblepiony własnymi odchodami i wymiocinami, przejechał dłonią po jego grzbiecie.

– Postaram się zapanować nad objawami choroby. W tej sytuacji musimy zastosować głodówkę, która powinna trwać do momentu, aż wymioty i biegunka ustąpią. Podam mu również kroplówkę.

– Kroplówkę? – powtórzył, a w jego głosie dało się słyszeć nadzieję.

– To tylko glukoza i elektrolity – wyjaśniłam. – Zastosuję również surowicę odpornościową i antybiotykoterapię, ale jeśli mam być szczerą...

– Spróbujmy – poprosił, wciąż patrząc na coraz słabszego psa.

Gdy przygotowywałam kroplówkę i elektrolity, Flynn bezustannie głaskał psa, jakby w ten sposób chciał dodać mu otuchy. To mnie rozczuliło. Wielki facet, cały umazany psimi wydzielinami i śmierdzący na miłą, który nie przejmował się swoim wyglądem.

– To ci pomoże, koleżko – szepnął psu do ucha, gdy podłączałam glukozę. Coś mnie chwyciło za serce, jakaś niewidoczna siła, która sprawiła, że całe moje wnętrze drżało. Niewielu ludzi w dzisiejszych czasach było równie empatycznych, co Flynn Sallow, zwłaszcza gdy w grę wchodziły obce zwierzęta, w dodatku wymiotujące i cuchnące odchodami.

– Flynn, przełóż go do klatki, dobrze? Ja przytrzymam kroplówkę. – Sprawnie wykonał to, o co go poprosiłam, następnie chwycił koc i szczelnie otulił nim psa. – Pozostaje nam czekać. Nic więcej nie możemy zrobić – powiedziałam, prostując się i umieszczając butelkę na stojaku, tak by płyn mógł swobodnie spływać. – Możesz wracać do domu. Będę przy nim czuwała – zapewniłam, posyłając Flynnowi delikatny uśmiech. – Najbliższe czterdzieści osiem godzin będzie decydujących.

– Zostanę – powiedział stanowczo, nie pytając nawet, czy nie mam nic przeciwko. – Pomogę ci posprzątać. – Zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się, że ten sam Flynn Sallow, który tygodniami unikał kontaktu i który przez ostatni miesiąc łącznie nie wymienił ze mną tylu zdań, co dziś, za sprawą bezpańskiego psa ośmieli się spędzić noc w moim towarzystwie, nawet jeśli miałyby się to ograniczyć do wspólnego siedzenia na podłodze.

– W porządku – zgodziłam się ostrożnie. – Ale ja tu posprzątam, a ty pomaszerujesz pod prysznic. Śmierdzisz... sam wiesz czym. – Zmarszczyłam brwi i zacisnęłam usta, by już nic się z nich nie wydostało. Flynn spojrzał na swoją koszulkę, następnie na spodnie i potaknął głową.

– W samochodzie mam robocze spodnie. Przebiorę się – powiedział, głową wskazując w stronę okna.

– To dobry pomysł – przyznałam, lekko zakłopotana na samą myśl, że nagi Flynn skorzysta z mojego prysznicza. – Czysty ręcznik znajdziesz w szafce w łazience – rzuciłam za nim, gdy zniknął w korytarzu. – Co tu się porobiło, Olive? Powinnaś założyć portki na dupę. I przestań mieć głupie myśli. Będziesz się za nie smażyła w piekle. W dodatku w największym kotle.

– Mówiłaś coś? – Flynn wsunął głowę w szparę pomiędzy drzwiami a futryną.

– Tylko do siebie. – Spłonęłam rumieńcem, on zaś ruchem głowy wskazał na schody prowadzące na górę, gdzie znajdowała się łazienka, a ja odpowiedziałam dokładnie w ten sam sposób. I tak, kiwając głowami, wróciliśmy do dawnego sposobu komunikacji.

Najpierw wyjęłam drzazgę ze stopy, następnie zabrałam się za sprzątanie. Dokładnie umyłam i odkaziłam stół, wyrzuciłam do kosza opakowania po kroplówce i strzykawkę po podaniu surowicy odpornościowej. Wciągnęłam na tyłek legginsy,

darując sobie biustonosz, i przyniosłam z kuchni jeszcze dwie świece. Wyjęłam z szafki pled i położyłam na klatce, w której leżał ledwo żywy pies, by zaciemnić mu wnętrze, co powinno znacznie go uspokoić.

– Co z nim? – Wzdrygnęłam się na niski głos Flynna. Odwróciłam się do niego i wstrzymałam oddech. Stał przede mną w roboczych spodniach, bosy i z nagim torsem. I chociaż chciałam, bardzo chciałam, się na niego nie gapić, nie potrafiłam. Nie w momencie, w którym na wysokości oczu miałam pięknie wyrzeźbioną męską pierś, po której wciąż spływały zbłąkane krople wody.

– Bez zmian. Potrzebny jest czas. – Przygryzłam wewnątrz policzków, zdając sobie sprawę, że czułabym się znacznie lepiej, gdyby miał na sobie koszulkę. – Mam nadzieję, że elektrolity skutecznie go nawodnią.

Flynn podszedł do klatki i przez chwilę w milczeniu przyglądał się psu, następnie usiadłszy na podłodze, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował je w kostkach.

– Byłoby ci wygodniej na krześle – zasugerowałam, ruchem głowy wskazując mebel.

– Jest dobrze – odpowiedział cicho, a ja zaczęłam się obawiać, że za chwilę znowu zmieni się w milczącego i nieprzystępnego mężczyznę, który cały dzień myślami błądzi w swoim własnym świecie.

– Zaproponowałabym ci herbatę, ale wyobraź sobie, że zarówno czajnik, jak i Kuchenkę mam na prąd, więc w obecnej sytuacji mogę cię poczęstować winem lub piwem. – Liczyłam, że moja propozycja sprawi, że się uśmiechnie lub chociaż cicho parsknie pod nosem, ale nic takiego się nie wydarzyło. Flynn znowu zaczął wznosić wokół siebie mur. W tej sytuacji miałam tylko jedno wyjście. Musiałam jak najszybciej zburzyć to, co na nowo próbował zbudować. Tak jak on przysiadłam na podłodze, dokładnie po przeciwnej stronie, i skrzyżowałam nogi w kostkach. Flynn patrzył na mnie, ale nie potrafiłam odgadnąć jego myśli.

– Co łączyło cię z ciotką Rachel? – spytałam bez zahamowań, wiedząc, że tym razem będzie musiał mi odpowiedzieć. Raczej nie rzuci się ku drzwiom wyjściowym, gdy na zewnątrz szalał huragan, łamiąc drzewa i rzucając pustymi śmietnikami, które sunęły po mokrym asfalcie jak po tafli lodu.

– Nic szczególnego. – Skrzywił się i zmarszczył brwi, jakby szukał w myślach odpowiednich słów.

– Nic szczególnego? – powtórzyłam, starając się nie zabrzmieć zbyt kpiarsko.

– Rachel, w przeciwieństwie do niektórych mieszkańców, była dla mnie po prostu życzliwa. – Wzruszył ramionami i zamilkł.

– I dlatego zostawiła ci coś, co było dla niej cenne? – dociekałam.

– Też tego nie rozumiem. – Potarł dłonią nagą pierś, a ja niemal jęknęłam.
– Co było w pudle, które od niej otrzymałeś? – Spuścił głowę i nieco nerwowo zabujał nogami.

– Nie wiem, jeszcze go nie otworzyłem.

Zaskoczył mnie tą odpowiedzią. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Flynn mówi prawdę. Miał coś do ukrycia? Czyżby łączyła go z ciotką wyjątkowa relacja? Romans? Boże, nie! Czułam, jak krew zaczęła odpływać mi z twarzy. Może faktycznie nie miałam pojęcia, kim była Rachel? Może nie znałam jej od tej strony, od której miał okazję poznać ją Flynn?

– W liście, który od niej otrzymałem, napisała, żebym otworzył pudło, gdy będę na to gotowy. Zaznaczyła również, że będę wiedział, kiedy mam to zrobić.

– Dziwnie to wszystko brzmi – przyznałam, pozwalając sobie na szczerość. Flynn nie skomentował moich słów. Nastąpiła cisza, ale nie taka, która krępuje. To była cisza skłaniająca do refleksji. I gdy tak milczeliśmy już od kilkunastu minut, nagle, wbrew temu, co podpowiadał mi rozsądek, spytałam:

– Boisz się ludzi, prawda? Boisz się ich dotyku...

Flynn utkwił we mnie wzrok. Przeszywający. Tajemniczy. Niezrozumiały.

– Nie. – Pokręcił głową i cicho parsknął pod nosem.

– Unikasz mojego dotyku, nie zaprzeczaj. – Nie odpuszczałam, nie mogłam. Chciałam poznać prawdę o Flynnie, o ciotce Rachel i o tym, co ich łączyło. – Gdy podałam ci pudełeczko z wkretami, bałeś się, że mnie dotkniesz.

– Tak było – potwierdził.

– Zatem cierpisz na hafefobię. – Poruszyłam się, niecierpliwie wyczekując jego odpowiedzi.

Flynn oparł głowę o ścianę i spojrzał w okno w chwili, w której huk pioruna przeszył dzielącą nas ciszę. Jedna ze świec zgasła, jakby przestraszyła się grzmotu, zaś płomienie pozostałych wdzięcznie tańczyły, malując cienie na ścianie.

– Nigdy nie rozumiem, dlaczego ludzie dążą do tego, by każdemu przykleić łatkę – powiedział, następnie spojrzał na mnie, dając mi do zrozumienia, że byłam jednym z nich. Człowiekiem, który chciał Flynną zamknąć w sztywnych ramach pewnych określeń, zachowań, dać temu konkretną nazwę, postawić diagnozę, a nie spróbować go zrozumieć. Zrobiło mi się głupio. Spuściłam wzrok, zatapiając go we własnych dłoniach, i gdy już byłam bliska temu, by go przeprosić, Flynn ubiegł mnie, mówiąc: – Nie boję się dotyku. Boję się tego, co dotyk może ze sobą przynieść. Gdy dotykasz drugiego człowieka, pokonujesz niewidzialną granicę, po przekroczeniu której nic już

nie będzie takie samo. Dotyk niesie ze sobą konsekwencje. Może sprawić, że ktoś stanie ci się bliski, bardziej, niżbyś tego chciał. – Ponownie uciekł spojrzeniem w bok.

– Zatem boisz się bliskości? Dobrze rozumiem? – dociekałam. – Dlaczego nie chcesz, by ktoś stał ci się bliski? – Nie odpuszczałam, nachalnie domagałam się odpowiedzi, w myślach prosząc los, by Flynn się z nich nie wykręcał.

– Bo patrzenie na cierpienie bliskich zabija człowieka. Sprawia, że staje się on martwy, mimo że jego serce wciąż bije. Nic nie boli tak mocno jak bezsilność, jak śmierć osoby, którą się kocha. – Zamilkł na chwilę, następnie prześledził językiem spierzchnięte usta i patrząc mi prosto w oczy, powiedział: – Samotne ptaki mają najsilniejsze skrzydła. – Po czym uśmiechnął się krzywo.

Przestałam oddychać. „Samotne ptaki mają najsilniejsze skrzydła” – powtórzyłam w myślach, porażona wydźwiękiem tych słów. Flynn był człowiekiem, który świadomie stronił od ludzi, a robił to, by chronić swoje serce. Zaczęłam snuć domysły, że w przeszłości ktoś musiał go zranić. Brutalnie. Dogłębnie. Zabawne – pomyślałam – mamy ze sobą więcej wspólnego, niż początkowo założyłam.

– Straciłeś kogoś bliskiego? – spytałam, a w moim głosie pojawiło się współczucie. Flynn nabrał powietrza do płuc i trzymał je przez dłuższą chwilę. Czekałam, aż jego pierś opadnie, a gdy w końcu to się stało, powiedział:

– Straciłem wszystkich, Olive...

Jego wyznanie było ciche, a mimo to słowa te uderzyły we mnie z ogromną siłą. Żal, właśnie to zrodziło się w moim sercu, gdy oczy Flynnna pociemniały, najpewniej widząc obrazy przeszłości. Chciałam coś powiedzieć, ale nie potrafiłam znaleźć słów, które oddałyby moje myśli. Porażona jego zwierzeniem, z kielkującym w moim wnętrzu współczuciem i obezwładniającą bezsilnością, wstałam i podeszłam do stojaka, by nieco przyspieszyć spływanie kroplówki. Pies spał, otulony kocem. Był wycieńczony. W duchu liczyłam na to, że przeżyje. Zapragnęłam tego jeszcze bardziej, gdy Flynn przyznał się do straty bliskich. Chciałam, żeby chociaż ten pies nie odszedł na jego oczach, nie teraz, gdy Flynn był zupełnie sam.

Huragan nie ustępował. Miałam wrażenie, że z godziny na godzinę przybierał na sile. W pewnym momencie w kuchni otworzyło się okno i gdyby nie Flynn, najpewniej nie byłabym w stanie zamknąć go sama. Nim udało nam się to zrobić, deszcz zdążył nas zmoczyć. Spojrzałam na Flynnna i wiążąc włosy w kitkę, zupełnie szczerze powiedziałam:

– Dobrze, że tu jesteś.

Chwyciłam ścierkę kuchenną i rzuciłam nią w niego, by mógł wytrzeć twarz i tors. Jego oczy zajaśniały dziwnym światłem, które byłam w stanie dostrzec mimo

otaczających nas ciemności. A gdy już myślałam, że w żaden sposób nie skomentuje moich słów, on wyraźnie i bardzo ostrożnie wyznał:

– Lubię, gdy masz rozpuszczone włosy.

Zamarłam, wiedząc, że się nie przesłyszałam. Flynn Sallow po raz pierwszy powiedział mi coś miłego. W dodatku zrobił to tak słodko i niewinnie, że byłam niemal pewna, iż taki komplement z jego ust padł po raz pierwszy. Świat zawirował wokół mnie i najpewniej tkwiłabym w osłupieniu przez kolejne długie sekundy, gdyby nie dźwięk samochodowego alarmu przesywający ciemną ciszę, podczas której wyraźnie słyszałam bicie swego serca.

– To chyba mój samochód. – Zaczął przeszukiwać kieszenie. – Zostawiłem klucze w brudnych spodniach – powiedział, po czym palcami przeczesał mokre włosy i zaczął iść tyłem w stronę korytarza. Czułam na sobie jego wzrok. Mur, który budował wokół, zaczął się kruszyć, a ja byłam niczym woda, która powolnie drążyła cegły, osłabiając je z każdym dniem.



Rozdział 9

Flynn

„Lubię, gdy masz rozpuszczone włosy”. To zdanie wwiercało mi się w mózg, niemal zmieniając go w gąbkę. Co też mi strzeliło do łba, by rzucić takim tekstem? Powinienem się bardziej pilnować. Tymczasem na chwilę straciłem czujność. To nie miało prawa się zdarzyć. A mimo to popełniłem tak karygodny błąd. Przekręciłem się na plecy i teraz patrzyłem przez dachowe okno sypialni na wciąż zachmurzone niebo. Materac cichutko zaskrzypiał, gdy wyostrozonymi zmysłami nasłuchiwałem odgłosu uginających się pod moim ciężarem piór, które wypełniały poduszkę. Olive nie może stać mi się bliska. Wiem, jak to się zakończy, jeśli nasza relacja przekroczy pewne granice. Nie powinienem był przyjmować od niej zlecenia. Najlepiej by było, gdybym trzymał się od Olive z daleka, ale za nic w świecie nie potrafiłem tego zrobić. Coś mnie do niej ciągnęło. Coś, co z jednej strony mnie przerażało, zaś z drugiej sprawiało, że w jej obecności czułem się... beztrosko? Tak, to dobre określenie. W obecności Olive czułem się beztrosko. Zapominałem o przeszłości i o tym, co straciłem. Nagle zapragnąłem żyć codziennością, tak jak robią to normalni ludzie. Nie rozpamiętywać tego, co jest za mną, bo przecież nie mogłem wpłynąć na przeszłość, nawet jeśli bardzo tego pragnąłem.

Spuściłem nogi na podłogę i czując pod bosymi stopami chłód drewnianych desek, przetarłem dłońmi twarz i brodę. Nieco ociężale udałem się do łazienki i wziąłem prysznic, wciąż nie mogąc wygonić Olive ze swojej głowy. Coraz częściej łapałem się

na tym, że moje myśli wędrowały właśnie w jej kierunku. W ostatnim czasie zasypiałem z obrazem jej twarzy pod powiekami, a w uszach wciąż słyszałem jej dziewczęcy, delikatny głos. Żebym nie mógł o niej zapomnieć, irysowa woń jej perfum towarzyszyła mi nawet wówczas, gdy jej przy mnie nie było. Czy mi się to podobało, czy też nie, ta kobieta zamieszkała w mojej głowie, pomału stając się moją obsesją. A ja z każdą kolejną chwilą bałem się, że stanie się coś strasznego, że po raz kolejny przegram z losem, który wyszarpane z moich rąk to, co będzie dla mnie najcenniejsze. Zupełnie jakbym czekał na kolejną tragedię.

Wytarłem włosy i oceniając, że mam jeszcze dwie godziny, zanim rozpocznę dzień pracy, zaparzyłem sobie kawę i skierowałem się w stronę warsztatu z zamiarem skończenia jednego z zamówień. Przechodząc przez ogród, zorientowałem się, że wiatr narobił nieco bałaganu. Uprzątnąłem przewrócone śmietniki i doniczki z kwiatami. Podniosłem również jedną z drewnianych rzeźb, którą zrobiłem jakiś czas temu, a która od wiosny tego roku zdobiła mój taras. Następnie wkroczyłem do warsztatu i chwyciłem za dłuto. Pracowałem w ciszy, rezygnując z radia, które zawsze mi towarzyszyło. Dziś go nie potrzebowałem, ponieważ myśli miałem zaprzątnięte nocą spędzoną z Olive. Opuściłem klinikę dopiero o trzeciej rano, gdy huragan osłabł, a stan psa się ustabilizował. I chociaż wskoczyłem do łóżka, to nie zmrzyłem oka. Nie mogłem. Olive zbyt głęboko zapisała mi się w pamięci, a przez to zabrała mi coś, co do tej pory było moim sacrum. Zabrała mi spokojny sen. Syknałem z bólu, gdy poczułem ostrą krawędź dłuta haczącą o kość śródreńca. Zakląłem, w myślach wyrzucając sobie brak ostrożności. Powinienem był założyć rękawice, ale wędrując myślami po bezkresie fantazji o kobiecie, której nagie uda bezustannie pojawiały mi się przed oczami, zwyczajnie o nich zapomniałem. Podeszedłem do apteczki i odkażiłem ranę. Poruszając palcem, upewniłem się, że kość nie została uszkodzona, a następnie zrobiłem opatrunek, ciasno owijając palec bandażem.

– Wyrzucić ją ze swojej głowy, Flynn. Zrób to albo znowu będziesz cierpieć – mruknąłem pod nosem, wiedząc, że nikt mnie nie usłyszy.

Gdy dotarłem do kliniki, Olive właśnie wbiegła na podjazd swojej posiadłości. Miała zaróżowione policzki i nieco wilgotną grzywkę. Z jej ciała buchało ciepło. Opiniający strój do joggingu kusząco podkreślał kształty jej figury. Niewielkie piersi, jędrne pośladki i zgrabne nogi. Była piękna, i chociażbym codziennie wmawiał sobie, że jest inaczej, nie było szans, bym w to uwierzył.

– Cześć, co ci się stało w rękę? – spytała, stając tuż obok mnie. Zacisnąłem mocniej dłoń na uchwycie skrzynki ze sprzętem i zrobiłem krok w tył. Była zbyt blisko.

Nie mogłem ryzykować, że przekroczy granicę, którą jej jasno wyznaczyłem. Nie mogłem pozwolić na to, że mnie dotknie.

– Wypadek przy pracy, nic poważnego. – Odwróciłem się i ruszyłem w stronę ganka.

– Twój pies ma się dzisiaj znacznie lepiej. Rano napił się wody, to dobry znak.

Przystanąłem na schodach i spojrzałem na nią przez ramię. Uśmiechała się, co można było porównać do przebłysku słońca, którego promienie pokonały burzowe chmury.

– To nie jest mój pies – powiedziałem i już miałem ruszyć przed siebie, gdy zatrzymał mnie jej głos.

– Flynn – zabrzmiała bardziej stanowczo niż wcześniej. – Próbujesz mi powiedzieć, że ci na nim nie zależy? – Wbiegła po schodach i stanęła naprzeciwko mnie. Była zbyt blisko. Czułem jej wzburzony oddech, który teraz błędził w okolicy mojej klatki piersiowej. Potaknąłem głową, myśląc tylko o tym, że gdyby uniosła rękę, dotknęłaby mnie, skazując tym samym na cierpienie. – Czyli chcesz, żebym oddała go do schroniska? – Znowu potaknąłem głową. Liczyłem się z takim rozwiązaniem. Oboje wiedzieliśmy, że pies nie ma chipa i najprawdopodobniej nie był też szczepiony, więc istniało prawdopodobieństwo, że był bezpieczny. – Dlaczego nie chcesz go przygarnąć? – Wwiercała we mnie spojrzenie, a ja w wyrazie jej twarzy dostrzegłem rozczarowanie.

– Nie mogę... – powiedziałem cicho, modląc się, by przestała drażnić temat.

– Dlaczego? – Nerwowo przestąpiła z nogi na nogę. – Nie jesteś alergikiem, zauważyłabym to.

– Nie jestem – potwierdziłem.

– To naprawdę świetny pies. Będzie twoim wiernym towarzyszem. Psy potrafią być wdzięczne, a ten tu z całą pewnością pamięta, że uratowałeś mu życie – przekonywała, patrząc na mnie z niewypowiedzianym błaganiem.

– Nie przygarnę go, Olive – powiedziałem, tym razem sroższym tonem, po czym wszedłem do budynku. Byłem już w kuchni, w której dwa dni temu rozpocząłem pracę nad odrestaurowaniem frontów, gdy do moich uszu dobiegł głos kobiety:

– Jesteś dupkiem, Flynn! W dodatku obrzydliwie nieczułym! – krzyknęła. Przymknąłem oczy, starając się zapanować nad wzbierającymi we mnie emocjami. Kolejna etykieta, kolejne określenie, które miało mnie scharakteryzować. – Rozczarowałeś mnie! Bardzo! A już zaczęłam mieć o tobie dobre zdanie! Jesteś jak wszyscy mężczyźni, których do tej pory spotkałam na swojej drodze. Pozbawiony jakichkolwiek uczuć!

Nie wytrzymałem. Rzuciłem skrzynkę na podłogę i ruszyłem w stronę Olive. Musiałem wyglądać przerażająco, bo w chwili, w której zauważyła mnie w drzwiach wejściowych, cofnęła się o krok. Zbiegłem po schodach i tym razem to ja stanąłem blisko niej, wiedząc, że nie odważy się mnie dotknąć. Zadarła głowę do góry, śmiało patrząc mi w oczy. Byłem od niej sporo wyższy, a to dawało mi przewagę. Czułem się pewniej, gdy mogłem spoglądać na nią z góry, niejako łudząc się, że swoją posturą ją zastraszę. A ona czekała. Czekala na to, co jej powiem, jakby była gotowa na brutalną prawdę, którą miałem zamiar jej wyznać.

– Nie będziesz mnie oceniała, rozumiesz? Nie będziesz kolejną osobą, która nada mi przezwisko i postawi na równi z wariatami! – warknąłem, a Olive się wzdrygnęła. – Nie masz pojęcia, kim jestem, ile mnie kosztuje życie na wsi. Nie rozumiesz, przez co musiałem przejść i ile osób w swoim życiu straciłem. Nie przygarnę tego psa, bo nie będzie u mnie bezpieczny! I jeśli nie chcesz być moim wrogiem, to... – Przestałem oddychać, gdy uświadomiłem sobie, co zamierzała zrobić. Olive uniosła rękę, zarzuciła mi je na kark i wspiąwszy się na palce stóp, zaatakowała moje usta. Serce przestało mi bić, a oczy zaszyły mgłą. Miałem wrażenie, że przeniosłem się do jakiejś surrealistycznej rzeczywistości, gdy jej miękkie wargi stanowczo otoczyły moje. Głowa eksplodowała mi tysiącem myśli, a najgłośniejszą z nich była ta, która krzyczała, że znowu będę cierpieł. Zamknąłem oczy, próbując znaleźć w sobie siłę, by odsunąć Olive od siebie, by zakończyć pocałunek, zanim doprowadzi nas do czegoś znacznie poważniejszego. Język Olive coraz śmielej wkraczał pomiędzy moje wargi, a ja nie potrafiłem mu się oprzeć. Całowaliśmy się, jakbyśmy za sobą tęsknili, jak para głodnych siebie kochanków, która za sprawą ust chce ugasić trawiącą ich od środka tęsknotę. Dłońmi coraz śmielej gładziła mój kark i ramiona, a ja uświadomiłem sobie, że moje palce zacisnęły się na jej pośladkach. Jej smak, jej delikatność, sposób, w jaki biło moje serce, gdy była tak blisko... To wszystko sprawiło, że na chwilę zapomniałem o cieniach przeszłości, moich demonach i o rzuconych względem mnie złorzeczeniach. Straciłem kontrolę nad sobą i swoim życiem. Wiedziałem, że od tej pory nic już nie będzie łatwe. Tym pocałunkiem otworzyłem drzwi samemu diabłu. Dałem mu narzędzia, które wykorzysta przeciwko mnie. Z czasem odbierze mi to, co otrzymałem w tej chwili od Olive, pozostawiając w sercu dziurę, która już nigdy się nie zablizni. Drżące usta Olive zamarły w bezruchu, a gdy odsunęła je od moich warg, poczułem się, jakbym stał przed nią nagi, jakbym już nie miał żadnych tajemnic.

– Coś ty najlepszego zrobiła... – wyszeptalem, otulając dłońmi jej policzki. – Coś ty zrobiła, Olive...

Patrzyła na mnie, niemo poruszając ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale słowa nie mogły się precyzyjnie przelatywać przez zbyt wąską gardziel. W jej oczach dostrzegłem strach, który mieszał się z niedowierzaniem, i wówczas zrozumiałem, że tego nie planowała. Zdziałał zwykły instynkt, pragnienie, które doprowadziło do sytuacji, w jakiej, takie miałem wrażenie, żadne z nas nie planowało się znaleźć. Olive Loughy przekroczyła granicę, której strzegłem długimi latami, a teraz najpewniej spróbuje skruszyć mój mur. Cegła po cegle.

Pisk opon i odgłos mocnego trzaśnięcia drzwiami przebił się do mojej świadomości. Mimo to wciąż patrzyłem w oczy Olive, nie chcąc oderwać od nich spojrzenia. Upajałem się widokiem jej drżących warg, rumianych policzków i ciepłym dotykiem delikatnych palców, które zacisnęła wokół moich nadgarstków. Jakże ja za tym tęskniłem. Jak niewyobrażalnie pragnąłem poczuć dotyk kobiety. I chociaż latami się przed nim wzbraniałem, dopiero dziś poczułem, jak silną moc ma muśnięcie ust.

– Pani doktor! Moja krowa potrzebuje pomocy!

Olive mrugnęła dwukrotnie i jakby oprzytomniała. Puściła moje nadgarstki, ja natomiast przestałem tulić w dłoniach jej policzki. Z chwilą, w której odsunęła się ode mnie, poczułem, że czegoś mi brakuje. Brakowało mi jej bliskości i ciepła. Jak w zwolnionym tempie rejestrowałem w świadomości następujące po sobie obrazy. Olive oddała się, unosi rękę w geście pożegnania, mówi coś do mnie, ale nie jestem w stanie zrozumieć co, następnie wsiada do samochodu mężczyzny i odjeżdża, pozostawiając mnie na parkingu z tysiącem myśli kotłujących się w głowie. A ja? Próbowalem się pozbierać. Znaleźć siły, by wrócić do budynku i zakończyć zaplanowane na dziś prace. Wmawiałem sobie, że to nic nie znaczy, że ten pocałunek niczego nie zmieni w naszej relacji, że nadal będę potrafił być obojętny w stosunku do Olive. I tylko moje drżące ze strachu ręce przypominały mi, jak bardzo się oszukuję. Właśnie stanąłem na polu nowej bitwy. Bitwy, którą przegram. Zawsze je przegrywałem. Zawsze...

Tego dnia pracowałem bez przerwy. Chciałem skończyć renowację mebli i wyjść z domu Olive z myślą, że już nie będę musiał tu wrócić. Dla jej bezpieczeństwa pragnąłem zdusić w zarodku to, co się między nami rodziło. Cieszyłem się, że Olive większość dnia spędziła w terenie, a gdy wróciła do domu, pod drzwiami kliniki oczekiwało kilku pacjentów. Dzięki temu unikałem sposobności do rozmowy z nią. Było mi to na rękę, bo niby co miałbym jej powiedzieć? Nie całuj mnie więcej? Nic się między nami nie wydarzyło? Zapomnijmy o tym? Nie potrafiłbym. Prawda była zgoła inna. Zwróciłem uwagę na Olive lata temu podczas jej wizyty w Horwell w okresie świątecznym. Spacerowała po wsi z mężczyzną, który wydawał się mało

sympatyczny. Z opowieści Rachel wiedziałem, że nie był jej wymarzoną kandydatem na męża dla Olive. Podobno nie dał się lubić i był zarozumiały. Gdy Rachel odeszła, wiedziałem, że powrót Olive do Horwell będzie tylko kwestią czasu. Znałem treść testamentu jej ciotki. Wielokrotnie powtarzała mi, że musi zrobić wszystko, by Olive wróciła do rodzinnej wsi. Wierzyła, że tylko tu będzie mogła być szczęśliwa. I dopięła swego. Ja natomiast popełniłem błąd, igrając z losem, który znany był ze swej krnąbrności. Pozwoliłem sobie na zbliżenie się do kobiety, którą mogłem ochronić tylko w jeden sposób. Trzymając się od niej z daleka.

Wykorzystując fakt pojawienia się Jodie w klinice w momencie, w którym opuścił ją ostatni pacjent, spakowałem wszystkie swoje narzędzia i zacząłem wrzucać je na pakę samochodu. Słońce grzało wyjątkowo mocno, a śpiew żurawi niósł się od strony mokradeł, odbijając się bolesnym echem w uszach. Poczulem na sobie palące spojrzenie Olive. Wiedziałem, że obserwuje każdy mój ruch przez okno kliniki. Mimo to otworzyłem drzwi, wskoczyłem do wnętrza auta i nie patrząc w jej stronę, opuściłem podjazd domu. Zrobiłem to, co powinienem. Uciekłem. Dokładnie tak, jak uciekałem przez ostatnie lata.

Gdy wróciłem do domu, nie mogłem się na niczym skupić. Straciłem ochotę na pracę, nie miałem też wystarczająco chęci, by stanąć przy garach i przyszykować sobie posiłek. Z tego powodu poszedłem po linii najmniejszego oporu i skończyłem dzień, zasiadając wygodnie na tarasie z butelką piwa w dłoni. Ogarnąłem wzrokiem ogród i pomyślałem, że powinienem w nim skosić trawę. Powinienem również zaimpregnować drewnianą bujaczkę i skrócić pędy młodych sosen. Na żadną z tych czynności nie miałem ochoty. Patrzyłem przed siebie, a w myślach powracały do mnie bolesne wspomnienia. Śmierć Ervina, odejście matki i ojca, wypadek Irin... Każde z nich na nowo rozdzierało blizny w moim sercu, każde było jak sącząca się rana, której brzegi nigdy się nie zasklepią. W takich chwilach zwykłem myśleć, że ludzie, którzy nie mierzą się z piętnem przekleństwa, nie zdają sobie sprawy z tego, jak wielkie mają szczęście. Potarłem kciukiem bliznę na lewym nadgarstku, w myślach po raz kolejny nazywając się tchórzem. Niekiedy chcielibyśmy być odważniejsi, ale zwyczajnie brakuje nam na to sił. I ja byłem jednym z tych ludzi, którzy dźwigali na swoich barkach niesprawiedliwość świata. Ukrywałem swój ból i strach przed nim, by w oczach innych ludzi nigdy nie stać się słabym człowiekiem, a uchodzić za odważnego. Każda siła została zbudowana na cierpieniu, a każde cierpienie jest skutkiem naszej słabości. Potrzebowałem wielu lat, by zrozumieć, że nasz wpływ na wszechświat jest znikomy, a wszelkie zapewnienia, że coś zależy od nas, można

rozbić o kant tyłka. Na nic nie miałem wpływu. Nic nie mogłem zrobić. Nie miałem też odwagi, by to wszystko zatrzymać.

– Przydałby ci się pies do towarzystwa.

Wzdrygnąłem się, gdy głos Olive dźgnął moją świadomość. Odwróciłem głowę, podążając za nim, i zobaczyłem, jak stała na ścieżce wijącej się wstęgą pomiędzy niewielkimi cyprysami. Miała rozpuszczone włosy, mimo że na ogół związywała je w kitkę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to z mojego powodu. Czy zmieniła fryzurę, dlatego że jak osioł zapewniłem ją, że podoba mi się w rozpuszczonych włosach? Olive, wciąż się uśmiechając, podążała wolnym krokiem w moją stronę, zapewne czekając na moją reakcję, a ja? Byłem sparaliżowany. Moje zmysły oszalały. Wszystko słyszałem. Dźwięk jej szybko bijącego serca, odgłos kamieni przesuwających się pod jej stopami. Słyszałem drgające powietrze, które tańczyło w nozdrzach Olive, i trzepot jej wytuszowanych rzęs. Najbardziej jednak słyszałem głos własnej podświadomości, który kazał mi ją odprawić.

– Nim spróbujesz mnie stąd przegonić, chciałam zaznaczyć, że przychodzę z przeprosinami, a jako rekompensatę za swoje zachowanie przyniosłam hamburgery, które w moim wykonaniu są świetne. Tak przynajmniej twierdzą moi przyjaciele. Ja też je lubię i myślę, że by ci smakowały. Gdybyś tylko zechciał ich spróbować... – Zmarszczyłem czoło, Olive zaś zacisnęła dłonie na pojemniku tak mocno, że dostrzegłem, jak pobielaly jej knykcie. – Przepraszam, mówię jak nakręcona – parsknęła cicho i pokręciła głową. – Flynn, przyszedłam cię przeprosić. – Spojrzała na mnie spod wytuszowanych rzęs. Usłyszałem jej ciche westchnienie i coś we mnie pękło. Jakaś tama, która do tej pory trzymała na wodzy moje emocje. – Mam nadzieję, że moje dzisiejsze zachowanie będziesz potrafił puścić w niepamięć.

Nie miałem pojęcia, co powinienem jej powiedzieć. Część mnie rwała się do Olive tak mocno, że musiałem dokładać sporego wysiłku, by nie rzucić się na nią jak wygłodniały gówniarz. I jeszcze te jej oczy wypełnione błagalnym spojrzeniem... Jak mógłbym się im oprzeć? Jak?

– Rozpalę grilla – powiedziałem, następnie odstawiłem piwo na stolik i minąwszy ją, ruszyłem w stronę altanki. Zyskałem kilka cennych minut, by poukładać sobie w głowie scenariusz, jaki może obrać dzisiejsze popołudnie. – W szafce obok okna znajdziesz talerze, a w lodówce mam zimne piwo! – krzyknąłem.

Olive zniknęła we wnętrzu domu, by po chwili wrócić z talerzami i dwiema butelkami piwa, a gdy postawiła je na stole wraz z przyniesionym pojemnikiem, przysiadła na drewnianym fotelu i nieco skrępowana rzuciła:

– Masz piękny ogród, Flynn. Te rzeźby... Ty je zrobiłeś? – spytała, zapewne szukając jakiegoś bezpiecznego tematu do rozmów. Potaknąłem głową, sięgnąłem po mięso i położyłem je na grillu. Czułem na sobie jej wzrok, nieco speszony, ale wciąż poządlivy. Mogła mówić, co chciała, ale ja doskonale wiedziałem, dlaczego tu przyszła. Wiedziałem również, że nie miało to nic wspólnego z przeprosinami.

– Zazdroszczę ci talentu. Ja w zasadzie mam tylko jeden.

Odwrociłem się i spojrzałem na nią przez ramię pytającym wzrokiem.

– Mówię o talencie do komplikowania sobie życia. – Wzruszyła ramionami i błysnęła zębami. – Jeśli coś mogę spieprzyć, to to spieprzę. Tak już mam.

Zacząłem przekładać mięso na drugą stronę.

– Dla mnie dobrze wysmażony, proszę – odezwała się, a jej głos splótnął się z dźwiękiem syczącej na grillu wołowiny.

– Znalazłam dom dla psa, którego do mnie przyprowadziłeś. Jodie obiecała się nim zaopiekować. Nie mogę, niestety, zostawić go u siebie. Dziś rano otrzymałam wyniki jego krwi i tak jak sądziłam, jest nosicielem parwowirusy i stanowiłby zagrożenie dla innych psów i kotów, które odwiedziłyby klinikę. Z tego samego powodu musiałam zrobić generalną dezynfekcję.

Pomyślałem, że to dobre rozwiązanie. Pies będzie miał dom, ja czyste sumienie.

– Przepraszam, że dzisiejszego ranka musiałam się tak nagle ewakuować. Jedna z krów Richardsa potrzebowała pomocy. Ludzie wciąż mają problem ze zrozumieniem, że bydło ras mlecznych to nie są dzikie zwierzęta i że potrzebują pastwiska, a nie życia na wyskubanym poletku – westchnęła ciężko, by po chwili dodać: – Niedokarmianie krów, trzymanie ich przez dwanaście godzin na pełnym słońcu, bez zapewnienia dostępu do świeżej wody i cienia, nie może się skończyć dobrze. Właśnie to stało się z krową pana Richardsa. Nie byłam w stanie jej pomóc. Padła – zakończyła nieco ciszej.

Gdy spojrzałem na Olive, miała łzy w oczach i wzrok wbity gdzieś ponad moją głowę. Chciałem powiedzieć coś, co rozluźniłoby atmosferę, ale nie potrafiłem znaleźć lekkiego tematu do rozmów. Nie w tej chwili. Zdjąłem mięso z grilla i położyłem je na podgrzane bułki, następnie postawiłem talerze na stole i usiadłem naprzeciwko Olive.

– Mam nadzieję, że będzie ci smakował – powiedziała, ruchem głowy wskazując na burgera, którego już trzymałem w dłoni. Wgryzłem się w niego i mruknąłem z rozkoszy, a tłuszcz spłynął mi po brodzie. Sięgnąłem po serwetkę, myśląc, że nigdy wcześniej nie jadłem równie smakowitych burgerów. – Dobre?

– Smaczne – potwierdziłem, a Olive uśmiechnęła się tak szeroko, że nie potrafiłem nie odwzajemnić uśmiechu.

– Cholera, myślałam, że to już nigdy nie nastąpi – rzuciła, puszczając do mnie oczko i wgrzając się w swoją bułkę.

– Nie nastąpi co?

– Dzień, w którym się uśmiechniesz. Zawsze jesteś tak bardzo poważny, że nawet wymyśliłam ci przezwisko.

– Przewisko? – Wyprostowałem się, czując, jak wkrada się we mnie dobrze mi znana nerwowość.

– Yhy – potaknęła i wytarła usta papierową serwetką. – Spokojnie. Moje przewisko nie ma nic wspólnego ze słowem „dziwak”. – Uniosła ręce w obronnym geście i zachichotała.

– Więc jak ono brzmi? Jak mnie przeżywasz w myślach?

Olive poczerwieniała na twarzy. Widziałem, jak wszystkimi siłami stara się zapanować nad rozbawieniem, a gdy w jej oczach pojawiły się łzy, sam nie mogłem powstrzymać śmiechu.

– W porządku, wykrztuś to z siebie – zaproponowałem, otwierając jej butelkę z piwem.

– Nie.

– Śmiało! Nie będę się za to dąsał – zapewniłem.

Przez chwilę się zastanawiała, jakby rozważała wszystkie za i przeciw, aż w końcu nie wytrzymała i parszając śmiechem, rzuciła:

– Blobfish. Masz ten sam wyraz twarzy, gdy w skupieniu coś rachujesz i mierzysz, i zawsze wyglądasz na smutnego. – Próbowwała zachować powagę, ale słabo jej to wychodziło. – Przepraszam... – dodała po chwili. – W odwecie też możesz wymyślić mi ksywkę.

– Pomyślę nad nią. – Starłem się zachować powagę i trochę udawać, że dotknęła mnie jej szczerość. Mnie również słabo to wychodziło. – Przypomnij mi, ile masz lat?

Zaśmiała się. Głośno. Pełną pierśią. Odrzucając głowę do tyłu. A gdy śmiała się Olive, miałem wrażenie, że śmiał się otaczający mnie świat. Śmiał się tak, jak nigdy wcześniej, wirując dookoła mnie z szaloną prędkością.

– Ile mam lat? – powtórzyła, ocierając łzę rozbawienia. – Wystarczająco dużo, by wiedzieć, że szkoda życia, by samotnie spędzać noce, i wciąż zbyt mało, by zrozumieć, dlaczego Ten na górze lubi supłać nam codzienność.

Promieniała. Miałem wrażenie, że w ostatnich dniach przeszła metamorfozę. To już nie była ta sama zbuntowana i skołowana dziewczyna, którą spotkałem na swojej drodze, gdy poprosiła o wycenę remontu. Teraz stała się silną, pewną siebie kobietą, która w końcu zrozumiała, jaki ma cel w życiu i którą drogą powinna zmierzać.

– Wiesz, miałaś rację co do tego, że ludzie uwielbiają przyczepiać nam etykiety. To trafne spostrzeżenie. – Mówiąc to, wskazała na mnie palcem. – Ja też przykleiłam ci etykietkę. Może nie dziwaka, ale...

– Nie pogażaj się, Olive. Blobfish mówi wszystko. Słowa w tym przypadku są zbędne – zaśmiałem się, a ona zrobiła to jeszcze głośniej. Wyciągnęła rękę, uniosła piwo i wyczekiwała, aż stuknę swoim szkłem o szyjkę jej butelki.

– Wiesz, gdy dziś rano wybiegłeś z domu, krzyząc, że nie pozwolisz mi postawić cię na równi z dziwakami, w twoich oczach dostrzegłam ogromne pokłady żalu. – Spowaźniała. Przestałem oddychać. Skupiłem wzrok na jej ustach, które poruszały się w rytmie słów: – Myślę, że właśnie dlatego cię pocałowałam, Flynnie Sallow.

– Pocałowałaś mnie, bo było ci mnie żal?

– Nie. – Pokręciła głową, a pasemka jej włosów wdzięcznie zatańczyły w powietrzu. – Pocałowałam cię, bo bardzo chciałam przyjąć na swoje barki ciężar, który dźwigasz, i móc go za ciebie ponieść, chociaż przez chwilę. – Zamilkła. Ja też milczałem, bo chociaż serce biło mi jak szybko kozłowana piłka, wiedziałem, że nie ma prawa tak bić. Nie może. Przymknąłem oczy, a gdy je ponownie otworzyłem, Olive pochyliła się nad stołem, zmniejszając dzielącą nas odległość. – Po prostu cię lubię, Flynn. A ty zrobisz z tym, co uznasz za słuszne – szepnęła, przyłożyła butelkę do ust i upiła łyk piwa. – Polubiłam nawet twój migdałowy zapach – wyznała odważnie i znowu zachichotała, a ja spojrzałem na etykietkę piwa, by upewnić się, że zawartość alkoholu nie może być odpowiedzialna za jej zachowanie.

– Migdałowy zapach? – Zmarszczyłem brwi. – Nie pachnę migdałem.

– Pachniesz – skontrowała i przylgnęła plecami do oparcia fotela. Znow mógłem swobodnie oddychać. – Sprawdź skład perfum, których używasz. – Mrugnęła i włożyła do ust ostatni kęs bułki. – Bardzo lubię zapach migdałowca – dodała po chwili.

Słowa te brzmiały mi w uszach jeszcze późną nocą, gdy leżąc samotnie w łóżku, nasłuchiwałem klangoru żurawi. Olive Loughy stała się moją pokutą. Moim prywatnym przekleństwem i cierpieniem. A ja z każdym kolejnym dniem wierzyłem coraz bardziej, że była mi przeznaczona, że stała się elementem łączącym mnie z czymś wielkim, z czymś, czego nie byłem w stanie pokonać. Czułem też, że odpowiedź na wszystkie nurtujące pytania znajdę w pudle, które otrzymałem od Rachel. Problem polegał na tym, że wciąż nie byłem pewien, czy to już właściwy moment, by do niego zajrzeć.



Rozdział 10

Live

Nie spałam. Całą noc kręciłam się w łóżku, bezustannie rozmyślając o Flynnie. Nie mogłam wyrzucić go z myśli, zupełnie jak ktoś, na kogo został rzucony urok. I chociaż zawsze podchodziłam bardzo sceptycznie do magii, czarów i innych pogańskich praktyk, wewnątrz mnie zaczęło kiełkować silne przecucie, że pomiędzy mną a Flynnem jest coś jeszcze. Coś mistycznego, magicznego, coś, czego nie sposób ogarnąć ludzkim rozumem. Może te niecodzienne odczucia zrodziły się we mnie dlatego, że Flynn był na swój sposób inny niż wszyscy. Tajemniczy... Małomówny... Biła od niego jakaś niezrozumiała dla mnie siła.

Gdy wczoraj mówił o życiu pozbawionym akceptacji ze strony społeczeństwa i o złamanym sercu, wiedziałam, że jego słowa zostaną ze mną na zawsze. Atmosfera wspólnej kolacji za sprawą szczerości Flynnna chwilami stawała się ciężka, a przy tym przesycona niewidocznym ładunkiem elektrycznym, który, takie miałam wrażenie, poraził nas oboje. Przy Martinie nigdy nie czułam się tak, jak przy Flynnie. Miałam wrażenie, że siedząc naprzeciwko tego mężczyzny, zasysam jego energię, ładując w ten sposób swoje życiowe baterie. Czy to samo dostrzegła w nim Rachel? Jakże chciałabym móc ją o to zapytać.

Poddałam się o piątej rano. Nie widziałam sensu w dalszym wierceniu się w łóżku, więc wstałam, wypiliśmy mocne espresso i wskoczyłam w dres. Zeszłam do kliniki, która działała coraz prężniej, a wieść o jej powstaniu niosła się po okolicznych wsiach

i miasteczkach niczym huk sztormowych fal po pustej plaży. Podeszłam do klatki, w której leżał pies przyniesiony przez Flynna. Na mój widok energicznie zamerdał ogonem i szczeknął radośnie.

– Dzień dobry, jak ci minęła noc? – Otworzyłam drzwiczki, a pies ochoczo wyszedł z klatki i grzecznie przysiadł przede mną. – Hm, widzę, że wczorajsza kąpiel zadziałała na ciebie zbawiennie – powiedziałam, drapiąc go za uchem. – W końcu wiem, jaką masz maść. – Chwyciłam w dłonie jego pysk i spojrzałam w czarne, pełne wdzięczności oczy. – Piękny jesteś, wiesz? Mam dla ciebie dom. Będzie ci w nim dobrze. – Czworonóg ponownie szczeknął i oblizał się łakomie. – Zjesz śniadanie i zabiorę cię na spacer. Co ty na to? – Szczeknięcie poniosło się po wnętrzu pokoju rehabilitacyjnego. – Mądra psina! – podsumowałam i sięgnąwszy po miskę, wypełniłam ją niewielką ilością dobrej jakościowo karmy.

Frodo, bo tak nazwała go Jodie, był dobrze ułożonym psiakiem. Potrafił chodzić przy nodze i wykonywać wszystkie podstawowe komendy. Zaczęłam myśleć, że został porzucony, bo ktoś z okolicznych mieszkańców bał się wysokich kosztów leczenia i dlatego zostawił zwierzę na wycieracze Flynna. Byłam przekonana, że dom Jodie będzie dla niego idealnym miejscem. Oczywiście czekało nas jeszcze spotkanie z dziewczynkami, bo musiałyśmy się upewnić, że Frodo będzie akceptował dzieci, ale obie byłyśmy dobrej myśli.

Dzisiejszy poranek zapowiadał kolejny gorący dzień. Dochodziła godzina szósta, a termometr już wskazywał dwadzieścia trzy stopnie. Lato w tym roku przyszło wyjątkowo wcześnie i było upalne, co stosunkowo rzadko zdarzało się w tej części kraju. Szukając cienia, zawędrowaliśmy z Frodem do przyjemnie chłodnego i bagiennego lasu, który porastały potężne olsze, jesiony wyniosłe i brzozy omszone. Oboje potrzebowaliśmy spaceru. Frodo, po dniach spędzonych w klatce, pobudzał swoje zmysły, właściwie zaglądając pod każdy krzak, ja z kolei starałam się poukładać w głowie swój osobisty bałagan. Natura działała na mnie wyciszająco, a orzeźwiające, wilgotne powietrze dodawało energii do działania. Ostatnimi czasy mało jej w sobie miałam. Gdy mieszkałam w Bristolu, moje życie toczyło się obok mnie. Każdy kolejny dzień był podobny do poprzedniego, tak jak przypadki pacjentów, z którymi miałam styczność. Tu, w Horwell, wszystko wyglądało inaczej. Dni różniły się od siebie, pacjenci też byli inni i chociaż mogłabym powiedzieć, że utraciłam spokój i płynność finansową, jaką zapewniała mi posada w jednej z lepszych klinik weterynaryjnych w mieście, to reasumując wszystkie za i przeciw, zyskałam znacznie więcej. Zyskałam spokój ducha, przyjaźń, wdzięczność mieszkańców, satysfakcję, że potrafię sama

stworzyć od podstaw klinikę weterynaryjną, a teraz jeszcze chęć poznania najbardziej skrytego zakamarka duszy Flynna Sallowa.

I gdy tak szłam spacerkiem po oceanie myśli, Frodo stanął w miejscu i zaczął czekać. Był spięty i wyglądał na zdenerwowanego. Przywołałam go do siebie, ale mnie nie posłuchał. Posłał mi szybkie spojrzenie i ponownie wbił wzrok w głębę pokrytą korą. Podeszłam bliżej i przykucnęłam. Ręką ostrożnie odgarnęłam korę, zastanawiając się, jakim cudem znajduje się na ziemi w tak dużej ilości. Pies szczeknął raz, potem drugi i zaczął kopać. Nie mogłam go zmusić, żeby przestał. Nie chciał. Kopał zawzięcie, aż w pewnym momencie odsunął się i zaczął ujadać. Zmrużyłam oczy, gdy ujrzałam coś na kształt korzenia wystającego z ziemi, i zapewne zlekceważyłabym ten fakt, gdyby nie nieustępliwe ujadanie Froda i wdzierający się do nozdrzy zapach padliny. Wyostrzyłam wzrok i wówczas w korzeniu dostrzegłam krowią racicę.

– Jasna cholera – jęknęłam. – Frodo, zostaw to! Chodź tu, piesku! – przywołałam czworonoga do siebie, wciąż nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Jeśli chwilę temu byłam zrelaksowana, teraz każdy kawałek mojego ciała spał się tak bardzo, że odczuwałam ból wszystkich mięśni. Nie tak miał wyglądać dzisiejszy poranek. Nie tego spodziewałam się w okolicznym lesie. Ale Horwell potrafiło zaskoczyć, a ja miałam okazję poznać jedną z jego ciemniejszych stron.

Dzień chylił się ku końcowi. Powiedzieć, że był intensywny, to jak nic nie powiedzieć. Przedpołudnie spędziłam na składaniu zeznań odnośnie do leśnego znaleziska, następnie utknęłam w klinice na długie godziny, starając się pomóc wszystkim pacjentom. Gdy zamknęłam drzwi za ostatnim, uświadomiłam sobie, że nie mam w lodówce nic, z czego mogłabym zrobić kolację. No może poza jajami i konfiturami, które w dalszym ciągu otrzymywałam od mieszkańców wsi, a na widok których zaczynałam już mieć odruch wymiotny. Przebrałam się, zarzuciłam na ramię płócienną torbę i ruszyłam w stronę sklepu spożywczego U Stuarta który był czynny do późnych godzin wieczornych. Może kupię wino? Tak! Marzył mi się spokojny wieczór z lampką wina w towarzystwie świec. Może nawet zrobię makaron z serem i warzywami, by uczcić to, że kolejny dzień kończy się sukcesem, bo jak inaczej określić fakt, że drzwi kliniki się nie zamykały?

Cichutko nuąc pod nosem piosenkę, którą usłyszałam w radiowej audycji, wrzuciłam do koszyka butelkę białego wina, ser pleśniowy i brokuł. Znalazłam nawet filet z piersi kurczaka i nagle poczułam się diabelnie głodna. Ze stoiska z prasą wzięłam najnowsze wydanie magazynu „Country Life” i kartkując je pospiesznie,

skierowałam się w stronę kasy. Zapłaciłam za zakupy, wymieniając grzeczności ze sprzedawcą, i pozwoliłam mu namówić się na miętowe landrynki, które dziś były w promocji. Wciąż oglądając się za siebie, próbowałam wyjść na zewnątrz, ale Stuart nie ułatwiał mi zadania. Gdy w końcu poczułam na twarzy przyjemny, wieczorny wiatr, natychmiast rozpoznałam w nim woń migdałowca. Wiedziałam już, że Flynn znajduje się w pobliżu. Odwróciłam się, po raz ostatni krzyżąc zdecydowane „do widzenia”, gdy nagle drogę zaszedł mi postawny mężczyzna. Grayson O’Larry stał w drzwiach i ani myślał zejść mi z drogi, bym mogła opuścić sklep.

– Nie szukaj problemów, buraczku – mruknął cicho, a jego głos zabrzmiał tak, jakby wydostał się spod ziemi. W jego oddechu wyczułam woń alkoholu i pomyślałam, że najwyraźniej wstawił się w towarzystwie współpracowników i teraz przesuwają mu się przed oczami alkoholowe majaki. – Będzie lepiej dla ciebie, jeśli przestaniesz węszyć. – Pochylił się tak, że na twarzy poczułam jego śmierdzący oddech. Był postawny, odkąd pamiętam. Już jako dziecko wyróżniał się na tle rówieśników swoją wysoką i zbitą sylwetką. Nigdy go nie lubiłam i śmiało mogłam rzec, że z wzajemnością. Miał w sobie coś, co sprawiało, że czułam do niego dystans. Czasami zastanawiałam się, jakim cudem Jodie była w stanie go pokochać.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzuciłam, a gdy chciałam go wyminąć, złapał mnie za ramię i przytrzymał.

– Nasłałaś na nas gliny – syknął cicho, ale stanowczo. – Zrobili nam wjazd na farmę. Przez ciebie mamy teraz kłopoty.

Wyszarpnęłam ramię z jego uścisku i cofnęłam się instynktownie. Zrozumiałam, że to, co widziałam w jego oczach, nie było zasługą alkoholu. Grayson O’Larry pałał nienawiścią i chęcią zemsty, a ja głupim zbiegiem okoliczności stałam się jego wrogiem. W dodatku tym, którego od zawsze nienawidził.

– Nie nasłałam na was policji. Na nikogo jej nie nasyłałam. Po prostu robią, co do nich należy. Ktoś w lesie zakopał padłe bydło, a to jest niezgodne z prawem. – Położyłam dłoń na jego twardej piersi, ponownie próbując wymusić na nim usunięcie mi się z drogi, ale on napał na mnie jeszcze mocniej. Przez chwilę obawiałam się, że złamie mi rękę w nadgarstku.

– Odkąd się tu pojawiłaś, bezustannie wpychasz nos w nie swoje sprawy.

– Na tym polega moja praca. A teraz zejźdź mi z drogi – powiedziałam, tym razem bardziej stanowczo. Ani drgnął. – Odsuń się, Grayson, albo pożałujesz – zagroziłam przez zaciśnięte zęby.

– Uważaj, bo ta okolica potrafi być niebezpieczna – postraszył, wciąż nie odrywając ode mnie wzroku.

– Powiedziałam: zejź mi z drogi.

– Słyszałeś, o co cię poproszono? – Spojrzałam ponad ramię Graysona i zobaczyłam Flynna stojącego dokładnie za nim. Był spokojny, zresztą jak zawsze. Wbijał wzrok w plecy męża Jodie, mocno zaciskając zęby. Nie odetchnęłam z ulgą. Nie mogłam. Tkwiłam w przekonaniu, że najgorsze wciąż przed nami.

– Niechże zabierze ich pani na zewnątrz! – krzyknął sprzedawca, ruchem ręki wskazując w stronę drzwi wyjściowych.

– Jesteś proszony o opuszczenie sklepu, O’Larry – powiedział Flynn. Dostrzegłam, że mięśnie jego policzków drgnęły, a ledwo widoczna żyłka na czole teraz wyraźnie pulsowała.

– Zanim rozpoczniesz z nami wojnę, upewnij się, że jesteś w stanie ją wygrać, buraczku.

Milczałam. Nie chciałam dodatkowo go prowokować. Niemal odetchnęłam z ulgą, gdy Grayson odwrócił się do mnie plecami. Spojrzał na Flynna, przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem, aż w końcu wyminął go i gdy już był na chodniku, dosadnie i głośno nazwał mnie bristolską dziwką, po czym splunął na ziemię. A potem akcja potoczyła się tak szybko, że ledwo byłam w stanie połapać się we wszystkim. Flynn doskoczył do Graysona i błyskawicznie uderzył go pięścią w twarz. Ten się zachwiał, stracił równowagę i upadł na trawnik. Następnie podniósł się i biegiem ruszył w stronę Flynna. Dopadł go, uniósł nieznacznie w górę i pchnął na pick-upa zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. W ułamku sekundy wokół nich zebrał się tłum ciekawskich mieszkańców, którzy na zmianę skandowali imiona bijących się mężczyzn, by po chwili syczeć głośno na widok wyprowadzanych przez nich ciosów. Próbowałam rozdzielić Flynna i Graysona, zrobić cokolwiek, co powstrzymałoby tę nikomu niepotrzebną bójkę, ale nie mogłam. Byli głusi na moje prośby i krzyki. Dostrzegłam, jak O’Larry uderza Flynna tak mocno, że z jego nosa tryska krew, i pociemniało mi przed oczami. Dwóch obcych mi mężczyzn rzuciło się z odsieczą, najpewniej chcąc zapobiec większej tragedii. Udało im się rozdzielić bijących i odsunąć od siebie na bezpieczną odległość. Ktoś z tłumu krzyknął, by się rozeszli, inny ktoś przerzucił sobie przez kark ramię O’Larry’ego i zaczął go ciągnąć w stronę swojego samochodu, a gdy ostatecznie udało im się odjechać, tłum rozproszył się, pozostawiając mnie i Flynna na środku drogi. Zagryzłam wargę, widząc krew spływającą po jego brodzie. Jasne włosy miał w nieładzie, a rozdartym rękawem bawełnianej koszulki targał wiatr. Zrobiłam nieśmiało kilka kroków ku niemu i gdy już byłam na tyle blisko, by mógł usłyszeć mój głos, powiedziałam:

– Hm, błędem było, że założyłam, iż nie lubisz dotyku. Ty się go wręcz domagasz – zażartowałam, mimo że Flynn stał naprzeciwko mnie z podbitym okiem i rozciętą wargą. Buchała od niego wściekłość i gorączka, jakby jego mięśnie wciąż nie zdążyły ochłonać po odbytej walce.

– To nie był dotyk. – Splunął krwią i wytarł wargę wierzchem dłoni.

– Nie? To co to było w takim razie? – Skrzyżowałam ramiona na piersi, ciekawa odpowiedzi Flynn'a.

– Męska napierdalanka. – Wzruszył ramionami, starając się zachować powagę, a gdy mu się to nie udało, spuścił głowę i zaczął się cichutko śmiać, nadal wycierając wierzchem dłoni krwawiącą wargę.

Podeszłam bliżej, czując, jak jego zapach miesza się z wonią krwi, i uważnie przyjrzałam się obrażeniom.

– Słabo to wygląda. Potrzebujesz fachowej opieki – oceniłam, spoglądając na pękniętą wargę. Chciałam jej dotknąć, ale w porę się powstrzymałam i zamarłam z palcami wyciągniętymi w połowie drogi do jego ust. – Chodź ze mną do kliniki, zajmę się tobą.

– Powiedziała lekarz weterynarii – zaśmiał się, a zrobił to naprawdę uroczo. – Nie trzeba. Z czasem sama się zagoi – próbował się wykręcić, jednocześnie palcami dotykając ust.

– Zanim to nastąpi, rana tygodniami będzie się zasklepiała, a następnie otwierała, zadając ci ból.

– Przez całe moje życie mierzę się ze znacznie silniejszym bólem niż tym, który pulsuje mi w wardze – wyznał, następnie spuścił głowę, by po chwili spojrzeć na mnie spod brwi. – Przeżyję.

Skinęłam głową. Zrodziła się we mnie śmiałość, coś, czego we wcześniejszym etapie naszej znajomości bardzo mi brakowało. Wbrew temu, co próbował dać mi do zrozumienia Flynn, może nieco egoistycznie, postanowiłam przekroczyć granice, które jasno wyznaczał przez ostatnie tygodnie. Nie czekając na jego przyzwolenie, wsunęłam mu rękę pod ramię i pociągnęłam go w stronę swojego domu. Najpierw się spiął, ale już po chwili wyraźnie się rozluźnił.

– Skoro dźwigasz ogrom bólu i cierpienia na swoich barkach, nie potrzebujesz kolejnego, Flynnie Sallow. Akurat na ten ból mogę coś zaradzić. – Przystanął na moment i patrzył na mnie, milcząc. Gdy w końcu się odezwał, z jego ust popłynęły słowa:

– Mnie nikt nie może pomóc, Olive... Nikt... – Przeszył mnie dreszcz, jeden z tych niemiłych, które gdy się pojawiają, niosą ze sobą przekonanie, że już wkrótce stanie

się coś złego, coś, na co nie będziemy mieli wpływu. Mimo to odsunęłam tę niepokojącą myśl od siebie i dokładając starań, by mój głos zabrzmiał przekonująco, powiedziałam:

– To się jeszcze okaże.

Poczułam pierwsze krople deszczu na swoim ramieniu i spojrzałam w górę. Chmury zasnuły błękit nieba, zmieniając go w granatowy aksamit. W powietrzu unosił się zapach kurzu i mokrych chodników, a letni wiatr nagle stał się porywisty i chłodny. Z sekundy na sekundę niewinny z pozoru deszcz przeistoczył się w ulewę. Krople były tak duże, że sprawiały ból w chwili, w której rozbijały się na naszych ramionach. Powietrze stało się parne i ciężkie, a w oddali dało się słyszeć grzmoty wyładowań atmosferycznych.

– Flynn! Pospiesz się! W przeciwnym razie przemokniemy do majtek! – krzyknęłam, ciągnąc go za ramię, on zaś wciąż stawiał małe kroki, jakby bał się chwili, w której zostaniemy sami w zaciszu ścian, pozbawieni czujnych spojrzeń mieszkańców Horwell. A gdy w końcu udało nam się dotrzeć do domu, na zewnątrz rozpętało się piekło. Wiatr tarosił drzewa i krzewy, ogałając je z wciąż zielonych liści, porwane płatki petunii i drobne kwiatki lobelii wirowały w powietrzu niczym śnieg. Wpadliśmy na korytarz, wraz z nami zimne krople ulewy, które rozbiły się o drewnianą podłogę. Flynn zamknął drzwi i przywarł do nich plecami. Z jego włosów ściekały strużki deszczu, a bawełniana koszulka przykleiła mu się do piersi. Wyglądał kusząco i tak bardzo seksownie, że wprost nie mogłam oderwać od niego wzroku.

– Olive... – zaśmiał się i dłonią przetarł mokrą od deszczu twarz. – Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale właśnie wypowiedziałaś myśli na głos. – Chwył dół koszulki i ściągnął ją przez głowę, ukazując pięknie wyrzeźbiony tors, po czym rzucił ją na komodę.

– Co? – wyjąkałam, patrząc, jak zbliża się ku mnie. Tak, to była jedna z tych chwil, w której ślina staje się zbyt gęsta, by móc ją swobodnie przełknąć.

– Mówię, że zdanie, w którym oceniłaś, że wyglądam kusząco i seksownie, wypowiedziałaś na głos. – Patrzył na mnie z góry, wyczekując mojej reakcji, a ja w głowie miałam tylko jedną myśl: chcę cię dotknąć.

– Tak? – wyszeptałam, on zaś skinął głową i palcem wskazującym dotknął opuchniętej wargi. – Siadaj na krześle w kuchni. Skoczę tylko zmienić koszulkę i zaraz się tobą zajmę – zadysponowałam, gdy w końcu odzyskałam jasność myślenia. Flynn potarł dłonią nagą pierś i już miał się skierować w stronę kuchni, gdy z moich ust wymknęło się ciche: – O matusieńko...

Parsknął śmiechem, pokręcił głową i w żaden sposób nie komentując moich słów, udał się do kuchni, ja zaś pobiegłam na piętro, wrzuciłam na siebie bawełnianą podkoszulkę na ramiączkach i wciągnęłam na tyłek dzinsowe spodni.

– No dobra, Loughy, postaraj się nie zepsuć tego, co już osiągnęłaś. Przebicie się przez mur, który Flynn zbudował wokół siebie, nie należało do łatwych rzeczy, ale ty zdołałaś wyskubać palcem dziurę w zaprawie murarskiej. Jedyne, co teraz musisz zrobić, to ostrożnie i niespiesznie burzyć cegłę po cegle, aż w końcu rozbierzesz tę barierę – mówiłam sama do siebie, motywując się do działania. Wychodząc z pokoju, zsunęłam z włosów gumkę i roztrzepałam je palcami. Gdy weszłam do kuchni, Flynn siedział na krześle, dokładnie tak, jak go o to poprosiłam. Z opuszczoną głową i ramionami zdawał się być kimś, kogo życie już dawno pokonało. Odchrząknęłam nerwowo, by zwrócić na siebie jego uwagę, a on wówczas podniósł głowę, spojrzał na mnie i zacisnął usta w cienką linię, tak jak robi ktoś, kto stara się za wszelką cenę nie dopuścić do tego, by jego myśli zamieniły się w słowa. Z rozciętej wargi ponownie spłynęła ciemna krew.

– Zaraz coś na to zaradzimy. – Wskazałam palcem na usta Flynn'a i z szafki wyjęłam apteczkę. Rozerwałam opakowanie, w którym znajdował się jałowy gazik, i obficie spryskałam go środkiem odkażającym. – Może zapiec – ostrzegłam, nim przyłożyłam wacik do wargi.

– W porządku – powiedział cicho, a jego głos popłynął wprost do mojego serca i zadrgał w nim niczym dźwięki gitary w pudle rezonansowym. Nie reagował, gdy delikatnie przemywałam mu wargę. – Dlaczego masz zatargi z O'Larrym? – spytał, bacznie mnie obserwując. – Myślałem, że skoro kumplujesz się z jego żoną, to...

– Nigdy się nie lubiliśmy – wyznałam, ciesząc się, że w tej chwili mogę bezkarnie dotykać ust Flynn'a. Nawet jeśli mogłam je poczuć tylko pod opuszkami palców. – Nie przepadał za mną. Gdy byliśmy dziećmi, często mi dokuczał, a ponieważ nie cierpiałam i nadal nie cierpię publicznych występów, podczas recytowania wiersza przed całą klasą zaczerwieniłam się, a on nazwał mnie buraczkiem. To był dzień, który zaważył na naszej znajomości – zaśmiałam się. Nagle wspomnienie dzieciństwa wydało mi się takie banalne i bez troskie. – Nie mam zatargów z Graysonem, ale dziś rano podczas spaceru z Frodem odkryłam, że w lesie olchowym ktoś zakopał padłe bydło. Zgłosiłam sprawę policji, a oni zapewne przepytali okolicznych farmerów, czy coś o tym wiedzą. Grayson jest zarządcą na farmie Rolandsa i...

– Myślisz, że ma coś wspólnego z twoim odkryciem?

– Nie wiem. – Wzruszyłam ramionami. – Wiem natomiast, że krowy znajdujące się na ich farmie nie mają lekkiego życia. Któregoś dnia przespacerowałam się wzdłuż

pastwisk i nie wyglądało to dobrze. Przy wysokich temperaturach krowy nie mają gdzie się ukryć przed słońcem. Wiaty, które znajdują się na pastwiskach, nie są w stanie pomieścić wszystkich zwierząt. Mają dostęp do wody, ale to wciąż ciepła, nagrzana przez słońce woda. Obawiam się, że w oborze wcale nie jest lepiej. Chciałam zobaczyć, czy jest w niej odpowiedni przepływ powietrza, ale O'Larry wściekł się, gdy to zaproponowałam. Wrzeszczał, że mają swojego weterynarza, grożąc, że jeśli nie przestanę wtrącać się w ich interes, to gorzko tego pożałuję. I zapewne właśnie dlatego, gdy dziś do ich drzwi zastukała policja, stworzył sobie teorię, że ja jestem temu winna. – Wyrzuciłam gazik do kosza i sięgnęłam po maść z antybiotykiem. Palcem delikatnie rozprowadziłam ją na wardze Flynnna, czując na sobie jego wzrok. – Mogę cię o coś zapytać? – Na chwilę przymknął powieki, a ja odczytałam to jako niemą zgodę na zadanie pytania. – Dlaczego stronisz od ludzi? Boisz się ich?

– Nie.

Milczałam. Chciałam, żeby rozwinął swoją odpowiedź, żeby otworzył się przede mną.

– To oni powinni się mnie bać.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem tym, za kogo mnie mają. – Wypowiedzianym słowom towarzyszył ból. Ból, który narastał latami zamknięty wewnątrz duszy, by w końcu przybrać na sile i stopniowo rwać ją na strzępy.

– W takim razie kim jesteś? – Wycisnęłam na palec maść przeciwozbrzękową i zaczęłam ją rozprowadzać po spuchniętej powiece. – Flynn? – ponagliłam go, chcąc poznać odpowiedź na zadane pytanie.

– Złem – powiedział z rozbijającą szczerością, a ja zamarłam w bezruchu, widząc jego poważną minę. – Powinnaś trzymać się ode mnie z daleka. Tylko tak będziesz bezpieczna.

Potrzebowałam chwili, by móc poukładać sobie w głowie jego słowa. Flynn nie wyglądał na kogoś, kto by żartował. Nie w tym momencie, gdy patrzył na mnie ze spokojem, ale i nutką tajemniczości w oczach. Miałam wrażenie, że badał moją reakcję.

– Złem... – powtórzyłam nieśmiało, a on potaknął. – Zatem musi ci być ciężko, co nie?

Prychnął, a ja się uśmiechnęłam.

– A blizny na twoich nadgarstkach? Opowiesz mi o nich? – Położyłam dłoń na jego twarzy i kciukiem pogładziłam wystającą kość policzkową, on zaś przymknął oczy,

zdradzając tym samym, jak bardzo spragniony był czułego dotyku. I nie wiem, czy to wskutek wyjątkowej atmosfery, która nieśmiało rodziła się pomiędzy nami, czy zwykłego, męskiego instynktu, ale poczułam na udzie jego palce, które delikatnie muskały moją skórę, sunąc coraz wyżej.

– To dowody mojej słabości. – Znowu był ze mną brutalnie szczery. Kolejna cegła zdjęta z muru, kolejna rana ponownie otworzyła swoje poszarpane krawędzie. Wiedziałam, że te blizny niosą ze sobą bolesne wspomnienia, tak jak miałam świadomość, że nie są spowodowane nieszczęśliwym wypadkiem, a podjętą decyzją, chwilą słabości, być może podstępłą chorobą.

– Byłeś słaby, bo przerosły cię problemy i próbowałeś odebrać sobie życie? – Nie wiem, skąd wzięłam odwagę, by wypowiedzieć głośno myśli, które krzyczały w mojej głowie. Uznałam jednak, że ten mężczyzna zasługuje na moją szczerość.

– Byłem słaby, bo pozwoliłem, by ktoś mi w tym przeszkodził. – Patrzyłam na Flynna i bałam się zadać mu kolejne pytanie, bałam się, że jego odpowiedź znowu będzie szczerą, że otwarcie wyzna prawdę, nawet jeśli nie będzie ona delikatna. Prawda miała to do siebie, że potrafiła być bolesna i brzydka, również wtedy, gdy próbowaliśmy ubrać ją w piękne słowa.

– Czy nadal rozważasz samobójstwo? – Jeszcze nigdy cisza nie raniła mnie tak bardzo, jak dziś. Tonęłam w oczach Flynna. Zapadałam się w tej otchłani cierpienia coraz głębiej i głębiej i gdy już nabrałam przekonania, że bardziej nie mogę zatonać, on wyznał:

– Każdego dnia. – Ciemna otchłań. Właśnie to zobaczyłam pod przymkniętymi powiekami. Przestałam oddychać. Świat, do tej pory tak normalny, stał się nagle niezrozumiały, pozbawiony sensu. Zorientowałam się, że płaczę, w chwili, w której moje łzy rozbiły się na policzkach Flynna. Przymknął oczy, jakby bał się, że wyczytam z nich zbyt wiele. Przymknął je, by chronić swoją duszę, ale ja nie mogłam pozostać obojętna na to, co zdążyłam w nich zobaczyć. Nie potrafiłam już zapomnieć o tym oceanie bólu i jedyne, co mogłam zrobić, to rzucić Flynnowi koło ratunkowe. Chciałam być tą osobą, która uchroni go od śmierci. Chciałam, bo... Bo z jakiegoś nie do końca zrozumiałego powodu czułam, że jest dla mnie ważny, że całe swoje życie czekałam właśnie na niego. Moja podświadomość krzyczała, że on mnie potrzebuje, by móc ocaleć, a ja potrzebuję jego, by odnaleźć siebie.

Nie chciałam w tej chwili analizować, czy mój ewentualny związek z tym mężczyzną ma szansę przetrwać, tak jak nie chciałam się zastanawiać nad konsekwencjami swojego zachowania. Kierując się współczuciem i w dużej mierze sercem, pozostawiłam głos rozsądku i złe przeczucia gdzieś z tyłu. W tym momencie

przyłgnęłam ostrożnie do jego ust, pragnąc już tylko jednego. Chciałam ocalić Flynnna przed nim samym, przed nieczułym na jego osobę światem, przed niesprawiedliwymi osądami. Chciałam zamknąć go w swoich ramionach i dbać o niego, tak jak dba się o człowieka, któremu oddało się serce. Chciałam, by dzięki mnie na nowo odnalazł radość życia, by już nigdy nie próbował zakończyć swojego istnienia w tak desperacki sposób. I z tych chęci zrodziło się pragnienie pocucia jego warg pod moimi. A on się temu poddał. Pozwolił mi się całować, najpierw delikatnie, a potem coraz bardziej namiętnie, nie zważając na bolącą wargę. Poczulałam jego duże dłonie na swoich pośladkach i wówczas śmiało zaczęłam błędzić palcami po nagim torsie Flynnna, wyraźnie wyczuwając twarde mięśnie klatki piersiowej. On złapał za dół mojej koszulki, a ja nie protestowałam, gdy zaczął ją ze mnie zdejmować. Jęknął, gdy zorientował się, że nie mam na sobie biustonosza. Przez chwilę wpatrywał się we mnie z pożądaniem, zapewne tocząc wewnętrzną walkę z samym sobą. Bałam się, że ze mnie zrezygnuje, że zamknie się na nas i znowu pogąrzy w swoim świecie, a ja przecież tak bardzo go pragnęłam. Pragnęłam go niemal desperacko. Patrząc w jego zasnutę pożądaniem oczy, odpięłam guzik spodenek i powoli je z siebie zsunęłam. Widziałam, ile wysiłku włożył w to, by mnie nie dotknąć, z jaką siłą zaciskał dłonie, chcąc jak najdłużej utrzymać je przy sobie. Nie ułatwiłam mu zadania. Objęłam nogami uda Flynnna, splótłam ramiona za jego karkiem i ponownie sięgnęłam miękkich ust. Jakże on potrafił całować! Jak wspaniale, za sprawą języka, wprawiał moje ciało w drżenie. W tym momencie nie istniało nic poza nami. Byliśmy tylko my, dźwięk naszych spłoszonych serc i odgłos deszczu, miarowo uderzającego o szyby. A gdy już myślałam, że dzisiejszej nocy staniemy się sobie tak bliscy, jak mogą się stać tylko kochankowie, Flynnn chwycił mnie za nadgarstki, zsunął moje ramiona ze swojego karku i zakończył nasz pocałunek. Oparł swoje czoło o moje, a jego wzburzony oddech otulał moją twarz.

– Bardzo bym tego chciał, Olive, ale nie mogę. – Na jego wardze ponownie pojawiła się krew. Obliznął usta językiem i milcząc, czekał na moją odpowiedź.

– Zrobiłam coś nie tak? – wyszeptałam, czując potworną suchość w gardle.

– Nie. Problem leży po mojej stronie.

– Flynn... – Otuliłam jego twarz swoimi dłońmi. – Bądźmy dorośli, dobrze? Nie oczekuję, że jutro rano przyniesiesz mi śniadanie do łóżka i wyznasz dozągonną miłość. Nie chcę związku z fajerwerkami. Chcę natomiast, byś wiedział, że coś sprawia, iż nie mogę przestać o tobie myśleć, że coś mnie do ciebie ciągnie. Chcę się dzisiaj z tobą kochać i nie przejmować tym, co stanie się jutro.

Stęzał. Wyczułam to pod palcami, gdy zsunęłam swoje dłonie na jego ramiona. Na chwilę przymknął oczy, jakby próbował wsłuchać się w serce, po czym ostrożnie zsunął mnie ze swoich ud, wstał i ku mojemu zaskoczeniu poszedł w stronę wyjścia.

– Flynn! – krzyknęłam bardziej zdesperowana, niż chciałam to okazać. Chwyciłam koszulkę i zakrywając nią piersi, pobiegłam za nim. Przystanął przed drzwiami, by po chwili obrócić się w moją stronę. Pomyślałam wówczas, że nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, która w tym momencie wydawała się taka obca. – Porozmawiaj ze mną, proszę. Możesz mi zaufać, możesz mi o wszystkim opowiedzieć – przekonywałam, a on stał z opuszczonymi ramionami, przygnieciony tym, co się wydarzyło. – Proszę cię tylko o szczerłość.

Flynn chwycił w dłoń swoją koszulkę i nie mówiąc nic, otworzył drzwi. Przez chwilę stał jeszcze w progu, jakby się wahał, jakby rozważał, czy na pewno chce wyjść, a ja łudziłam się, że może jednak zdecyduje się zostać. I gdy tak czekałam na jego ruch, najpierw usłyszałam potężny huk, następnie fioletowe światło wypełniło wnętrze domu. Ponad ramieniem Flynnna dostrzegłam, jak piorun uderza w wysoki dąb znajdujący się dokładnie po drugiej stronie ulicy, dzieląc go na dwie części. Wrzasnęłam przerażona, gdy jedna z nich upadła wprost na linie elektryczne. W domu zapanowała ciemność. Flynn zamknął za sobą drzwi, a ja byłam niemal pewna, że zanim wyszedł, powiedział:

– To wszystko przeze mnie.

Świat się uspokoił. Przeszło padać, zrobiło się cicho. Wszystko wróciło do normy. Wszystko, z wyjątkiem jednej rzeczy.

Tego dnia zaczęłam podejrzewać, że Flynn potrzebuje pomocy.



Rozdział 11

Live

– Co mu dolega? Czy króliczka to boli? Czy może mu pani pomóc? – Emily, wnuczka piekarza, patrzyła na mnie z przejęciem, paluszkami przeczesując puszyste futerko zwierzątka. Jej głowa nieznacznie sięgała ponad metalowy stół, na którym siedział Pan Królik. Uśmiechnęłam się i oparłszy ramiona o blat stołu, zapewniłam, że nic mu nie będzie. W oczach dziewczynki pojawiło się światło. Pulchne policzki uniosły się, gdy na twarzy zajaśniał szeroki uśmiech. Spojrzałam na matkę dziewczynki, która z miłością gładziła dłonią jasne włosy córki.

– To zapalenie pęcherza.

– Pęcherza? – zdziwiła się. – Przecież mamy środek lata – zauważyła trafnie.

– Zgadza się, ale to nie oznacza, że królik nie może złapać zapalenia pęcherza. – Ponownie nachyliłam się nad stołem, by zmniejszyć odległość dzielącą mnie od Emily. – Lubisz zabierać Pana Królika na spacer? – Dziewczynka energicznie potaknęła głową. – On zapewne też to lubi, prawda?

– Tak! Uwielbia kopać!

– Wiesz, że króliki kopią w ziemi lub w swoich klatkach, gdy są szczęśliwe? Takie zachowanie Pana Królika jest dowodem na to, że świetnie się nim opiekujesz. – Emily spojrzała najpierw na zwierzaka, następnie na mamę, aż w końcu wróciła wzrokiem do mnie.

– Ale i tak zachorował.

– Przeziębili pęcherz, bo Pan Królik to nie jest taki sam królik, jak te, które harczą po polach. Ma mniejszą odporność na zmiany temperatury. Gdy rano wyprowadzasz go na dwór, musisz pamiętać, by bawić się z nim w miejscu, które już zostało nagrzane przez słońce. Z kolei w południe, gdy słońce będzie wysoko i będzie bardzo grzało, możesz go zabrać w cień, ale taki, w którym ziemia będzie nagrzana. Rozumiesz, co próbuję ci powiedzieć?

– Tak. Pan Królik nie ma sandałków i marzną mu stópki – wytłumaczyła z przejęciem.

– Właśnie tak – potwierdziłam. – Mądra z ciebie dziewczynka. Podam Panu Królikowi antybiotyk i probiotyk. Twoim obowiązkiem będzie upewnianie się, że królik ma ciągle dostęp do świeżej wody, dobrze?

– Dobrze.

– Odstawmy również na czas kuracji granulaty. Przejdźmy na świeże warzywa, owoce i zioła. Polecam podawać babkę lancetowatą i liście porzeczki – powiedziałam, patrząc tym razem na mamę Emilly.

– Jasne. Zrobimy, co należy.

– Świetnie! Warto też by było postawić królikowi wodę w porcelanowej miseczce, a na jakiś czas odstawić pojnik. Króliki muszą się nieco napracować, by się z nich napić, a musimy mieć pewność, że Pan Królik pije wystarczająco. Z miseczki będzie mu łatwiej – wyjaśniłam, otrzymując zapewnienie, że tak też Emilly i jej mama zrobią. Sprawnie zaaplikowałam królikowi antybiotyk, do pyszczka wpuściłam krople z probiotykiem i zapakowałam go do seledynowego transportera. – Zajrzyjcie do mnie w przyszłym tygodniu, sprawdzimy, jak się ma wasz podopieczny. – Podałam ostrożnie transporter Emilly i po przyjęciu zapłaty odprowadziłam ją i jej mamę do drzwi. Upewniwszy się, że w poczekalni nie czeka na mnie żaden pacjent, wywiesiłam na drzwiach kartkę z informacją, że wracam za godzinę. Z szopki wyprowadziłam rower Rachel, starą holenderkę z wiklinowym koszykiem, i udałam się w stronę posiadłości Jodie z nadzieją, że jej mąż będzie w tym czasie w pracy i że nie będę miała wątpliwej przyjemności spotkać go na swojej drodze.

Gdy dotarłam na miejsce, zeskoczyłam z roweru i oparłam go o murek. Otworzyłam bramkę i rezygnując z dzwonienia domofonem, ruszyłam w stronę drzwi wejściowych. Posiadłość Jodie i jej męża należała do najbardziej luksusowych w Horwell. Duży, frontowy ogród zdobiły wysokie rododendrony i hortensje, a równo przystrzyżona trawa była intensywnie zielona. Po prawej stronie szumiała fontanna, do której prowadził wysypany granitowym grysem podjazd dla samochodów, po lewej zaś mieścił się plac zabaw, w całości wykonany z drewna. Piętrowy dom był udanym

połączeniem angielskiej tradycji i swoją prostotą nawiązywał do stylu cottage. Gdy stanęłam na wycieraczce, dotarły do mnie radosne piski dziewczynek i mimowolnie rozciągnęłam usta w uśmiechu. Nim chwyciłam za kołatkę, pomyślałam, że Frodo będzie szczęśliwy w tym miejscu, a i dziewczynki na pewno skorzystają na jego obecności. Zastukałam w drzwi, które po chwili się otworzyły, i wstrzymałam oddech na widok mocno zmęczonej Jodie. Była blada, a długie, jasne włosy miała w nieładzie. Nie spodziewała się mnie. Pospiesznie przeczesła kosmyki palcami, starając się ukryć w nich lewą stronę twarzy.

– Olive? Co ty tu robisz? – rzuciła na powitanie, nerwowo spoglądając za siebie.

– Hej, przepraszam, że zjawiam się tak bez zapowiedzi, ale muszę z tobą porozmawiać. Chodzi o Froda.

– Teraz nie mogę. Szykujemy się do wyjścia. – Kłamała. Byłam o tym przekonana. Zachowywała się dziwnie, zupełnie jak nie Jodie. I jeszcze to ciągle skrywanie twarzy we włosach...

– Jodie, czy Grayson jest w domu?

Potaknęła nerwowo głową. Wszystko zrozumiałam. Dziwne zachowanie Jodie, jej niezapowiedziany wyjazd do rodziców, to wszystko nabrało sensu. Nie mówiąc nic, chwyciłam pasemka jej jasnych włosów i odsunęłam je od twarzy przyjaciółki. Jęknęłam, gdy zobaczyłam opuchnięty policzek.

– Czy ty i dziewczynki potrzebujecie pomocy? – szepnęłam, nie chcąc, by usłyszał mnie Grayson. Nie bałam się konfrontacji z nim, bałam się natomiast, że Jodie nie będzie potrafiła od niego odejść, a moje pojawienie się w tym miejscu zaowocuje kolejnymi ciosami, wymierzonymi w nią i jej córki.

– Nie, nie mogę rozmawiać – wyszeptała i spróbowała zamknąć drzwi. Nie pozwoliłam jej na to. Nie mogłam.

– Wiesz, gdzie mnie szukać, Jodie. Możesz do mnie przyjść o każdej porze dnia i nocy.

– Przyjdę za godzinę, może dwie. – Niemo poruszyła ustami i zamknęła drzwi, niejako odgradzając się murem od świata zewnętrznego. Zostawiła swoje prywatne piekło w czterech ścianach domu. Domu, który przecież powinien być oazą bezpieczeństwa.

Po powrocie do kliniki nie mogłam przestać myśleć o Jodie i Graysonie. Bezustannie wracał do mnie obraz jej opuchniętego policzka oraz oczu, z których wylewał się wstyd. To zadziwiające, że w obliczu przemocy domowej najczęściej wstydzi się osoba poszkodowana, rzadziej oprawca. Jodie właśnie w ten sposób zareagowała na fakt, że jej tajemnica nagle wypłynęła na powierzchnię, że ocean

bezradności, w którym brodziła zapewne przez kilka lat, nagle stał się miejscem, do którego dostał się ktoś inny. Usilnie próbowałam znaleźć sposób, by jej pomóc, ale nie bardzo wiedziałam, co mogłabym w tej sytuacji zrobić i czy Jodie w ogóle chciałaby mojej pomocy. Poczułam stres i zmęczenie w napiętych mięśniach karku. W ciągu zaledwie dwóch dni moje spokojne życie w Horwell wywróciło się do góry nogami. Najpierw dobiła mnie sytuacja z Flynnem, a teraz jeszcze sprawa Jodie. Czułam się, jakby otaczał mnie bałagan, taki, który męczy i okrada człowieka z chęci do działania, z radości do życia.

Wyjmując z szuflady szczepionkę przeciw wściekliźnie, dostrzegłam przez okno, jak na podjeździe kliniki parkuje dobrze mi znane auto. Wstrzymałam oddech, gdy Flynn wyskoczył z samochodu i ruszył w stronę wejścia. Jakaś część mnie łudziła się, że przyjechał tu, by móc ze mną porozmawiać, byśmy wyjaśnili sobie to, na wyjaśnienie czego wczoraj zabrakło nam odwagi. Słyszając w uszach bicie serca, w nosie zaś czując zapach migdałowca, popiesznie zaszczepiłam psa, uściśniłam rękę jego właścicielce i odprowadziłam ją do drzwi. Zastałam Flynną w kuchni. Nie czekał na mnie, siedząc przy stole, tak jak podpowiadała mi wyobraźnia. Krzątał się po pomieszczeniu, zbierając resztę swoich narzędzi, których wcześniej nie wrzucił na pakę auta. Usłyszał mnie. Zamarł na krótką chwilę, stojąc plecami do mnie, po czym powrócił do wrzucania narzędzi do skrzynki.

– Cześć, Flynn – powiedziałam półszepem, nerwowo wsuwając dłonie w tylne kieszenie dżinsów. Nawet nie spojrzał w moim kierunku. Wciąż pakował swoje rzeczy, skupiając się na tym, co robi. Zabolęło mnie jego zachowanie. Pomyślałam wówczas, że nie zasłużyłam na takie traktowanie. Wczorajszego wieczoru przekroczyliśmy pewną granicę i teraz chciałam o niej porozmawiać. Chciałam stanąć naprzeciwko Flynną i znaleźć w nim partnera do dyskusji, dojrzałego mężczyznę, który potrafi ubrać w słowa swoje uczucia. Nie, nie oczekiwałam, że spojrzy na mnie płomiennym wzrokiem i wyzna mi szaloną miłość niczym bohater romansów Diany Palmer, ale liczyłam chociażby na zaproponowanie przyjaźni, na głupi tekst w stylu: „Słuchaj, zapomnijmy o tym, co wydarzyło się wczoraj, i zostanemy przyjaciółmi”. Wszystko byłoby lepsze niż lekceważenie mnie i moich uczuć. Przez takie zachowanie czułam się, jakbym była zawieszona w próżni.

– Flynn, porozmawiaj ze mną. – Stałam za nim i położyłam dłoń na jego ramieniu. Spiał się natychmiast i wyprostował, jak ktoś, kto szykuje się do przyjęcia krytyki albo innych przykrych słów, a ja chciałam zapewnić go, że znaczy dla mnie więcej niż ktokolwiek inny w Horwell, że czuję dziwną więź, która nas połączyła, i że chciałabym, by się przede mną otworzył. Nie teraz, natychmiast, ale z czasem, gdy

będzie na to gotowy, gdy nauczy się mi ufać. Pragnęłam go przekonać, że nie chcę grać na jego emocjach, że nie chcę patrzeć na niego przez pryzmat innych mieszkańców, ale mi na to nie pozwolił. Nie dał mi nawet szansy, bym mogła powiedzieć to, co skrywałam w sercu.

– Trzymaj się ode mnie z daleka – wyrzucił te słowa w przestrzeń, raniąc mnie nimi dogłębnie. – Proszę – dodał znacznie ciszej i przygarbił się pokonany. Zabrałam swoją rękę i w chwili, w której sięgał do szafki po swój kubek, w którym zwykł pić kawę, gdy odnawiał moją kuchnię, przeszłam pod jego ramieniem, stając dokładnie na wprost niego. Stęzał, z lewą ręką wciąż zaciśniętą na uchwycie szafki.

– Zapewne pomyślisz, że postradałam rozum, że jestem niedojrzała emocjonalnie i zbyt szybko podejmuję decyzję, może nawet założysz, że jestem zdesperowana, ale... – Wypuściłam z ust drżący oddech. – Znaczysz dla mnie bardzo wiele, Flynn. Nie chcę rzucać teraz słów, na które ani ja, ani ty nie jesteśmy gotowi, chcę jednak, byś wiedział, że bardzo pragnę stać się częścią twojej codzienności. Chcę poznać wszystkie zakamarki twojej duszy, zrozumieć tego Flynna, który swoją skrytością i talentem skradł moje serce. Jeśli wczoraj narzuciłam nam zbyt szybkie tempo, po prostu mi o tym powiedz, ale nie karz mnie, zabierając mi siebie, rozumiesz? – Zamilkłam na chwilę, a Flynn potarł wargami o siebie i spuścił głowę. – Kiedyś ktoś mi powiedział, że jeśli nie jestem pewna swoich wyborów, powinnam zrobić to, co podpowiada mi intuicja, a ona teraz krzyczy, że wpadnę w niezłe gówna, ale wiesz co? Chcę w nie wpaść! Chcę w nie wpaść na własnych zasadach. Chcę spróbować, bo życie jest zbyt krótkie, by żałować chociażby głupich decyzji, chcę przeżyć je tak, by każdy dzień zapierał mi dech w piersi, by niczego nie żałować, chcę się zakochać i śmiać głośno, aż dostanę czkawki. I chciałabym, byś spróbował potowarzyszyć mi w tej podróży. – Jego słaby uśmiech, ledwo dostrzegalny, rozerwał mnie na strzępy. – I zawsze będziesz mógł wysiąść z tego pędzącego auta, ale proszę, spróbuj chociaż pokonać ze mną kilka życiowych zakrętów. – Ucichłam, starając się odzyskać równowagę emocjonalną. Drżałam i czułam, że trzęsą mi się nogi, gdy on wbijał we mnie swój wzrok. I gdy w końcu poruszył ustami, z korytarza dobiegł mnie głos Jodie:

– Olive?! Jesteś tu?

Jęknęłam, czując, jak rodzi się we mnie złość.

– Nie teraz, Jodie... – burknęłam pod nosem. Flynn odwrócił głowę w stronę korytarza i upewniwszy się, że Jodie nie stoi w progu, pochylił się i szepnął mi do ucha:

– Jestem twoim przekleństwem, Olive. Trzymaj się ode mnie jak najdalej.

Strach skuł moje żyły lodem, a tępy ból rozgorzał w sercu, gdy Flynn zrobił dwa kroki w tył. Następnie spojrzał na mnie jak ktoś, kto wyczekuje reakcji na wypowiedziane przez siebie słowa, a gdy jej nie otrzymał, chwycił skrzynkę z narzędziami i odwróciwszy się, wyszedł, mijając w progu Jodie. W szafce pozostał jego kubek. Zrozumiałam, że Sallow nie był mężczyzną, z którym mogłabym wiązać jakiegokolwiek plany. Był natomiast człowiekiem z szerokim spektrum zaburzeń, których ja nie potrafiłam zdiagnozować. I chociaż w myślach pojawiły mi się różne dolegliwości, z którymi mógł się mierzyć, żadna nie pasowała mi do niego w stu procentach. Znowu próbowałam przykleić mu łątkę, znowu chciałam go zamknąć w ściśle określonych ramach, nie dopuszczając do siebie myśli, że Flynn po prostu taki jest. Inny.

– A temu co się stało? – Jodie stała w progu, barkiem opierając się o futrynę. Zauważyłam, że nałożyła na twarz mocny makijaż i podkręciła włosy, by w lokach ukryć posiniaczony policzek.

– Nie chcę teraz o tym rozmawiać. – Odepchnęłam się od kuchennego blatu i podeszłam do Jodie. Chwyciłam w palce pasemko jej włosów i wetknęłam przyjaciółce za ucho. Uciekła spojrzeniem w bok, zapewne chcąc uniknąć mojego wzroku.

– Od jak dawna to trwa? – spytałam, wiedząc, że istnieją rozmowy, które są tak trudne jak wstrzymanie oddechu pod wodą na zbyt dużej głębokości, a ja dziś musiałam znaleźć w sobie siły, by przeprowadzić aż dwie.

Jodie wzruszyła ramionami, przez chwilę milczała, aż w końcu odważyła się odezwać.

– To nie tak, jak myślisz. – Przełknęła łzy i po chwili kontynuowała: – Grayson to dobry człowiek, Olive. Jest wspaniałym i troskliwym ojcem. Problem tkwi we mnie. – Uśmiechnęła się, ale to nie był uśmiech, który niósł ze sobą radość, to był ten rodzaj uśmiechu, który zdradzał ogrom bólu, zakotwiczonego w poranionej duszy.

– Kochający ojciec nigdy nie podniósłby ręki na matkę swoich córek – zawyrokowałam. Już dawno oceniłam Graysona. Z ust Jodie nie mogło paść słowo, które zmieniłoby moje zdanie o nim.

Miałam wrażenie, że przyjaciółka rozsypie się na moich oczach. Dłonią zakryła usta i szlochała, wciąż patrząc w bok. Przygarnęłam ją do siebie i chociaż starałam się być silna, nie potrafiłam ukryć własnych łez. Gładziłam jej plecy, jakby to mogło złagodzić ból Jodie, ale doskonale wiedziałam, że aby przestać cierpieć, musi usunąć ze swojego życia przyczynę bólu.

– Tak mi głupio, Olive – łkała. – Miałam tyle marzeń i ambicji, tyle planów, a popatrz, jak skończyłam. Stałam się kura domową, w pełni uzależnioną od męża, któremu przynoszę wstyd. Tak bardzo chciałabym zmienić swoje życie.

Poprowadziłam Jodie do stołu i posadziłam na krześle. Zaparzyłam jej melisy, a kiedy postawiłam przed nią kubek z gorącym naparem, powiedziałam stanowczo:

– Nie możesz pozwolić, by twoje życie wyglądało tak, jak wygląda teraz. – Usiadłam naprzeciwko i podałam jej pudełko z chusteczkami. – Jodie?

– Nie poradzę sobie sama – odparła, doskonale czytając w moich myślach. – Jestem słabą kobietą z masą problemów.

– Obydwie mamy problemy, ale one nie czynią nas słabszymi. Wręcz przeciwnie. Kształtują nas, udowadniają nam, jak silne w rzeczywistości jesteśmy. Czasami tylko potrzebujemy pomocy drugiej osoby, kogoś, kto nas zrozumie. Jeśli chcesz, wspólnie poszukamy rozwiązania, które zapewni ci bezpieczeństwo, a dziewczynkom spokój.

Otarła twarz dłońmi i pociągnęła nosem.

– Pomyślę nad tym, Olive. Pomyślę...

Zacisnęłam dłoń na jej palcach. Nic więcej nie mogłam zrobić. Doskonale wiedziałam, że jeśli będę naciskała zbyt mocno, Jodie zacznie mnie unikać, a wówczas, gdy będzie potrzebowała pomocy, z całą pewnością nie zapuka do moich drzwi. Musiałam to mądrze rozegrać. Pokierować nią tak, by wiedziała, że cokolwiek się stanie, zawsze będę po jej stronie.

Jodie pokiwała głową, ponownie wydmuchała nos i chcąc zapewne uciec od tematu Graysona, powiedziała:

– Przyjechałam po Froda. Jestem pewna, że zaakceptuje dziewczynki, a i dla nich pojawienie się psa w naszym domu będzie miłą niespodzianką.

– Och, kochanie... – jęknęłam ze współczuciem.

– Nie chcę już o tym rozmawiać, Olive, nie mam na to siły. Muszę dotrzeć do domu, zanim Grayson wróci z koła łowieckiego – upierała się, dążąc do zakończenia rozmowy.

Patrzyłam, jak Jodie miała trzymaną w dłoni chusteczkę, gdy zrozumiałam, że nie wystarczy mieć zaplanowanej przyszłości, by być szczęśliwym. Przed wszystkim trzeba móc swobodnie oddychać, bez poczucia strachu, który zaciska gardło. Trzeba też mieć odwagę puścić to, co nas rani, w przeciwnym razie będziemy umierać kawałek po kawałeczku, zatruci jadem własnych lęków i obaw.



Rozdział 12

Oliver

Czas w Horwell pędził szybciej niż w betonowym Bristolu. Nie było dnia, bym nie musiała wyjeżdżać w teren. Nauczyłam swoich pacjentów, że jestem dla nich, a to z kolei owocowało tym, że często udzielałam porad już po skończonych godzinach pracy. Tym oto sposobem wczoraj do północy ślęczałam przy cielaku, który miał zaburzony odruch ssania i jedyną metodą podania mu siary było wprowadzenie do żołądka sondy. I chociaż bywały chwile, w których padałam ze zmęczenia, cieszyłam się, że nie dysponowałam zbyt dużą ilością wolnego czasu. Gdybym miała jego nadmiar, zapewne poświęciłabym go na rozmyślanie o Flynnie, który unikał mnie od naszej ostatniej rozmowy... Osiągnął niemal poziom mistrzowski w udawaniu, że nie widzimy się na ulicy czy w sklepie, a ja zaczęłam zachowywać się dokładnie tak samo. I mimo że w sercu czułam ból, to urażona duma i poczucie odrzucenia były znacznie dotkliwsze.

Przystanęłam i oparłam dłonie o uda, by wyrównać oddech. Poranny jogging działał na mnie zbawiennie. W powietrzu poniósł się żurawi klangor, więc spojrzałam w niebo, aby podziwiać smukłą sylwetkę ptaka. A gdy tak stałam i przyglądałam się mu w pełnym zachwycie, zdałam sobie sprawę, że żuraw krąży nad miejscem, w którym znajdowało się jego gniazdo. Dodatkowo zaniepokoił mnie fakt, że samiec szybował po niebie w pojedynkę. Nie zastanawiając się dłużej, ostrożnie zbiegłam z nasypu i skierowałam się w stronę torfowisk. Z każdym krokiem coraz bardziej

zapadałam się w mokrej glebie, która oklejała mi buty i sprawiała, że grzęzłam w błocie, walcząc o możliwość pokonania kolejnego metra. A gdy już myślałam, że to brodzenie nie ma najmniejszego sensu, że zwyczajnie źle odczytałam zachowanie ptaka, dostrzegłam ją. Samicę żurawia. Leżała pośród trzciny w nienaturalnej dla żurawia pozycji. Zajęło mi kilka minut, by do niej dotrzeć, a gdy byłam na tyle blisko, by mnie zauważyła, z przerażeniem spostrzegłam, że samica w żaden sposób się nie broni. Leżała, nawet nie próbując poderwać się do lotu.

– Óóó, spokojnie, malutka – szeptałam, starając się wykonywać wolne ruchy, by dodatkowo jej nie płoszyć. Przykucnęłam i od razu zauważyłam, że ma problem ze skrzydłem i kończyną, a ślady krwi na piórach mogły świadczyć o tym, że ptak posłużył za żywy cel. Jęknęłam, powstrzymując łzy. Wiedziałam, że nie będę w stanie wziąć jej na ręce i przenieść przez torfowisko, a następnie zanieść do kliniki. Nie miałam wystarczająco dużo siły. Dorosła samica mogła ważyć nawet sześć kilogramów, a ja miałam przed sobą perspektywę brodzenia w grząskim gruncie. W takiej chwili zadziałałam instynktownie. W pobliżu samicy wbiłam w ziemię suchą gałąź, następnie ściągnęłam z siebie koszulkę joggingową i zawiesiłam na niej, licząc, że seledynowy kolor ułatwi mi odnalezienie samicy, gdy wrócę z pomocą. Wciąż słysząc w uszach dźwięk żalnego klangoru samca, pobiłam w stronę wsi.

Flynn

Powoli i dokładnie szlifowałam wzdłuż słoju drewno, z którego miałem w planach wykonać stolik kawowy w stylu loft. Szlifierka pracowała wyjątkowo głośno. Był to nowy model, którego zakupu dokonałem zaledwie kilka dni temu, i chociaż pod względem wydobywanego hałasu przegrywała ze swoją poprzedniczką, to jej prowadzenie po surowcu było znacznie łatwiejsze. Z uwagą przyglądałem się jego fakturze, gdy nagle tarcza szlifierki zatrzymała się, a wewnątrz warsztatu wypełniła cisza. Dla bezpieczeństwa wyłączyłem maszynę przyciskiem, następnie poprawiwszy na nosie ochronne okulary, zacząłem przyglądać się narzędziu, gdy do moich uszu dotarł dźwięk dobrze mi znanego głosu:

– Flynn, potrzebuję twojej pomocy. – Odwróciłem się i zobaczyłem Olive. Nie byłoby w tym nic szokującego, gdyby nie fakt, że stała w moim warsztacie ubłocona niemal po kolana, ubrana w legginsy i sportowy stanik, z wyciągniętą z kontaktu

wtyczką od szlifierki w dłoni. – Potrzebuję ciebie, twoich mięśni i twojego samochodu – powiedziała tajemniczo, dłonią pocierając czoło, a tym samym rozmazując na nim błoto. I chociaż wszystko we mnie krzychało, że powinienem ją przegonić, odesłać, kazać jej odejść i trzymać się ode mnie z daleka, tak jak to robiła przez ostatnie tygodnie, to nie mogłem. Widok Olive przypominającej chodzące nieszczęście skruszył moje serce, a gdy doszły do tego łyzy płynące po jej policzkach, totalnie przegrałem. Rzuciłem na stół szlifierkę, zaraz po niej okulary i upewniwszy się, że mam przy sobie kluczyki od auta, wraz z Olive biegiem ruszyliśmy w jego stronę. Pokonywaliśmy wiejską drogę, kierując się ku mokradłom, gdy wciąż z przejściem mówiła o żurawkach. Będąc w stanie silnego wzburzenia, robiła to tak nieskładnie, że niewiele z tego rozumiałem. W pewnej chwili z jej ust padło słowo „strzelanina” i wówczas obsypała mnie gęsia skórka. Gdy dotarliśmy na miejsce, z oddali dostrzegłem powiewającą na wietrze koszulkę. Przeprowadzenie przez mokradła nie było łatwe. Nasze buty grzęzły w błotnistym gruncie, ale udało nam się dotrzeć do rannego ptaka.

– Nie mamy zbyt wiele czasu, Flynn. Musimy jak najszybciej dostarczyć ją do sanktuarium dzikich ptaków, tylko tam jej pomogą – mówiła z takim trudem, jakby zmuszona była przetykać ślinę przez zbyt wąską gardziel.

– Mam ją wziąć na ręce? – spytałem, nie wiedząc, co robić.

– Tak – potwierdziła i zdjąwszy z suchej gałęzi koszulkę, wsunęła ją za gumkę legginsów. – Ja będę asekurowała jej głowę. Bądź delikatny, dobrze? Na pewno jest obolała.

Przykucnąłem, wsunąłem dłonie pod ptaka i przygarnąwszy go do siebie, wstałem, kierując się w stronę samochodu. Ptak w żaden sposób nie reagował i przez chwilę zastanawiałem się, czy w ogóle żyje. Olive bezustannie mnie poganiała, aż w pewnym momencie miałem wrażenie, że biorę udział w jakimś wyścigu o wyjątkowo cenne trofeum. Gdy dotarliśmy do auta, ostrożnie położyłem ptaka na pace, Olive zaś zmusiłem, by usiadła na fotelu pasażera. Przebyta trasa minęła nam w okamgnieniu. Nie zamieniliśmy ze sobą zdania, po prostu wpatrywaliśmy się w rozciągającą się przed nami drogę i skupialiśmy na tym, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Jedyne, co zarejestrowała moja świadomość, to fakt, że Olive wciągnęła na siebie koszulkę, co w gruncie rzeczy uznałem za rozsądne zachowanie, wszak miałem problemy z oderwaniem wzroku od jej piersi. W Dorset oddaliśmy żurawka w ręce wykwalifikowanych lekarzy i dopiero wtedy poczułem, jak z Olive schodzi ciśnienie. Klapnęła tyłkiem na plastikowe krzesło poczekalni i przymknąwszy oczy, oparła głowę

o pokrytą lamperią ścianę. Rozejrzałem się po wnętrzu i dostrzegłszy automat z wodą, wypełniłem nią kubek i podałem go Olive.

– Dzięki. – Upiła kilka łyków i językiem zwilżyła usta, a mnie zrobiło się dziwnie gorąco. – Za wszystko – dodała po chwili.

Przysiadłem tuż obok niej i tak siedzieliśmy w milczeniu, wpatrzeni w goniące się wskazówki zegara.

– To Grayson lub ktoś z koła myśliwskiego – odezwała się niespodziewanie i wsunęła za ucho kosmyk włosów, który wydostał się z jej kitki.

– Nie możesz tego udowodnić.

– Oczywiście, że nie, ale mogę podzielić się swoimi podejrzeniami z oficerem policji. Żurawie w naszym kraju są pod ochroną.

– Po co Grayson lub ktoś z koła łowieckiego miałby strzelać do żurawi? – Zmarszczyłem brwi, bo ta teoria wydawała mi się mało wiarygodna.

– Dla rozrywki? A może dlatego, że żurawie nie należą do ulubieńców farmerów? Często niszczą ich plony. – Spojrzała na mnie, być może szukając słów poparcia. I gdy już miałem powiedzieć, że nie powinna iść z tą sprawą na policję, że lepiej, żeby się nie narażała, zza rogu wyłonił się pracownik sanktuarium, który zmierzał w naszą stronę, zrywając z siebie foliowy fartuch ochronny. Olive wstała w dzikim zrywie, ja zaś poszedłem w ślad za nią. Mężczyzna przystanął, położył dłonie na biodrach i pokręcił głową.

– Dotarła do nas zbyt późno.

Olive zakryła twarz dłońmi i się rozplakała. Czułem, że powinienem ją przytulić, ale tak bardzo się tego bałem, bałem się jej bliskości, dotyku... Bałem się, że ją zranię, że znowu dam niepotrzebną nadzieję.

– RTG wykazało dwanaście kul ołowianych. Nie miała szans. Ptak był obrączkowany, posiadał nadajnik, zgłosimy sprawę do odpowiednich instytucji, na pewno wyślą swoich ludzi, by zabrać samca. – Mężczyzna zacisnął dłoń na przedramieniu Olive. – Dziękuję za twoją walkę.

W drodze powrotnej cisza panująca w aucie miała bolesny wydźwięk. Olive patrzyła w boczną szybę, zupełnie się nie odzywając, ja z kolei nie zmuszałem jej do jakiegokolwiek rozmowy. Wiedziałem, że to przeżywała. Wiedziałem, jak bardzo lubiła te ptaki, jak się nimi zachwycała. Kiedy u niej pracowałem, nie raz dostrzegłem, jak siedziała na ganku, trzymając w dłoni kubek z kawą, i spoglądała w niebo. A teraz ktoś brutalnie jej to zabrał. Jeszcze bardziej przerażała mnie myśl, że Olive miała rację. Samica posłużyła za żywą tarczę, dwanaście kul nie mogło być przypadkiem.

– Mógłbyś się tu zatrzymać? – spytała, palcem wskazując na rozdroże dróg. Wiedziałem, dokąd prowadziła jedna z nich. Niemal codziennie jadąc tędy do tartaku, mijałem farmę Rolandsa. Wiedziałem również, że zarządcą farmy był O'Larry.

– Nie powinnaś tam iść, Olive.

– Zatrzymaj się, proszę – nalegała.

– Ściągniesz na siebie kłopoty – ostrzegłem. Natychmiast spiorunowała mnie wzrokiem i gdy tylko zwolniłem, otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Zakląłem pod nosem, znowu czując się bezradny. Miałem świadomość powagi sytuacji i nie chciałem, by Olive sama rozwiązywała sprawy, którymi powinna zająć się policja. Zrównałem się z nią, spuściłem szybę i starając się zachować spokój, poprosiłem, by z powrotem wsiadła do samochodu. Ale ona już podjęła decyzję.

– Posłuchaj... – zaczęła wyraźnie wściekła. – Dziękuję za pomoc i za transport. Z resztą sama sobie poradzę. – Szła szalonym tempem, energicznie machając rękami.

– Chcesz wymierzyć sprawiedliwość sama? Nie masz dowodów. A co, jeśli to nie jest sprawka Graysona? Wścieknie się, że go oskarżasz, dostanie białej gorączki z chwilą, w której twoja noga stanie na ziemi Rolandsa i...

– Zamknij się, Flynn! – krzyknęła. Przerwałem w połowie zdania. Nigdy wcześniej nie widziałem jej tak bardzo poirytowanej. – Coś ty się nagle taki gadatliwy zrobił, co?! I dlaczego się o mnie martwisz, skoro jestem ci obojętna? Przez ostatnie tygodnie w dupie miałeś to, co się ze mną dzieje. Nie obchodziło cię, czy coś mi zagraża, więc teraz...

– Cały czas dbam o to, byś była bezpieczna – wszedłem jej w zdanie, ale zachowując spokój. Nie mogłem dać się sprowokować. Nie chciałem okazać słabości, by przypadkiem nie zdradzić zbyt wiele. A miałem sporo do ukrycia. Przeszłość i to, co czułem do Olive.

– Dbasz o mnie? – powtórzyła, a w jej głosie dało się słyszeć rozbawienie. – Wiesz co, nie dalej jak trzy tygodnie temu powiedziałeś, że mam się trzymać od ciebie z daleka, więc nie pieprz mi teraz, że zrobiłeś to po to, by mnie chronić.

Zamilkłem. Niby jak miałem jej powiedzieć, że tak właśnie było? Olive przekroczyła bramę posiadłości Rolandsa i od razu skierowała kroki w stronę obory. Zaparkowałem samochód w cieniu dorodnego kasztanowca i ruszyłem za nią. Widziałem, jak zatrzymała jednego z parobków, najpewniej pytając o Graysona. Młody chłopak z potarganymi włosami wskazał głową oborę znajdującą się po lewej stronie, a wówczas Olive puściła się biegiem w jej kierunku. Ruszyłem za nią, chcąc ją dogonić. Chwilę później wpadłem do budynku i usłyszałem, jak woła zarządcę po

imieniu. Ten się odwrócił i z zaskoczenia otrzymał od Olive silny cios w szczękę, który rzucił go na stojący obok snopek słomy. Po wnętrzu poniosł się najpierw głośny śmiech młodych parobków, następnie krzyk Olive:

– Zapłacisz za to! Ty i ten substytut koła łowieckiego, na czele którego stoisz, zapłacicie głowami za samicę żurawia, którą nafaszerowaliście śrutem! – Palcem wskazującym dźgała powietrze. – Osobiście dopilnuję, byś stanął za to przed sądem! – wrzeszczała tak bardzo, że nie sądziłem, iż jest do tego zdolna. – Zniszczę cię, Grayson! Zniszczę cię tak, jak ty niszczysz życie innym! – odgrażała się, niemal sycząc ze złości. O’Larry najpierw rozmasował obolały policzek, następnie podszedł do Olive i gdy ta dumnie uniosła głowę, zamachnął się, by ją spoliczkować. W ostatniej chwili zdążyłem zablokować wyprowadzany cios. Złapałem Graysona za nadgarstek i wykręciłem mu rękę, skutecznie chłodząc jego zamiary.

– Nie radziłbym ci, O’Larry – syknąłem. – Nie radziłbym tobie i twoim chłopcom kiedykolwiek podnieść ręki na Loughy. W przeciwnym razie będziesz miał do czynienia z czymś znacznie silniejszym niż ty i banda twoich idiotów. – Pchnąłem go wprost w objęcia jednego z parobków, następnie chwyciłem Olive za ramię i pociągnąłem w stronę wyjścia.

– Zapłacisz mi za to, Loughy! Zobaczymy, do kogo będzie należało ostatnie słowo!

I gdy tak prowadziłem Olive, a ona niemal w powietrzu przebierała nogami, zdążyła się jeszcze odwrócić i pokazać Graysonowi środkowy palec.

– Na litość boską, Olive! – skarciłem jej zachowanie, mocniej zaciskając palce wokół ramienia dziewczyny. Nie zareagowała. Pozwoliła mi wepchnąć się do samochodu i opuścić farmę Rolandsa. A gdy dojechaliśmy do jej domu, wyskoczyła z auta z sarkastycznym komentarzem: „Nie potrafię cię rozgryźć, Sallow. Wkurzasz mnie jeszcze bardziej niż O’Larry”. Nie odpowiedziałem. Wrzuciłem wsteczny bieg i ostrożnie wycofałem, by następnie wrócić do warsztatu i pracy nad stolikiem, który miałem wykonać.



Rozdział 13

Olve

Obracałam w dłoniach lampkę wina i nie mogłam uwierzyć, że naprzeciwko mnie siedzi Memphis. Odańczyłam dziki taniec radości, gdy w południe stanęła w progu kliniki ze słowami na ustach: „Przyjechałam sprawdzić, jak się urządziłaś”. A teraz, po zakończonym dniu pracy, siedziałyśmy w ogrodzie, paląc ognisko i piekąc nad nim pianki, do których Memphis miała wyjątkową słabość. Noc była ciepła, a rechot żab tak donośny, że musiałyśmy zająć miejsca bardzo blisko siebie, by móc się słyszeć. Tak jak dawniej rozmawiałyśmy o pracy, o planach na przyszłość i o porażkach, które też nas nie omijały. Staralam się ukryć przed Memphis rozterki sercowe, ale wiedziałam, że to nie będzie łatwe. W zasadzie poległam już w drugim kwadransie naszych ogniskowych wyznań, gdy przyjaciółka włożyła do ust ciepłą piankę, przeżuła ją w milczeniu, po czym wskazała na mnie palcem i spytała:

– Spałaś z nim?

Zakrztusiłam się winem. I to konkretnie. Przez chwilę nawet myślałam, że będę potrzebowała solidnego klepięcia w plecy, ale Memphis w ogóle to nie ruszyło. Cierpliwie poczekała, aż odzyskam oddech, i ponowiła swoje pytanie.

– Co? Nie!

– Ale chciałybyś?

– Memphis... – jęknęłam.

– To dlaczego mu tego nie powiesz?

– Mam złapać go na ulicy i rzucić: chciałabym spędzić z tobą noc? – prychnęłam.

– Nie zachowuj się jak dziecko – fuknęła. – Przecież wiesz, jak to działa. Możesz kupić wino, założyć seksowną kieckę i zastukać do jego drzwi. Potem sprawy potoczą się same. – Wrzuciła do ust kolejną piankę, następnie wyjęła z opakowania jeszcze dwie, które nadziała na kij, i zaczęła je ogrzewać nad ogniem.

– Flynn pod każdym względem jest inny niż mężczyźni, których znam. To nie ten typ, który myśli tylko o seksie.

– Błędne założenie – wtrąciła Memphis. – Każdy facet myśli o seksie. Niektórzy, co prawda, lepiej się z tym kryją, ale...

– Nie znasz go. – Pokręciłam głową. – Czasami sprawia wrażenie, jakby żył w swoim własnym świecie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Przyjaciółka potarła ręką mostek w miejscu, w którym ukąsił ją owad.

– Wiem, że coś do mnie czuje. Problem w tym, że nie mam pojęcia, czy jest to pożądanie, sympatia czy może strach. I tak bawimy się w ciche podchody niczym dwoje nastolatków. Ja za nim szaleję, on wciąż mi powtarza, że będąc z nim, nie będę bezpieczna. – Wzruszyłam ramionami i wsunęłam do ust piankę. – Jejku, jakie to słodkie. Jakim sposobem możesz zjeść ich kilka i nie poczuć mdłości?

– Mogę – zaśmiała się. – Wystarczy je zapić wytrawnym winem – skontrowała i puściła oczko w moją stronę.

– W takim razie jutro, zanim otworzę klinikę, zabiorę cię do piekarni, w której sprzedają najlepsze bułeczki cynamonowe. Będziesz nimi zachwycona.

– Już się nie mogę doczekać. – Oczy Memphis rozszerzyły się ze szczęścia. – Zabiorę je ze sobą w drogę powrotną do Bristolu. A wracając do Flynn... Myślisz, że powinnaś się go bać? Może ma coś na sumieniu?

– Nie. – Pokręciłam głową. – Myślę, że mówi tak, bo już kogoś stracił. Być może winne temu było jego zachowanie i dziwactwa. W każdym razie ja traktuję te słowa jako próbę zniechęcenia mnie do flirtu – wyznałam, stawiając na szczerość.

– Ale nie zamierzasz się poddać, prawda?

Znowu wzruszyłam ramionami, nie wiedząc, co powinnam powiedzieć.

– Olive, jeśli ci na nim zależy, to może warto postarać się jeszcze bardziej, co?

– Sama nie wiem. On potrafi być chłodny i tak bardzo skryty, że... – Zamilkłam na chwilę, powracając wspomnieniami do słów, którymi starałam się zapewnić Flynn, że jest dla mnie ważny, że chciałabym spróbować dać nam szansę. – Czasami mam wrażenie, że nie ma sensu o niego walczyć, że nie toczę bitwy tylko z jego strachem i uporem, ale z czymś znacznie silniejszym.

Memphis popatrzyła na mnie ze zrozumieniem. Wsunęła do buzi kolejną piankę i z pełnymi ustami rzuciła:

– I właśnie dlatego mówi się, że prawdziwa miłość na swojej drodze zawsze spotyka przeszkody.



Słyszałem jej śmiech, który odbijał się echem w moim sercu, czułem jej irysowy zapach, który tańczył w moich nozdrzach, i wszystkimi siłami starałem się nie zwracać na nią uwagi. Stałem w piekarni i w myślach modliłem się, by sprzedawca sprawniej pakował do papierowej torby zakupione przeze mnie pieczywo. Za moimi plecami panoszył się chichot Olive i jej przyjaciółki. Nie odwróciłem się. Nie chciałem wykazywać jakiegokolwiek zainteresowania. Nie mogłem. Chwyciłem papierową torbę dokładnie w chwili, w której dotknęła drewnianego blatu, i w pośpiechu opuściłem piekarnię, tracąc przy tym chęci na jakiegokolwiek śniadanie.

Podszedłem do samochodu, przez otwarte okno wrzuciłem na fotel pasażera pieczywo, a następnie postawiłem na pace wcześniej zakupiony lakier. Chwyciłem za burtę z zamiarem jej zamknięcia, gdy moje zmysły wyostrzyły się w ten charakterystyczny sposób. Najpierw poczułem zapach zaprawy murarskiej, który połączył się z delikatną wonią irysa. Dźwięk łańcucha, za pomocą którego dwóch robotników wciągało wiadro na drugie piętro rusztowania, zmieszał się z dźwiękiem śmiechu Olive i jej koleżanki. Przeszył mnie dreszcz. Spojrzałem w kierunku piekarni, następnie na rusztowanie stojące przy sąsiednim budynku i wówczas zdałem sobie sprawę, co się za chwilę wydarzy. Odgłos kroków Olive i dźwięk jej bijącego serca mieszał się z hałasem metalu uderzającego o metal. Wystartowałem, ponaglony adrenaliną. Dostrzegłem szok i niezrozumienie w oczach dziewczyny, gdy szybkim ruchem ręki odepchnąłem na bok jej przyjaciółkę. Zacisnąłem ramię wokół talii Olive i odsunąłem ją na bok dokładnie na sekundę przed tym, jak wiadro wypełnione ciężką zaprawą murarską runęło w dół i rozprysnęło swoją zawartość na chodniku, brudząc przy tym nas i kilku przechodniów.

– O Boże! – krzyknął ktoś z tłumu.

Świat się zatrzymał. Brutalnie. W tej jednej chwili czas mierzony był uderzeniami naszych serc, ponaglanych przez adrenalinę i strach. Widziałem w oczach Olive, jak

próbuję poukładać w głowie to, co się stało. Jak pomału dociera do niej fakt, że jej zdrowie, a może nawet życie, było zagrożone.

– Wszystko okej? – wyszeptałem, odruchowo gładząc dłonią jej policzek. – Olive?
– Delikatnie nią potrząsnąłem, chcąc, by doszła do siebie, a wówczas z jej oczu popłynęły łzy, a ręka jakby samoistnie powędrowała do ust, z zamiarem stłumienia wydostającego się z nich szlochu. Kątem oka dostrzegłem obok sylwetkę jej przyjaciółki i wówczas się wycofałem. Z ciężkim sercem odwróciłem się na pięcie, wsiałem do samochodu i odjechałem, w uszach wciąż słysząc dźwięk przerażonego serca Olive. Dźwięk, który towarzyszył mi do końca dnia.

– Nigdy mnie nie złapiesz, Flynn! Nigdy!

Zerwałem się ze snu z imieniem Ervina na ustach. Przeczesałem dłońmi wilgotne od potu włosy i spojrzałem w okno. Panoszyła się za nim szaruga, zatem musiałem przysnąć. Głośne pukanie po raz kolejny rozbrzmiało w mojej głowie. Wstałem z kanapy, palcami dłoni zaczesalem włosy i w samych spodenkach ruszyłem boso w stronę drzwi. Wstrzymałem oddech, gdy dostrzegłem Olive. Stała na mojej wycieraczce, ubrana w krótkie szorty, dopasowaną bluzkę na ramiączkach i z rozpuszczonymi włosami, których zapach otulił mnie, niosąc ze sobą pragnienie pochwycenia w palce delikatnych kosmyków.

– Cześć, obudziłam cię? – spytała, zapewne wnioskując po mojej zaspanej minie. Potaknąłem głową i dłonią potarłem nagą pierś, a wzrok Olive powędrował za moim ruchem. – Przepraszam, nie sądziłam, że przyjdę nie w porę. – Spuściła wzrok, wbijając go w czubki swoich trampek, po czym ponownie spojrzała na mnie. – Mogę wejść? Przyniosłam ze sobą wino z nadzieją, że się ze mną napijesz.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odpowiedziałem wciąż zaspanym głosem.

– To doskonały pomysł, Flynn – przekonywała. – Jestem ci winna podziękowania.

– Nic mi nie jesteś winna.

– Flynn, proszę... – Tym razem odezwała się znacznie ciszej. I w tej konkretnej chwili, widząc jej błagalne spojrzenie, przegrałem sam ze sobą. Straciłem silną wolę, którą tak długo starałem się zachować. Z poczuciem przegranej przesunąłem się w bok i ruchem ręki zaprosiłem ją, by weszła do środka. Gdy mnie mijala, musiałem się zmusić, by łakomie nie zaciągnąć się zapachem, za którym tak bardzo tęskniłem.

– Masz kieliszki? – spytała, unosząc butelkę z winem.

– Jasne. W górnej szafce w kuchni.

Patrzyłem na jej zgrabne uda, gdy szła przede mną w poszukiwaniu szkła, i z każdą kolejną sekundą bałem się, że dzisiejszy wieczór może zrujnować wszystko, co

sobie założyłem. Bałem się, że połączenie Olive i wina to będzie moja prywatna, piękna katastrofa.

– A korkociąg? – Postawiła kieliszki na wyspie i zacisnęła usta w cienką linię.

– Też. – Wysunąłem szufladę, wyjąłem z niej korkociąg i sprawnie otworzyłem wino, które następnie podałem Olive. Sięgnąłem po koszulkę, którą wcześniej zostawiłem na oparciu wysokiego krzesła, i założyłem ją na siebie.

– Nie wiedziałam, które wino wolisz: białe czy czerwone. W ogóle mało o tobie wiem.

– Białe jest w porządku – zapewniłem, gdy ostrożnie nalewała alkohol do szkła. Co chwilę posyłała w moją stronę krótkie, uwodzicielskie spojrzenia, a ja przez nie miękłem. Podała mi kieliszek i okręciła wokół palca kosmyk włosów, jednocześnie kusząco przy tym oblizując usta. Olive nie należała do kobiet przesadnie się malujących i chyba to podobało mi się w niej najbardziej. Zauważyłem, że jej makijaż ograniczał się do nałożenia tuszu na rzęsy i muśnięcia ust cienką warstwą błyszczczyka. Uroku dodawało jej kilka piegów zdobiących nos i policzki oraz niewielka blizna znajdująca się w prawym kącie ust. Martin musiał być idiotą, skoro świadomie zrezygnował z podziwiania cudu, którym niewątpliwie była.

– Flynn, chciałam ci podziękować za dziś i za wczoraj, jednocześnie przeprosić za swoje zachowanie i za nieprzyjemne słowa, które padły z moich ust, i...

– Daj spokój, Olive – zaoponowałem. – Nie musisz mi za nic dziękować, a już tym bardziej przeproszać. – Przyjąłem od niej lampkę i zaproponowałem wyjście na taras. Zgodziła się i chwilę później siedzieliśmy na drewnianej bujaczce, nasłuchując koncertu świerszczy.

– Wiedziałaś, że niektóre rodzaje świerszczy, mimo iż potrafią skakać, to znacznie szybciej biegają?

Spojrzałem na Olive, unosząc brwi w zdziwieniu.

– Nie miałem pojęcia – przyznałem. – Co jeszcze o nich wiesz?

– Hm, swoją hierarchię ustanawiają przemocą, jest ich nieco ponad dziewięćset gatunków i świetnie smakują. Dasz wiarę, że w Tajlandii są hodowcy, którzy rocznie produkują siedem i pół tony mąki z suszonych i zmiażdżonych ciał tych owadów?

Patrzyłem na Olive i nie mogłem się nie uśmiechnąć. Lubiłem ją w takim wydaniu: beztroską, wyluzowaną, zwyczajną.

– Świństwo – skwitowałem jednym słowem i upiłem łyk wina.

– Prawda? My tu zachwycamy się cykaniem, a w tym czasie tysiące ich krewniaków ląduje na talerzach w azjatyckich krajach – zachichotała, ja również.

– Zostałaś weterynarzem, bo fascynował cię świat zwierząt? Czy po prostu nie dostałaś się na wybrany kierunek i zmuszona byłaś zmienić życiowe plany? – Pomyślałem, że właśnie zadałem Olive pierwsze pytanie odnoszące się do jej życia osobistego. A przecież wewnątrz siebie miałem ich całe setki. Chciałem wiedzieć, jaką muzykę lubi, i czy w ogóle, czy kocha taniec, co lubi jeść, czy śpi na brzuchu, a może na plecach? Chciałem o niej wiedzieć wszystko, ale miałem świadomość, że każda udzielona odpowiedź sprawi, że Olive stanie mi się bliższa, a przez to bardziej narażona na niebezpieczeństwo.

– Zawsze marzyłam, by móc pracować ze zwierzętami – powiedziała, patrząc mi w oczy. – Zwierzęta, w przeciwieństwie do ludzi, kochają bezinteresownie. Na miłość drugiego człowieka trzeba sobie zasłużyć. Już od wczesnego dzieciństwa musiałam walczyć o to, by ktoś mnie pokochał. Straciłam rodziców dość wcześnie, potem babcię Eleonor. Do tego wszystkiego z czasem odeszła również Rachel. – Ton jej głosu stał się cichszy, smutniejszy, może nawet nieco melancholijny. – Miłość nie zawsze jest łatwa, prawda? – Posłała mi krótkie spojrzenie, wyciągając z kącika ust kosmyk włosów, którym wcześniej bawił się wiatr.

– Chyba nic, co ma jakąś wartość w naszym życiu, nie przychodzi łatwo.

– Flynn, lubię, gdy taki jesteś. – Zmieniła pozycję, by móc na mnie patrzeć. Jej oczy błędziły po mojej twarzy, a ja bałem się, że za chwilę w nieprawdopodobny sposób przenikną moją duszę. Nie skomentowałem jej wyznania. Od zawsze praktykowałem milczenie, gdy czyjeś słowa sprawiły mi przyjemność. – A ty, dlaczego zostałeś stolarzem? Chciałeś nim być? – Zbliżyła kieliszek do ust i opróżniła jego zawartość. Sięgnąłem po butelkę, którą wcześniej postawiłem na ziemi, i dolałem jej wina.

– Od dziecka lubiłem dłubać w drewnie. Mój ojciec zastępczy był stolarzem. Nauczył mnie wielu rzeczy i chyba zasiał we mnie miłość do stolarki. Poza tym to jeden z nielicznych zawodów, który po części mogę wykonywać w swoim warsztacie. Sam. – Potarłem dłonią kark, zastanawiając się, czy nie odsłaniam się za bardzo przed Olive.

– Nie wiedziałam, że wychowywała cię rodzina zastępcza.

– Było ich kilka – przyznałem niechętnie. – Nie lubię o tym opowiadać.

– Zatem zmieńmy temat – zaproponowała. – Co z tym drewnem? Masz sporo zamówień?

Potaknąłem głową.

– W ciągu dnia robię meble, wieczorem oddaję się swojej pasji.

– Pasji? Chodzi o rzeźbiarstwo?

- Tak. Rzeźbię na zamówienie, i nie tylko – wyznałem nieśmiało.
- Coś nieprawdopodobnego! Dlaczego się nie chwaliłeś?
- Parsknąłem cichym śmiechem i podrapałem się po nieogolonej brodzie.
- Bo nie należę do ludzi, którzy lubią opowiadać o sobie.
- Fakt – przyznała. – W ogóle mało mówisz, Flynnie Sallow.
- Pochyliłem się do przodu i oparłem ramiona o uda, spoglądając na Olive z ukosa.
- W takim razie chodźmy. – Wstała, odstawiała na ziemię kieliszek i ruszyła oświetloną solarowymi lampami ścieżką w stronę warsztatu, seksownie kręcąc przy tym biodrami. Potrzebowałem chwili, by pozbierać myśli i pójść za nią.
- Co zamierzasz? Dokąd idziesz? – krzyknąłem, wciąż patrząc na jej pośladki. Odwróciła się raptownie i byłem pewien, że przyłapała mnie na moich poczynaniach.
- Chcę je zobaczyć! Wszystkie! – oświadczyła, wciąż idąc tyłem.
- W mojej głowie rozbrzmiał alarm: „Nie rób tego, Flynn! Będziesz żałował, Flynn! Zranisz ją, Flynn! Ona umrze przez ciebie, Flynn!”. A mimo to nie potrafiłem jej odmówić. Olive emanowała wewnętrzną siłą, która zmuszała mnie do uległości. W zadziwiający sposób czułem, że jest brakującym elementem mojego jestestwa. Pomyślałem nawet, że może jest tą kobietą, o której mówiła Rachel: „W odpowiednim momencie zjawi się ta, która przyniesie ze sobą wybawienie, Flynn. Bądź cierpliwy i czujny, ale przede wszystkim bardzo ostrożny”.
- No dalej, Flynn! Pośpiesz się! – krzyknęła i stanąwszy przed warsztatem, przywołała mnie ruchem ręki. Denerwowałem się. Nie potrafiłem powiedzieć, czy bardziej z powodu jej obecności, czy faktu, że za chwilę miała zobaczyć moje prace, a co się z tym wiązało, poznać ten kawałek duszy, który kryłem przed całym światem.
- Ale jestem podekscytowana. – Klasnęła w dłonie w momencie, w którym otworzyłem drzwi i przekroczyliśmy próg. Podeszedłem do pierwszej rzeźby, chwyciłem za tkaninę i nim ją ściągnąłem, jeszcze raz spojrziałem na Olive.
- Pomóc ci z tą szmatą? – spytała przekornie. Zaśmiałem się i jednym ruchem zrzuciłem okrycie na podłogę. – Jasna cholera, Flynn. To jest piękne – wyszeptała cicho, a mimo to byłem w stanie usłyszeć zachwyty w jej głosie. – Mogę? – spytała, wyciągając dłoń w stronę rzeźby przedstawiającej młodego mężczyznę w długich włosach. Skłoniłem głowę, dając jej pozwolenie, a wówczas Olive palcami prześledziła kształt rzeźby, wzdychając z zachwyty.
- Wspaniała. Bardzo się cieszę, że ludzie poznali się na twoim talencie – powiedziała, co w jej ustach zabrzmiało naprawdę szczerze. – A ta ogromna rzeźba co przedstawia? – Palcem wskazała odległy kąt warsztatu.
- Konia.

– Konia?

Potaknąłem.

– Mogę go zobaczyć?

– Możesz. – Z pomocą Olive nakryłem rzeźbę tkaniną, następnie ściągnęliśmy osłonę z tej, pod którą krył się koń.

– O losie, jest w rzeczywistych wymiarach, prawda? – zachwycała się, a jej źrenice rozszerzyły się niczym oczy dziecka na widok słodkości.

– Takie było życzenie zamawiającego.

– Wspaniała. Z ogromną precyzją oddałeś wszystkie szczegóły anatomiczne. Naprawdę jestem pod wrażeniem – wyznała, dłonią gładząc bruzdę szyjną konia. – Nie podejrzewałam cię o takie zdolności. – Puściła oczko w moją stronę i uśmiechnęła się szeroko. – A co skrywa się pod tą czarną płachtą? – Wskazała palcem rzeźbę stojącą z przodu warsztatu, a mnie zatrzymało się serce, gdy śmiałym krokiem ruszyła w jej stronę.

– Nie jest skończona! – Przyśpieszyłem, chcąc dogonić Olive i uniemożliwić jej zajrzenie pod płachtę, ale ona była szybsza. Chwyciła za tkaninę i śmiałym ruchem ściągnęła ją z rzeźby. Wstrzymałem oddech. Olive najpewniej też. I kiedy tak stała i patrzyła na nią z otwartymi ustami, ja w uszach słyszałem dźwięk jej bijącego serca, odgłos wirujących w powietrzu drobinek kurzu i szelest kobiecych włosów, gdy z niedowierzaniem kręciła głową. Wciąż milcząc, powolnym krokiem obeszła całą rzeźbę, po czym się zatrzymała i spojrzała na mnie wzrokiem żądnym wyjaśnień.

– Flynn?

– Mówiłem, że nie jest jeszcze gotowa. – Zatopiłem dłoń we włosach i pociągnąłem je u nasady, będąc zawstydzony odkryciem Olive.

– Ta kobieta ma moją twarz, prawda? – powiedziała to z taką nieśmiałością, jakby nie miała pewności, czy oczy jej nie zawodzą.

Potaknąłem głową, zatrzymując wzrok na plecach rzeźby, w miejscu, w którym traciły one swoją szlachetną nazwę. W tej chwili byłem wdzięczny losowi, że moja wizja Olive zaowocowała wyrzeźbieniem postaci, która skrywa swoje wdzięki we własnych ramionach. Nie wiem, czyby mi wybaczyła, gdybym wyeksponował jej biust, kierując się swoimi wyobrażeniami.

– To jestem ja? – Stała naprzeciwko mnie, ręką wskazując rzeźbę. – Ona ma nie tylko moją twarz, ale również włosy, figurę...

Ponownie skłoniłem delikatnie głowę, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Olive patrzyła nic nierozumiejącym wzrokiem, a mnie trudno było ocenić, czy podoba jej się to, co zobaczyła, czy jest zupełnie odwrotnie i mam się spodziewać uderzenia,

takiego, jakim poczęstowała Graysona. Znowu mnie zaskoczyła. Potrafiła to robić jak nikt inny. Zbliżyła się jeszcze bardziej, wspięła na czubki palców i dotykając swoimi ustami moich warg, cicho powiedziała:

– Tylko odważnych ludzi stać na szczerość, Flynn. Jesteś odważny? – Poczułem dotyk jej dłoni na swoim torsie i ciepło, które przenikło przez bawełnianą koszulkę wprost do mojego serca.

– Jak żaden inny człowiek, którego spotkałaś na swojej drodze – odparłem, czując, jak każda wypowiedziana przeze mnie sylaba wprawia w drżenie jej usta.

– To dlaczego boisz się zdradzić mi swoje uczucia? – Palcami delikatnie sunęła po mojej piersi, kierując się ku szyi, by ostatecznie zatrzymać je na moim karku.

– Nie boję się swoich uczuć. Boję się tego, co mogą ze sobą przynieść – wyznałem część prawdy.

– A co mogą przynieść? – Przymknęła oczy, czekając na to, co się za chwilę wydarzy.

– Cierpienie – wyszeptałem, a ona złożyła delikatny pocałunek na moich ustach. Wiedziałem już, że nie będę w stanie zapanować nad rodzącym się pożądaniem. Miałem nadzieję, że Olive zrobi to za mnie.

– Flynn, musisz wiedzieć, że jestem silniejsza, niż ci się wydaje, i bardziej uparta niż kobiety, które miałaś okazję poznać w swoim życiu.

– Nie rób tego, Olive. – Ponownie wprawiłem w drżenie jej usta. – Nie rób tego, bo jestem tylko facetem. Nie będę w stanie ci się oprzeć, jeśli za chwilę nie odsuniesz się ode mnie. – Znowu mnie zaskoczyła. Na przekór moim słowom przywarła do mnie tak mocno, że na torsie poczułem dotyk jej piersi. Splotła ramiona za moim karkiem i zaczęła mnie całować. Najpierw delikatnie i namiętnie, by stopniowo pogłębić pocałunek. Czułem, jak językiem dotyka wszystkich skaleczeń mojej duszy, jak wysublimowaną pieszczotą sprawia, że brzegi ran zaczynają się zasklepieć. I chociaż wiedziałem, że z chwilą zakończenia pocałunku ponownie zaleją mnie wyrzuty sumienia, nie chciałem o tym teraz myśleć. Nie w momencie, w którym wsunęła swoje dłonie pod moją koszulkę i opuszkami palców zdobywała mnie centymetr po centymetrze, mówiąc przy tym:

– Będę twoją tarczą, Flynn. Nie pozwolę, by los nas skrzywdził. Razem jesteśmy silniejsi.

Przymknąłem oczy, chcąc zapamiętać jej słowa już na zawsze. Chciałem w nie wierzyć. Chciałem, by były granicami mojej nowej codzienności, by Olive stała się filarem, na którym mogę się wesprzeć, a jednocześnie obawiałem się, że ten filar nie wytrzyma, że ciężar, który na nim spocznie, obróci go w nic nieznaczący pył.

– Kochaj się ze mną – wyszeptała i uniosła dół mojej koszulki, by móc ją ze mnie zdjąć. Nie protestowałem. Nie miałem do tego wystarczająco silnej woli. Niczym zmrożony obserwowałem, jak rzuca na podłogę część mojej garderoby, do której wkrótce dołączyła jej koszulka. Przystałem oddychać, gdy ukazały mi się jej piersi, tak kształtne i idealne pod każdym względem. Moje pożądanie poszybowało w górę niby słupek w termometrze, gdy Olive, patrząc mi głęboko w oczy, odpięła zamek szortów i zsunęła je z siebie, by stanąć przede mną tylko w koronkowych stringach. Spłonęła rumieńcem i zagryzła dolną wargę, czekając na mój ruch. A ja? Przepadłem. Przegrałem. Złamałem własne zasady, gdy patrzyłem w jej oczy, wiedząc, że jest tą kobietą, na którą czekałem. A potem stało się to, o czym marzyłem. Zamknąłem w ramionach jej drżące ciało, całowałem włosy, których zapach był niczym skryzalizowane szczęście, czułem na szyi gorący, przyśpieszony oddech, na plecach zaś ostre paznokcie. I w tej chwili nie istniałem. Nie było strachu, bólu i wspomnień. Były ramiona, które otulały, i uderzenia serca, pragnącego zsynchronizować się z moim sercem. Pozwoliłem mu na to...

Olive

Przebudziłam się dziwnie niespokojna. W ciemności starałam się odnaleźć Flynna. Dostrzegłam go na zewnątrz. Otoczony delikatnym blaskiem lamp solarowych siedział na trawniku ze spuszczoną głową. Cierpiał. Wywnioskowałam to z jego okrągłych pleców i opuszczonych ramion. Zrodził się we mnie smutek, który mieszał się ze strachem, że być może Flynn żałuje nocy spędzonej ze mną. Wstałam i otuliwszy się płachtą, którą byłam przykryta, zdecydowałam się potowarzyszyć Flynnowi, nawet jeśli miałabym z nim tylko pomilczeć. Przysiadłam tuż obok niego i położyłam mu głowę na ramieniu. Flynn w żaden sposób nie zareagował. Nie było pocałunku w czoło ani delikatnego dotyku. Nie było tego wszystkiego, co jeszcze kilka godzin wcześniej sprawiało, że świat wirował mi w głowie. Był natomiast strach i zwątpienie, które od niego biło.

– Nie żałuję. Było mi z tobą cudownie – powiedziałam po dłuższej chwili milczenia. – Pomyślałam, że może chciałbyś to wiedzieć – dodałam miękko, a on pokręcił głową i spojrzał w rozgwieżdżone niebo, jakby mogło mu przyjść z pomocą. – A ty? Żałujesz? – zapytałam.

– Nie – powiedział cichutko i spojrzał na mnie roziskrzonym wzrokiem. – Marzyłem o tym od dnia, w którym zobaczyłem cię po raz pierwszy.

– Tak? To dlaczego grałeś takiego nieprzystępnego? – Szturchnęłam go łokciem w bok, a jego śmiech wypełnił mi uszy.

– Bo boję się, że nie będę w stanie cię ochronić. – Spowaźniał.

Poczułam, jak gęsia skórka obsypała moje plecy i ręce, a gdy płachta zsunęła się z mojego ramienia, on złożył na nim delikatny pocałunek.

– Flynn, przed czym próbujesz mnie tak uparcie chronić? Czego się boisz? – dociekałam. Położyłam dłoń na jego policzku, a on najpierw się w nią wtulił, następnie złożył pocałunek w jej wnętrzu.

– Przed czymś, z czym nie mam szansy wygrać – odpowiedział zagadkowo. Wyraz jego twarzy stał się srogi, zimny i tak bardzo obcy.

– Przed czym konkretnie? Czy to ma coś wspólnego z twoją przeszłością? Masz jakieś problemy emocjonalne? Coś, z czym sobie nie radzisz, a co odbija się na twoich relacjach? Możesz mi zaufać, pomogę cię. Zrobię wszystko, co będzie konieczne, byś...

– Olive – przerwał mi stanowczo. – Nie masz pojęcia, z czym przyjdzie ci się mierzyć. Nie wiesz o mnie tak wielu rzeczy. Nie jestem człowiekiem, za którego mnie uważasz. Ja...

– A kim jesteś, Flynnie Sallow? Postrzegam cię jako zdolnego, pomocnego i bardzo seksownego mężczyznę, który zawrócił mi w głowie i który ma bardzo niskie mniemanie o sobie. Jesteś wspaniałym i przede wszystkim dobrym człowiekiem, musisz tylko przestać patrzeć na siebie przez pryzmat innych ludzi.

Flynn zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że pobiegały mu knykcie. Spiał się, zapewne chcąc zdusić wewnątrz wybuch.

– Jestem złym człowiekiem, Olive. Jestem człowiekiem, wokół którego bezustannie kręci się śmierć. Tracę wszystkich, których kocham, którzy znaczyli dla mnie więcej niż obcy człowiek mijany na ulicy. I boję się, że pewnego dnia to cholera, które mnie prześladowa, wyciągnie łapska także po ciebie. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. – Pierwszy raz w oczach Flynnna dostrzegłam łzy i tak ogromne pokłady strachu. – Nigdy...

– Chcesz mi powiedzieć, że... – Zamilkłam na chwilę, chcąc znaleźć w głowie odpowiednie słowa. – Że jesteś przeklęty?

Flynn wstał i dłońmi przetarł umęczoną twarz.

– Mierzę się z czymś, co jest ode mnie znacznie silniejsze, z czymś, czego nie potrafię zatrzymać, z czym nie umiem wygrać. To coś sprawia, że wszyscy ludzie,

k którzy są mi bliscy, odchodzą. – Rozłożył szeroko ręce.

– Flynn... – zaśmiałam się i podniosłam, by móc stanąć naprzeciwko niego. – To nie jest żadne przekleństwo. – Wyciągnęłam dłoń i palcami dotknęłam jego ust, na których następnie złożyłam pocałunek. – Tak się po prostu czasami dzieje – przekonywałam. – To normalne, że tracimy ludzi, których kochamy, tak samo jak normalne jest to, że ich odejście okropnie nas boli. Nie możesz dopisywać temu dziwnych teorii, a tym samym zamykać się na świat.

– Nic nie rozumiesz, Olive – warknął, po czym zrobił kilka kroków w tył. Wsunął dłoń w kieszenie spodenek i przez chwilę mierzył mnie uważnym spojrzeniem, by ostatecznie odwrócić się plecami i zatopić wzrok w ciemnej części ogrodu. – Oni wszyscy zginęli przeze mnie – wyszeptał, tłumiąc płacz.

– Kto taki? – dociekałam, stając za jego plecami.

– Rachel, moi rodzice, Ervin... – Głos zaczął mu drżeć, a po chwili ucichł.

– Daj spokój, Flynn. Rachel miała raka. Zmarła, bo kochała papierosy bardziej niż Boga i nie chciała się leczyć – fuknęłam, tracąc cierpliwość. – Twoi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, może cię rozczaruję, ale tak się czasem zdarza, Flynn. Ludzie giną na drogach i...

– Rachel zachorowała, bo była jedyną życzliwą mi osobą w tej wsi – powiedział stanowczo, upierając się przy swoim, następnie odwrócił się i spojrzał na mnie z góry. – A Irin?

– Jej śmierć była wypadkiem, nie było cię przy niej.

– Ale była dla mnie ważna. Spotykałem się z nią.

– Przykro mi, że jej strata cię dotknęła, ale nadal uważam, że nie masz powodu, by siebie o to obwiniać. – Nie uwierzył mi, widziałam to w jego oczach. – Kim był Ervin? – zaryzykowałam pytanie, chcąc doprowadzić tę rozmowę do końca, by już nigdy nie musieć do niej wracać. Flynn spuścił głowę i w kilku słowach opowiedział mi jego historię, następnie wspomniał o ukochanym psie i kilku innych zwierzętach, które stracił, a gdy wciąż odpierałam jego argumenty, wytoczył działo, którego się nie spodziewałam.

– Wiedziałem, że staniesz na mojej drodze. – Podeszedł do mnie i zamknął moją twarz w swoich dużych dłoniach. – Widywałem cię w snach, na długo zanim przyjechałaś do Horwell. Stąd ta rzeźba. Przestałem nad nią pracować w dniu, w którym zobaczyłem cię na pogrzebie Rachel. Myślę, że jesteś moim przeznaczeniem i w jakiś sposób możesz mnie ocalić – prychnął, nie dowierzając własnym słowom. – Tylko jeszcze nie wiem w jaki.

Objęłam dłońmi jego nadgarstki, słysząc w uszach echo wypowiedzianych słów. Szarpnęły mną mdłości, bo uświadomiłam sobie, że z Flynnem dzieje się coś niedobrego, że on wcale nie jest skryty i tajemniczy, tylko obarczony chorobą, która nie pozwala mu racjonalnie myśleć. Zrobiło mi się go żal. Tak zwyczajnie, po ludzku. Pomyślałam, że śmierć przyjaciela, której był świadkiem, wywołała w nim coś na kształt traumy towarzyszącej mu aż do dzisiaj, której przypisuje wszystkie życiowe potknięcia.

– Widziałeś mnie, gdy kilka lat temu przyjechałam na święta. Podświadomie zapisałeś mój obraz w pamięci, stąd te sny – przekonywałam łagodnym głosem, chcąc usłyszeć, że się ze mną zgadza, ale nic takiego nie miało miejsca.

– Nie jestem wariatem, Olive – szepnął mi do ucha, a jego słowa rozerwały mi serce. Poczułam łyzy na policzkach. Chciałam, żeby to wszystko zniknęło, żeby odszedł strach i bredzenie Flynn’a, żeby było tak, jak jeszcze kilka godzin wcześniej. Pragnęłam jego delikatności i namiętności, a nie dzikiego obłądzenia i choroby, która z całą pewnością nas przerośnie. – Nigdy nim nie byłam.

Nie wiedziałam, jak się zachować, co zrobić, w jaki sposób do niego dotrzeć.

– Pamiętasz zapach, o którym wspominałaś?

Potaknęłam głową, przełykając łyzy.

– Sprawdziłem skład perfum, których używam, sprawdziłem też skład płynu do płukania, proszku, a nawet żelu pod prysznic. W żadnym z nich nie ma aromatu migdała. Myślę, że tylko ty go czujesz.

Rozsypałam się. Wierzchem dłoni wytarłam ciekący nos. A gdy oszołomiona wyznaniem Flynn’a trzęsłam się z emocji, on nie zrobił nic. Stał i patrzył na mnie, jakby chciał się przekonać, ile jestem w stanie znieść, zanim wybiegnę stąd z płaczem.

– Potrzebujesz pomocy, Flynn – powiedziałam, znajdując w sobie resztki siły. – W Bristolu są specjaliści, którzy na pewno będą mogli ci pomóc, jeśli chcesz, to mogę poprosić i...

– Dlaczego mnie nie słuchasz, Olive?! – krzyknął, wsunął dłonie we włosy i szarpnął za nie, zadając sobie ból. – Nie jestem wariatem, nie mam paranoi, schizofrenii, halucynacji ani żadnych temu podobnych schorzeń. – Rozłożył szeroko ramiona, by następnie pozwolić im opaść i z płaskim uderzyć o biodra. – Żaden psychiatra nie jest w stanie mi pomóc, nie pomoże mi też ksiądz ani egzorcysta. Tego nie da się zatrzymać, rozumiesz? Ja po prostu taki jestem. Przeklęty. – Ostatnie słowo wypowiedział znacznie ciszej. – Przeklęty i tak bardzo w tobie zakochany, że każdy oddech jest walką o to, by nie zamknąć cię w ramionach i już nigdy z nich nie wypuścić.

– Nie jesteś przeklęty, tylko chory! – krzyknęłam poruszona jego wyznaniem, tracąc kontrolę nad emocjami. Chciałam, by mnie kochał. Chciałam, by stał się częścią mojego życia, ale pragnęłam również, by jego umysł nie był zmałcony chorobą, by wraz ze mną w ten sam sposób postrzegał codzienność, by był moją miłością, ale ponad wszystko chciałam, by był moim przyjacielem. Człowiekiem, na którego zawsze będę mogła liczyć.

Flynn zastygł w bezruchu. Widziałam w jego oczach, jak próbuje poukładać w głowie słowa, które padły z moich ust. Może w myślach się z nimi nie zgadzał, może nawet kłął i krzyczał, wszystko to nie miało dla mnie znaczenia, do chwili, w której jasno i wyraźnie powiedział:

– Powinnaś już pójść, Olive.

Wyprostowałam się jak ktoś, kto szykuje się do pojedynku, do przyjęcia słów, które zniszczą jego wyobrażenie o drugiej osobie. Flynn spuścił głowę, odwrócił się do mnie plecami i odszedł. Tak zwyczajnie, bez pożegnania. Otarłam dłońmi policzki, wróciłam do warsztatu i założyłam na siebie koszulkę i szorty, chcąc jak najszybciej opuścić to miejsce. Po raz ostatni spojrzałam na rzeźbę, która miała mnie przedstawiać, i gdy już chciałam wyjść, dostrzegłam coś, co sprawiło, że na chwilę pociemniało mi przed oczami. Na wysokości kości biodrowej widniała blizna, zarysowana bardzo wyraźnie przez dłuto rzeźbiarskie. Miałam dokładnie taką samą. Nabyłam ją w wyniku wypadku samochodowego, w którym zginęli moi rodzice. Była śladem po większym kawałku szkła, który utknął w moim ciele.

Flynn nie mógł o tym wiedzieć.

Nie mógł jej zobaczyć.

A mimo to umieścił ją na rzeźbie.

Opuściłam posiadłość, nie zważając na to, że jest środek nocy. Nigdy wcześniej nie czułam się równie źle. Nawet zdrada Martina nie zaboląła mnie tak bardzo, jak słowa Flynn, które najpierw zapewniały mnie, że jestem dla niego ważna, a następnie kazały mi odejść. Flynn był wyjątkowy, a ja po raz kolejny przekonałam się, że jego wyjątkowość to nie tylko cicha natura, ale także umysł, który dziś stał się dla mnie niezrozumiały.

Zdecydowawszy się na pójście skrótami, pokonywałam drogę wzdłuż mokradeł, wciąż zastanawiając się, skąd Flynn wiedział o bliźnie. Czym dłużej o tym myślałam, tym bardziej nabierałam przekonania, że musiała mu o niej wspomnieć Rachel. Byłam skłonna uwierzyć w to, że miał splątany umysł, obarczony traumatycznymi wydarzeniami z dzieciństwa, ale nie mogłam zaakceptować faktu, że Flynn posiadał nadprzyrodzone zdolności. To przeczyło jakiegokolwiek logice.

Moje rozważania przerwał dźwięk nadjeżdżającego traktora. Zdziwiona jego pojawieniem się, wszak dochodziła już druga nad ranem, zesłam na pobocze, chcąc uniknąć rozjechania. Na sporych rozmiarów przyczepie dostrzegłam znajomy kształt. Niemal przetarłam oczy ze zdziwienia, gdy z ciemności wyłonił się zarys krowiego ciała. Wstrzymałam oddech, całą sobą czując, że wbrew własnej woli stałam się świadkiem czegoś, czego nigdy nie chciałabym widzieć. Nie miałam już wątpliwości. Wiedziałam, do kogo należał ciągnik i co stanie się z padłym zwierzęciem. W tym momencie wróciły do mnie słowa Graysona: „Trzymaj się od nas z daleka, jeśli chcesz być bezpieczna”.



Rozdział 14

Olive

Ostanie dni nie należały do najłatwiejszych. Sytuacja z Flynnem i to, co zobaczyłam w drodze do domu, skutecznie skrzywiły moją codzienność. I o ile byłam w stanie zaakceptować chorobę Flynnna, a przynajmniej próbować się z nią oswoić, tak przesuwający się przed oczami widok transportowanego padłego zwierzęcia był moim wyrzutem sumienia. Powinnam to zgłosić, jednak wiedziałam, że jeśli to zrobię, ściągnę na siebie niebezpieczeństwo. Miałam sporo do stracenia. Gdybym musiała wyjechać z Horwell, zostałabym bez dachu nad głową, bez pracy i perspektyw na przyszłość, i ze złamanym sercem. Grayson może i był damskim bokserem, ale nie głupim. Wizyta policji na farmie natychmiast skierowałaby podejrzania na mnie, a ja boleśnie odczułabym jego rewanż. Bezustannie zastanawiałam się, ile krów zostało zakopanych w okolicy niezgodnie z prawem i dlaczego te krowy padają. Co takiego zmusza Rolandsa do przekraczania granic ustalonych przez prawo? Czy chodzi o koszty związane z utylizacją? Prosiłam los, by sprawa była błaha, by nie stała za nią jakaś większa tragedia.

– Olive!

Wzdrygnęłam się i spojrzałam przez ramię. W drzwiach pokoju badań dostrzegłam Jodie, jej córki i Froda, radośnie merdającego ogonem.

– Zamyśliłaś się? Nie słyszałaś, jak cię wołałyśmy? – rzuciła Jodie na powitanie, po czym podeszła i otuliła mnie swoimi ramionami. – Marnie wyglądasz. Co jest? Nie

dosypiasz?

– Hej, przepraszam, faktycznie was nie słyszałam. – Wysiłam się na słaby uśmiech. – Jak się macie, dziewczynki?

– Dobrze – odpowiedziała cichutko Giovanna, a rozglądając się po pomieszczeniu, zaciskała dłoń na smyczy.

– Cześć, chłopaku! – Kucnęłam i pozwoliłam psu polizać się po policzku. – Wyglądasz na szczęśliwego – oceniłam, drapiąc go za uchem.

– Jest szczęśliwy, bo dostał psie ciasteczko – dodała Maisy.

– Wow, ktoś tu bardzo dobrze się tobą opiekuje – pochwaliłam, puszcżając oczko w stronę dziewczynek. – Zasłużyłyście na nagrodę. W recepcji na stoliku jest szklana kula, w której znajdują się lizaki. Jeśli mama wam pozwoli, możecie się poczęstować – zaferowałam.

– Możemy, mamó? – spytała Giovanna, patrząc na Jodie błagalnym wzrokiem.

– Tylko po jednym, dobrze?

Dziewczynki energicznie pokiwały głowami i zabrawszy ze sobą psa, opuściły pokój badań. Nim zniknęły, zdążyły nas jeszcze poinformować, że zjedzą słodkości w ogrodzie.

– Olive, co się dzieje? – Ot i cała Jodie. Bez ogródek, prosto do celu – pomyślałam.

– Hm... – Podrapałam się po czole, szukając naprędce jakiejś wymówki, a gdy jej nie znalazłam, splótłam ramiona na piersi i podziwiając swoje ubłocone trampki, wyznałam z rozbrajającą szczerością: – Chyba wdepnęłam w całkiem duże gówno.

– Chodzi o Flynnna?

Zabiła mnie tym zdaniem. Podniosłam głowę i zauważyłam, że spogląda na mnie przeproszającym wzrokiem.

– Plotkują o was, podobno uratował ci życie, a ty w ramach podziękowania spędziłaś u niego wieczór – wyznała otwarcie, przewracając oczami.

– Skąd wiesz, że spędziłam noc z Flynnem? – dociekałam. Zrobiło mi się gorąco i słabo, a świat dziwnie zaszumił w uszach.

– Noc? Nie mówiłam nic o nocy. Wspomniałam o wieczorze.

– Cholera... – jęknęłam zażenowana, skrywając twarz w dłoniach.

– Stary Ross widział, jak szłaś do Flynnna z winem, i teraz cała wieś huczy od plotek – wyjaśniła. Zrobiła krok w moją stronę, chwyciła mnie za dłonie i zmusiła, bym na nią spojrzała. – Spałaś z Flynnem? – spytała, próbując się nie uśmiechnąć. – I ja nic o tym nie wiem?

Bardzo nie chciałam być w tym momencie słaba. Nie chciałam pokazywać, co tak naprawdę skrywa się w moim sercu, ale nie potrafiłam.

– To strasznie smutna historia, Jodie – wyznałam drżącym głosem. – Nie mam w ostatnim czasie szczęścia do mężczyzn, nigdy go nie miałam. – Zaśmiałam się nerwowo i wytarłam wierzchem dłoni nos. – Nic mi się ostatnio nie udaje. Wszystko mnie przerasta – ciągnęłam, popadając w coraz większy marazm.

– Hej, dziewczyno! Co zrobiłaś z Olive, którą znałam i która potrafiła strzelić z pięści w twarz mojemu mężowi?

– Właśnie o tym mówię. – Otarłam dłońmi policzki, chcąc osuszyć je ze śladów słabości. – To nie ja, Jodie. Nic nie układa się tak, jak bym chciała.

– Pieprzysz głupoty! – zawyrokowała. – Jesteś po prostu zmęczona i przepracowana. Wszystko ci wychodzi. Stworzyłaś świetną klinikę, ludzie ci szanują i są ci wdzięczni za twoją pracę. Masz wspaniały dom i spełnione marzenie. A to, że czasami się potkniesz lub masz gorszy dzień i zwyczajnie chcesz popłakać, jest zupełnie normalne. Gdy się rodziłyśmy, nikt nam nie obiecał, że będzie łatwo. Są ludzie, którzy mają znacznie gorzej.

Wstrzymałam oddech. Mówiła o Flynnie?

– O kim mówisz?

– Co?

– Kto ma gorzej? – spytałam.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Na przykład stary Ross, który całe dni spędza, siedząc na ganku sycąc oczy cudzym życiem.

– Stary Ross. – Odetchnęłam z ulgą.

– O co chodzi z Flynnem? – spytała, zniżając ton głosu niemal do szeptu. – W łóżku jest równie dziwny? – Poruszyła brwiami, wyczekując odpowiedzi.

– On jest dziwny pod każdym względem. A najgorsze jest to, że powinnam trzymać się od niego z daleka, a nie potrafię. Powinnam skupić się wyłącznie na pracy i...

– Nie samą pracą człowiek żyje.

Zadumałam się nad słowami Jodie. Tak oczywistymi, a jednocześnie tak bardzo prawdziwymi. Chciałam być szczęśliwa, któż by nie chciał, tylko czasami brakowało mi sił, by walczyć o coś, czego usilnie pragnęłam.

– Może zamkniesz klinikę na kilka dni i pojedziesz ze mną do moich rodziców? Spędzimy trochę czasu w miejscu, w którym można złapać głębszy oddech bez obawy, że się nim zakrztusisz. – Mrugnęła okiem i posłała mi szeroki uśmiech.

– Kusząca propozycja, ale nie mogę. Jutro mam zaplanowane dwie inseminacje i kilka wizyt kontrolnych, tak więc zmuszona jestem podziękować.

– Trudno, może dasz się namówić kolejnym razem?

– Może...

– A co do Flynna... – urwała na chwilę, jakby szukała właściwych słów. – Ostrzegałam cię przed nim. To dziwny facet.

– W dodatku pachnący migdałem – parsknęłam pod nosem, chcąc rozładować atmosferę.

– Poważnie? – zdziwiła się. – Nigdy nie wyczułam woni migdała w jego perfumach.

– Żartujesz, prawda? – spytałam z uśmiechem na twarzy, sądząc, że się ze mną przekomarza. – Mam wrażenie, że on się w nich kąpie. Przez te perfumy potrafię go wyczuć niemal z kilometra.

– Ani trochę, Olive. Może tak działają na ciebie jego feromony? – Wytknęła mi język. – Dla mnie Flynn zawsze pachnie jak grzeczny facet.

– Czyli jak? – spytałam, bojąc się jej odpowiedzi.

– Drewnem, żelem pod prysznic i proszkiem do prania. – Wzruszyła ramionami i parsknęła śmiechem, rozbawiona swoim wyznaniem. I gdy tak śmiech Jodie niósł się po pokoju niczym confetti, ja w uszach słyszałam słowa: „Nie jestem wariatem, Olive. Nigdy nim nie byłem”.

Nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Z tego powodu po skończonej pracy postanowiłam pobiegać. Wybrałam się na plażę, chcąc chociaż odrobinę oczyścić głowę z myśli dźgających moją świadomość. Byłam zmęczona ciągłym zastanawianiem się nad tym, czy Flynn jest chory, czy może tylko obdarzony nadzwyczajnymi zdolnościami. Wczoraj, gdy pojechałam do hurtowni po leki, zadzwoniłam do Memphis, dzieląc się z nią swoimi podejrzeniami. „Olive, z tobą wszystko jest w porządku, to on ma problem” – zapewniała, starając się przekonać mnie, że czasami najlepsze, co możemy zrobić, to odpuścić. Lepiej jest zrezygnować z kogoś na początku znajomości niż w chwili, w której zorientujemy się, że jest nam on niezbędny do życia.

– Wszystko jest z tobą w porządku, Olive, nawet jeśli nie możesz mieć dzieci, rodziny i kochać człowieka, którego pragniesz. Wszystko jest z tobą w porządku – powtarzałam sobie, gdy stojąc na brzegu, spoglądałam w bezkres wód i dłonią ocierałam czoło.

Nad moją głową krążyły mewy, a ich skrzek był irytujący w porównaniu z melodyjnym klangorem żurawi. Klangorem, za którym tęskniłam, a którego na próżno było nasłuchiwać. Kiedyś jeszcze go usłyszę, sprawię, że poranki będą brzmiały trąbiącym śpiewem tych ptaków – obiecałam sobie.

– Jutro przyjdzie bez względu na to, czy będziesz szczęśliwa, czy też nie. Zatem rozsądnie będzie, jeśli zapomnisz o tym, co boli, a skupisz się na rzeczach, na które możesz mieć realny wpływ – mówiłam głośno, chcąc dodać sobie otuchy. Nie mogłam się poddać. Zbyt wiele razy przegrałam w potyczce z losem, by teraz dobrowolnie odpuścić. Wracalam do domu z myślą, że powinnam skupić się na pracy. A miłość? Czymże jest miłość i potrzeba bliskości z drugim człowiekiem w porównaniu z poczuciem spełnienia? A ja spełniałam się każdego dnia. W klinice. Spełniałam się nawet wówczas, gdy nie mogłam się z tego cieszyć u boku osoby, która była dla mnie ważna.

Przystanęłam na wycieracze, spoglądając na leżącą na niej kopertę. Znałam ten charakter pisma. Nie musiałam nawet sprawdzać danych nadawcy, by wiedzieć, że list wysłała Memphis. Otworzyłam drzwi, weszłam do środka i rozdarłam kopertę. Wypadło z niej zdjęcie, które zrobiliśmy sobie podczas ogniska. Uśmiechałyśmy się na nim szeroko, będąc już nieco wstawione. Ja trzymałam w ręku butelkę z piwem, a Memphis kij z piankami. Fotografia została opatrzona słowami: „Kocham cię”, napisanymi białym flamastrem. Postanowiłam, że umieszczę ją w ramce i postawię na szafce nocnej, by czerpać z niej pozytywną energię, tak jak czerpałam ją z wizyty Memphis. Wskoczyłam pod prysznic, następnie w luźne dresy i bokserkę. Udałam się do salonu i z komody zdjęłam starą, srebrną ramkę, w której zamknięte było czarno-białe zdjęcie mężczyzny. Doskonale pamiętałam dzień, w którym zapytałam Rachel, kto jest na zdjęciu. Spuściła wówczas głowę, chcąc ukryć wzruszenie, i zbyła mnie odpowiedzią: „Ktoś, kogo nie mogłam pokochać”. Nigdy więcej nie pozwoliła mi wrócić do tej rozmowy, tak jak nie pozwalała chociażby dotknąć ramki.

– Okej, Panie Poważny, czas najwyższy zawędrować do pudła z pamiątkami – powiedziałam, spoglądając na przystojnego mężczyznę, który patrzył na mnie z trzymanej w dłoni fotografii. Odwróciłam ramkę, odpięłam od niej drewniany tył i wówczas zaszumiało mi w głowie.

Czasami, w najmniej odpowiednim momencie, los potrafi wymierzyć nam tak silny cios, że upadamy na kolana z perspektywą spędzenia życia w tej pozycji.

Wpadłam do warsztatu Flynna z jego imieniem na ustach. Nie było go tam. Przez chwilę zawiesiłam wzrok na płachcie, pod którą skrywała się przedstawiająca mnie

rzeźba. Zapragnęłam spojrzeć na nią jeszcze raz, ale chęć poznania prawdy była znacznie potężniejsza. Wciąż pełna sprzecznych emocji opuściłam warsztat i pobiegłam w stronę domu Flynnna. Spostrzegłam go na podjeździe. Ładował skrzynki ze sprzętem na pakę forda. Gdy mnie dostrzegł, zamarł w bezruchu. Miałam wrażenie, że jego wzrok wbija się we mnie z siłą niszczycielskiego tornada.

– Olive – powiedział twardo, jakby moje imię budziło w nim złe wspomnienia.

– Kim on jest? Co łączyło Rachel z twoim krewnym? Dlaczego nie jesteś ze mną szczerą? Flynn! – wrzasnęłam w końcu, czując, że tracę nad sobą panowanie. – Co jeszcze przede mną ukrywasz? – Przysięgam, że w tej chwili miałam ochotę krzyczeć, tupać nogami i porządnie nim szarpnąć. I zapewne zdecydowałabym się na wszystkie trzy reakcje, gdyby nie mieszkańcy spacerujący chodnikiem, którzy z niepokojem nam się przyglądali, zapewne wyczekując dalszego rozwoju sytuacji.

– Nie wiem, o czym mówisz – przyznał ze spokojem. Spokojem, który wzbudzał we mnie jeszcze większą złość. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Flynn naprawdę nie wie, o co mi chodzi, czy zwyczajnie gra. Zaciśnęłam zęby, doskoczyłam do niego i włożyłam mu w dłoń starą fotografię. On zaś zmarszczył brwi, przyjrzał jej się dokładnie i po chwili przeniósł spojrzenie na mnie. Dopiero teraz dostrzegłam na jego twarzy ślady zmęczenia, bólu i czegoś, czemu ciężko mi było nadać konkretną nazwę. Może, tak jak ja, szukał pocieszenia w pracy i zapłacił za nie złym samopoczuciem, a może miał bezsenność i dlatego nie wyglądał najlepiej?

– Nie znam go. – Pokręcił głową. Niemal zakrztusiłam się powietrzem. Zaciśnęłam pięści w obawie, że mogłabym potraktować Flynnna tak, jak potraktowałam Graysona, a to nie było ani eleganckie, ani już tym bardziej godne kobiety. Ból zaciśniętych zębów przeszył moją żuchwę. Milcząc, wyrwałam mu z dłoni fotografię, obróciłam ją w palcach i przysunęłam mu do oczu, tak by dostrzegł widniejący na niej napis.

– „Może zabrać mi wszystko, co kocham, ale nigdy nie zabierze mi wspomnienia ciebie i dotyku twoich ust. Z wyrazami miłości Harold Sallow, Penzance 1950 rok” – przeczytał i spojrzał na mnie. Jego usta delikatnie się rozchyliły, ale nic nie powiedział.

– Dalej będziesz mnie okłamywał? Flynn, kto to jest? – dociekałam, nerwowo przestępując z nogi na nogę. – Rachel kiedyś powiedziała, że to mężczyzna, którego nie mogła pokochać. Dlaczego? Co o nim wiesz? – Dostrzegłam, jak jego grdyka uniosła się i opadła, jak nozdrza rozszerzyły się, gdy nabierał do płuc głęboki wdech.

– Myślę, że mężczyzna na fotografii może być moim dziadkiem.

Przestałam oddychać. Mijające sekundy odmierzało bicie mojego serca, gdy stałam wpatrzona we Flynnna, próbując to wszystko poukładać w swojej głowie. Kiedy części układanki wirowały w mojej świadomości, w żaden sposób nie mogąc połączyć

się w logiczną całość, Flynn złapał mnie za rękę i pociągnął do domu, zupełnie ignorując ciekawskie spojrzenia Rossa i innych mieszkańców. Szedł tak szybko, że z trudem za nim nadążałam. Z uwagą zamknął za nami drzwi i poprowadził mnie do salonu. Od razu zwróciłam uwagę na szare pudło stojące na stole. Było to dokładnie to pudło, które otrzymał od prawnika Rachel.

– Usiądź – poprosił, sam natomiast chwycił za drugie krzesło, obrócił je oparciem w moją stronę i usiadł na nim okrakiem, by móc mi patrzeć w oczy. – Otworzyłem je po tym, jak wróciłaś do siebie, w noc, w którą... – urwał.

– Wiem, o czym mówisz. Kontynuuj. – Ponagliłam ruchem ręki, a Flynn kiwnął głową. Wsunął dłoń do kartonu i wyjął z niego notes oprawiony w skórę, którego kartki położyły niczym liście topoli w pierwsze dni jesieni.

– Nie miałem pojęcia, że Rachel i Harold byli w sobie zakochani. Nie wiedziałem, że ktoś oprócz mnie również mierzył się z przekleństwem, nie wiedziałem... – Zamilkł, a w jego oczach pojawiły się łzy. Cierpienie wymalowało się na jego twarzy smutnym wyrazem. – Nie miałem pojęcia, że człowiek, którego całe życie uważałem za swojego ojca, nim nie był. – Spuścił głowę i przetarł twarz dłońmi. – Do niedawna myślałem, że moimi biologicznymi rodzicami byli Lauren i Tom Sallowowie, ale to była tylko część prawdy. – Spojrzał mi w oczy. – Moim biologicznym ojcem musiał być ktoś inny, natomiast Tom najpewniej był drugim mężem mojej matki, który z jakiegoś powodu przyjął jej nazwisko.

– Dalej nic nie rozumiem, Flynn.

– Podejrzewam, że mój biologiczny ojciec zostawił moją matkę, gdy była w ciąży. Matka musiała stosunkowo szybko ponownie wyjść za mąż, a ja żyłem w przekonaniu, że Tom był moim biologicznym ojcem.

– Skąd te przypuszczenia? – dociekałam.

– Gdy miałem dziewięć lat, rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Myślę, że ma to ścisły związek z moim biologicznym ojcem.

– Poczekaj. – Podniosłam rękę, chcąc w ten sposób poprosić, by dał mi chwilę na pozbieranie myśli. – Chcesz mi powiedzieć, że twój biologiczny ojciec, o ile Tom nim nie był, zabił Lauren i Toma? Dlaczego miałby to zrobić?

– Nie bezpośrednio, Olive. Myślę, że mój prawdziwy ojciec był taki jak ja – wyznał, a w jego oczach zapaliło się światło podekscytowania, które mieszało się z nadzieją. – On też się z tym mierzył, tak samo jak Harold.

Zaśmiałam się. Głośno, ale nie wesoło. To był raczej ten rodzaj śmiechu, przez który przemawiała bezsilność.

– Próbujesz mi powiedzieć, że wszyscy mężczyźni w waszej rodzinie są przeklęci?
– Przysięgam, że w tej chwili chciałam użyć słów: „mocno popieprzeni”, ale w ostatniej chwili się opanowałam.

Flynn był wyjątkowo poważny, śmiałabym nawet rzec, że jeszcze go takiego nie widziałam. Jego mina skutecznie mnie uciszyła. Postanowiłam zdusić w sobie sceptycyzm, jakim się wykazywałam w stosunku do jego domysłów, by go nie zranić. Może historia jego choroby sięgała głębiej, niż pierwotnie założyłam, może cierpiał na zaburzenia, które były dziedziczne i z którymi mierzyli się także jego ojciec i dziadek. Sama nie wiedziałam, co powinnam o tym myśleć.

– Pamiętam, że na kilka dni przed wypadkiem rodziców podsłuchałam, jak mama mówiła do Toma, że musi się spotkać z kimś, kto może być niebezpieczny dla niej i dla mnie. Myślę, że chodziło o niego, o mężczyznę, który był moim ojcem. Zginęli, gdy wracali od niego. Teraz to wszystko nabrało sensu. Tata zostawił mnie i mamę, bo chciał nas chronić, tak jak Harold zostawił Rachel – przekonywał, niemal z obłędem w oczach. Patrzyłam na niego i byłam rozdarta. Z jednej strony chciałam mu wierzyć, z drugiej miałam ochotę płakać ze strachu, że Flynn popada w coraz ciemniejszą otchłań.

– Skoro Harold kochał Rachel i opuścił ją, by zapewnić jej bezpieczeństwo, to dlaczego zrobił dziecko innej kobiecie? – Flynn ponownie spuścił głowę i przygarbił się, jakby moje słowa dźgnęły go w serce. – Przepraszam, wiem, że to brzmi brutalnie, ale twój ojciec nie wyskoczył z kapelusza. – Wyciągnęłam dłoń i zacisnęłam ją na jego nadgarstku. Poczułam ciepło Flynna w chwili, w której zacisnął palce na mojej dłoni, a gdy ponownie spojrzął mi w oczy, coś ścisnęło mnie za mostkiem.

– Na to pytanie nie znam odpowiedzi. – Uśmiechnął się słabo, nie pozwalając radości dotrzeć do oczu. – Nie znalazłem jej również w tym. – Ruchem głowy wskazał na notes, który wcześniej położył na stole.

– Co to jest? – spytałam, gdy po niego sięgnął i mi go podał.

– Pamiętnik, który powinnaś przeczytać.

– Czyj pamiętnik? Kto go napisał?

I gdy już byłam pewna, że niczym mnie nie zaskoczy, on rzucił z lekkością:

– Należał do Rachel.

Obsypała mnie gęsia skórka, gdy dotarł do mnie sens jego słów. Nagle wszystko, co tak dobrze znałam, stało się dziwnie niezrozumiałe, a Rachel wydała mi się obca jak nigdy wcześniej.

Długo mierzyłam się z zamiarem przeczytania pamiętnika. Bałam się do niego zajrzeć. Mijała druga godzina, jak siedziałam w ulubionym fotelu Rachel i szukałam w sobie odwagi, by poznać jej historię. Dłonią gładziłam skórzaną fakturę okładki, rozmyślając, co się pod nią kryje. Czy Rachel poznała prawdę o Flynnie? Czy potrafiła go bardziej zrozumieć, dostrzec w nim więcej niż ja? Jakim sposobem splotły się ścieżki jej i Flynny, skoro nigdy nie mogła pokochać Harolda? Wiedziałam, że odpowiedzi na nurtujące mnie pytania znajdę na pożółkłych kartach historii spisanej jej ręką. Wiedziałam również, że bez względu na to, co z nich wyczytam, uwierzę w ich treść, bo nie znałam drugiej równie uczciwej i prawdomównej osoby, co Rachel Autumn.

Przymknęłam oczy, czując jej obecność. To zadziwiające, jaką niezwykłą maszyną był ludzki mózg. Za sprawą ostatnich wydarzeń, trzymając w dłoniach coś, co należało niegdyś do ciotki, czułam jej bliskość tak wyraźnie, że nie mogłam wyzbyć się wrażenia, że siedzi tuż obok mnie. Otworzyłam pamiętnik, delikatnie przełożyłam pierwszą pergaminową kartkę i starając się podejść do wszystkiego na chłodno, zaczęłam czytać.

29 maja 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

znowu go widziałam. W jego oczach i w sposobie, w jaki na mnie patrzy, jest coś wyjątkowego. Mam wrażenie, że wzrokiem przenika mnie na wskroś. To oczy smutnego człowieka, przepelnione bólem i cierpieniem. On cały jest smutny. Zawsze. Może dlatego, że mieszka sam i miejscowi uważają go za dziwaka? Tata też go nie lubi. Mówi, że od ludzi takich jak on (samotnych, milczących i innych) powinnam trzymać się z daleka. Próbuję, ale mi nie wychodzi. Coś mnie do niego ciągnie. Coś, co sprawia, że chcę go poznać bliżej.

4 czerwca 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

On uśmiechnął się do mnie! Dziś, gdy po sumie udałam się na plażę Porthcurno, by przy dźwiękach Oceanu Atlantyckiego podziwiać wykuty w skale pod klifem Minack Theatre, wiatr zerwał mi z włosów wstążkę i poniósł wprost pod jego nogi. Podniósł ją, przez chwilę jej się przyglądał, by w końcu mi ją oddać. A gdy mu podziękowałam (nie wiem, czy mnie usłyszał, fale głośno biły o brzeg), uniósł nieznacznie kaszkiet, skłonił głowę i się uśmiechnął. Był przystojny i dystyngowany, zupełnie inny niż chłopcy, których znam. I był starszy.

10 czerwca 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

w każdą sobotę zawożę cioteczce Alistair jaja, które mama ze starannością układa mi w wiklinowym koszyku przymocowanym do kierownicy roweru. Dziś, podczas jazdy, na wysokości farmy mlecznej, spadł mi łańcuch z zębatki. Daremnie próbowałam go założyć. Niebo zdążyło się zasnuć atramentowym płaszczem, a ja wciąż nie dowiozłam jaj. I gdy już byłam pewna, że matka złoł mi skórę za opieszalność, pojawił się On. Sprawnie założył łańcuch na zębatkę, nie zważając na to, że pobrudzi smarem dłonie. W pewnej chwili z nieba lunął deszcz, zimny i intensywny. Skryliśmy się pod gałęziami dębu. Staliśmy w milczeniu przez chwilę, a ja syciłam się jego zapachem, który przywodził mi na wspomnienie słodki marcepan. Zaczęłam mu dziękować za pomoc, a gdy on wciąż milczał, patrząc na mnie wygłodniałym wzrokiem, spytałam, jak się nazywa. „Harold Sallow” – odpowiedział. Czyż nie brzmi to pięknie? Dzisiejszej nocy zasnę z widokiem jego oczu pod powiekami, otulona zapachem słodkiego marcepanu.

23 czerwca 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

zdradzę Ci sekret. Robię wszystko, by na swojej drodze spotkać Harolda. Z tego powodu wybrałam się wczoraj na plażę, wiedząc, że go na niej znajdę. Harold uwielbia spacerować. Jest poetą. Podobno całkiem dobrze rokującym. Ostatnio pozwolił mi przeczytać jeden ze swoich wierszy. To był bardzo smutny wiersz. W ramach rewanżu zaprosiłam go jutro na piknik. Jeszcze dziś muszę upiec szarlotkę. Zauważyłam, że bardzo lubi jabłka.

27 czerwca 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

nie było łatwo wykraść się z domu niezauważoną, w dodatku z dużym koszem piknikowym, ale się udało! Spędziłam całe popołudnie w towarzystwie Harolda. To wspaniały człowiek. Wrażliwy i bardzo inteligentny. Gdy z nim przebywam, wszystko inne nie ma znaczenia.

30 czerwca 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

zrobiłam to! Nocą, gdy rodzice już spali, wymknęłam się z domu i pobiegłam na plażę. Wraz z Haroldem patrzyliśmy w gwiazdy i poznawaliśmy się bliżej. W pewnej chwili złapał mnie za rękę i złożył na dłoni delikatny pocałunek. Przepadłam. Zapraagnęłam więcej, a on mi to dał. Mam wrażenie, że czekałam na niego całe swoje życie. Jakże on potrafi całować!

21 sierpnia 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

przepraszam, że w ostatnim czasie rzadko piszę, ale dzieje się tak wiele. Każdą wolną chwilę spędzam z Haroldem. Ostatnio, podczas festynu, Harold chwycił mnie za rękę i już nie puścił. Całe miasto o nas plotkowało. Tata nie jest z tego powodu zadowolony. Nakazał mi, bym za każdym razem, gdy wychodzę z domu, brała ze sobą młodszą siostrę Eleonor. Wiem, o co mu chodzi. Nie chce, bym zostawała z Haroldem sama. Nie lubi go i nie traktuje poważnie naszego związku. Nie mam zamiaru być mu posłuszna. Mam już dwadzieścia jeden lat i potrafię poradzić sobie w życiu bez pomocy rodziców. Jeśli nie zaakceptują Harolda, odejdę od nich.

Chcę spędzić życie u jego boku.

Wiem, że Harold to jedyny mężczyzna, którego będę potrafiła pokochać.

5 września 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

pękło mi serce! Tata przyłapał nas w chwili, w której nigdy widzieć nas nie powinien. Wściekł się i przegonił Harolda. W nerwach krzyczał okropne rzeczy. Harold zapewniał, że mnie kocha, ale gdy poprosił ojca o moją rękę, tata splunął mu w twarz. Drogi Pamiętniku, chciałabym, by dzisiejszy dzień nigdy nie nadszedł.

12 września 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

wciąż oszukuję ojca. Nadal spotykam się z Haroldem. Ostatnio widzę, jak bardzo przeżywa to, co nas spotkało. Wygląda na coraz bardziej zmęczonego i boję się, że któregoś dnia zrezygnuje ze mnie i z tego, co nas łączy. Nie przeżyję ani jednego dnia bez Harolda. Nie mogłabym.

1 października 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

martwię się. Harold w ostatnim czasie dziwnie się zachowuje. Po moim wypadku, gdy przez nieostrożność wpadłam do studzienki kanalizacyjnej, popadł w obsesję. Bezustannie próbuje mnie uchronić przed kolejnym nieszczęściem. Z początku traktowałam jego zachowanie jako wyraz nadzwyczajnej troski, ale dziś, gdy nie pozwolił mi wskoczyć do łódki, tłumacząc, że fale są zbyt wysokie i niebezpieczne, by żeglować, zaczęłam obawiać się, że on wariuje.

Drogi Pamiętniku, czy można oszaleć z miłości?

Czy Harold popada w paranoję, bo kocha mnie ponad wszystko i zwyczajnie się o mnie martwi?

Chciałabym poznać odpowiedzi na te pytania.

17 października 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

tata nie żyje. Wczoraj, gdy czekał w piekarni pana Backersa na ciepły chleb, po prostu upadł i zmarł. Doktor Storm powiedział, że tata miał słabe serce. Odszedł zbyt szybko. Mama i Eleonor są w rozsypce. Mnie jest nieco łatwiej, bo mam Harolda.

1 listopada 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

Harold w ostatnim czasie stał się bardzo milczący. Nie chce rozmawiać o swojej przeszłości, nie chce też planować ze mną przyszłości. Bezustannie upewnia się, czy nic mi nie grozi. Zawozi mnie na uczelnię i z niej odbiera, zabrania jeździć na rowerze i pływać, ostatnio poprosił, bym nie wychodziła z domu po zmroku. Troszkę sama jestem sobie winna. Nie dalej jak tydzień temu, gdy nieoczekiwanie skończyłam zajęcia wcześniej, przez miasteczko przetaczał się huragan. Przebiegałam przez tory kolejowe w niedozwolonym miejscu, skracając sobie drogę do domu. Potknęłam się i przewróciłam w chwili, w której piorun uderzył w stojący nieopodal skład towarowy. Przez dwa dni byłam zupełnie głucha. Tego dnia Harold z pomocą Eleonor przekazał mi wiadomość spisaną na kartce. Widniało na niej zdanie: „To wszystko moja wina, Rachel”.

Mam dziwne wrażenie, że od teraz nic już nie będzie takie samo.

12 listopada 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

cierpię, ponieważ ból i strach Harolda są moim bólem i strachem. Każdego dnia w jego oczach widzę coraz większy obłęd. Harold mierzy się z czymś, czego ja nie potrafię zrozumieć. Wokół niego dzieją się dziwne rzeczy: wybuchają latarnie uliczne, w domostwach nagle zaczyna brakować prądu, padają zwierzęta, z którymi spędzał czas. Wszystko to jest dziwne. Wczoraj, na wieczornej mszy, stara Rosalia McCanary powiedziała mi, że Harold ma w sobie złe moce, że ktoś mu złorzeczył i że tylko usta, które owo złorzeczenie na świat wydały, mogą je cofnąć.

Drogi Pamiętniku, boję się tego, co może nastąpić...

7 listopada 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

potrzebuję pomocy. Harold w ostatnich dniach strasznie zmizerniał i zaczął mówić od rzeczy. Wciąż powtarza, że z jego powodu cierpią ludzie i że mnie też jest pisane cierpienie. Kocham go całym sercem, ale chwilami tak bardzo mnie przeraża. Nie wiem, co mam robić. U kogo szukać pomocy?

12 listopada 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

dziś Harold ma się znacznie lepiej. Dziś też są jego urodziny. Z tego powodu zorganizowałam dla niego przyjęcie niespodziankę w domu jednej z moich koleżanek. W ostatnim czasie mama patrzy na Harolda znacznie przychylniej, myślę, że w końcu uwierzyła w szczerą intencję.

31 grudnia 1950 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

straciłam wszystko. Przespałam ostatnie sześć tygodni. Nie pamiętam zupełnie nic. Ocknęłam się w szpitalu w wieczór wigilijny. Jenny, koleżanka, która prowadziła auto, gdy jechaliśmy na przyjęcie niespodziankę organizowane z okazji urodzin Harolda, nie miała tyle szczęścia. Odeszła. Harold najpewniej też. Nie widziałam go od chwili, w której zamknęliśmy drzwi auta i ruszyliśmy w stronę domu Jenny.

5 stycznia 1951 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

nadal go nie ma.

Wciąż czekam.

7 marca 1951 roku, Penzance

Drogi Pamiętniku,

czekam.

Zawsze będę czekała.

Utkwiłam wzrok w pamiętniku, dostrzegając fragmenty pożółkłych kartek. Najwyraźniej ktoś wyrwał z niego kilka stron. Czy zrobiła to Rachel? A może pamiętnik wpadł w niepowołane ręce? Jak zakończyła się ta historia? Dlaczego Harold opuścił Rachel? Czy z jego powodu ciotka postanowiła przejść przez życie samotnie? Jedna z łez skapnęła na kartkę, pozostawiając na niej mokrą plamę. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że płaczę. Bałam się. Bałam się zamknąć pamiętnik, bo wiedziałam, że będę musiała zrobić to, na co wciąż nie byłam gotowa. Będę musiała uwierzyć, że Flynn, tak jak jego dziadek, mierzy się z czymś, co jest spoza tego świata, z czymś silniejszym i z czymś kompletnie nam nieznanym. Zamknęłam pamiętnik i wówczas to się stało.

Zegar, który zatrzymał się na godzinie śmierci Rachel, zaczął ponownie odmierzać czas. Starłam się nie popadać w przesadną panikę. Wciąż pociągając nosem, podniosłam go z zamiarem sprawdzenia baterii, wmawiając sobie, że najwyraźniej wcześniej jedna z nich musiała się wysunąć, a gdy dziś wycierałam kurze, docisnęłam ją zupełnie przypadkowo, co zaowocowało uruchomieniem się zegara w tej chwili. Zdawałam sobie sprawę, jak absurdalnie brzmiały moje wytłumaczenia. Skoro ruszył, to znowu zaczął odmierzać czas. Nasuwało się pytanie: do jakiego zdarzenia?

– Co próbujesz mi powiedzieć, Rachel? – wyszeptałam, niemal tracąc rozum. Nagle wszystko wydało mi się po stokroć bardziej przerażające. Znalazłam się w centrum historii, w którą nigdy bym nie uwierzyła, gdybym sama jej nie doświadczyła. Zrozumiałam, jak okropnie musi się czuć Flynn. Jak ciężko było mu żyć ze świadomością, że jest inny niż ludzie, których spotyka każdego dnia na ulicy, jak ogromne wyrzuty sumienia dźwigał na swoich barkach, a mimo to każdego dnia zwlekał się z łóżka, by brnąć przez życie w samotności.

Zdjęłam z wieszaka bluzę, po czym wskoczyłam w trampki, nie zważając na to, że z nieba leje deszcz. Wsunęłam pamiętnik Rachel za pasek dżinsów i biegiem ruszyłam w stronę domu Flynnna. A gdy dotarłam do jego posiadłości, byłam już kompletnie przemoczona i jeszcze bardziej sponiewierana przez myśli, które boleśnie dźgały moje sumienie. Nie uwierzyłam Flynnowi w ani jedno słowo, co więcej, zdiagnozowałam go jako osobę niepczytelną, chorą, i to w chwili, w której odważył się wyznać mi prawdę. Było mi wstyd. Strasznie wstyd.

Stałam na wycieraczce, próbując złapać oddech, gdy drzwi domu otworzyły się i po drugiej stronie dostrzegłam Flynnna. Wyglądał marnie. Miałam wrażenie, że przez ostatnie godziny postarzał się o kilka lat. Stał przede mną z bólem wymalowanym na twarzy, taki bezradny i przerażony, a ja szukałam w głowie słów, którymi mogłabym zmazać swoje winy. Tak, byłam winna. Winna temu, że nie potraktowałam go poważnie, że nie chciałam mu wierzyć. I gdy tak staliśmy na wprost siebie, a deszcz i wiatr przybierały na sile, czyniąc świat jeszcze bardziej niebezpiecznym, on zupełnie pozbawionym radości głosem spytał:

– Przeczytałaś pamiętnik?

Czas się zatrzymał. Dla mnie – bo wiedziałam, że od tej chwili nic już nie będzie takie, jakie było kiedyś – i dla Flynnna, który po raz kolejny zmuszony będzie walczyć o to, by ocalić osobę, która jest dla niego ważna.

– Przepraszam, że ci nie wierzyłam, przepraszam, że zawiodłam cię tak, jak ludzie, którzy każdego dnia przyklejali ci etykiety, przepraszam, że w chwili, w której otworzyłeś przede mną duszę i serce, ja nie potrafiłam uwierzyć w to, co próbowałeś mi przekazać, ale przede wszystkim przepraszam cię dlatego, że z mojego powodu znowu będziesz musiał cierpieć. – Rozplakałam się, a wówczas Flynn przyciągnął mnie do siebie, zamknął w swoich ramionach i kopnięciem zatrasnął drzwi, dzielące nas od piekła, które rozgrywało się na zewnątrz.

– Nie przepraszaj mnie, Olive – powiedział ponad moją głowę. – Jesteś moją siłą, moim przeznaczeniem, długo na ciebie czekałem – dodał z wyraźną ulgą w głosie.

Serce biło mi tak silnie, jakby się do niego rwało, jakby za sprawą słów, które wypowiedział, otrzymało przyzwolenie, by teraz móc go kochać bez obaw o to, co będzie.

– Jak mogę ci pomóc, Flynn? Jak cię ochronić? – spytałam, odsuwając się od niego na długość ramion, chcąc mu spojrzeć w oczy, by odszukać w nich choćby nikłe światło nadziei, że uda nam się z tego wyjść.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie. – Uśmiechnął się smutno i wetknął mi pasemko włosów za ucho. Przymknęłam oczy, bo te słowa bolały.

– Zatem skąd ta pewność, że ja w ogóle mogę ci pomóc? Przecież Rachel nie była w stanie ocalić Harolda. A jeśli historia zatoczy koło, jeśli ja też... – Nie mogłam pozwolić, by słowa, które zrodziły się w mojej głowie, pokonały barierę ust i wydostały się z nich, zdradzając moją obawę. Flynn wyciągnął dłoń i kciukiem obrysował kształt moich ust. Ponownie przymknęłam powieki, chcąc zapisać tę chwilę w pamięci, by móc w przyszłości do niej wracać.

– Wierzę, że pojawiałaś się w moich snach nie bez przyczyny. Wierzę, że Rachel wiedziała, co robi, niejako zmuszając cię do tego, byś została w Horwell. Muszę tylko poskładać elementy układanki w całość, by wszystko nabrało sensu. A do tego czasu... – Zamilkł, następnie zwilżył językiem usta i siłą się na nikły uśmiech, dodał: – Do tego czasu musimy być ostrożni.

Spuściłam wzrok i zatrzymałam go na bliznach, które widniały na jego nadgarstkach.

– To dlatego próbowałeś się zabić? Przez to całe szaleństwo? – wyszeptałam, bojąc się, że gdy wypowiem myśli zbyt głośno, wspomnienie tego dnia ponownie sprawi Flynnowi ból. On natomiast złożył pocałunek na czubku mojej głowy i oparł swoje czoło o moje.

– Chciałem to zrobić, bo byłem słaby. Ale już nie jestem.

– Co cię powstrzymało, Flynn? Dlaczego tego nie zrobiłeś? – Przymknął oczy, a gdy ponownie je otworzył i spojrzał na mnie, wiedziałam, że to, co za chwilę usłyszę, sprawi, że zatrzęsnie się mój świat.

– Bo ona mi na to nie pozwoliła, Olive.

Jego słowa wbiły mi się w serce i wraz z krwią popłynęły do mózgu.

– Rachel? – spytałam niepewnym głosem, a on potaknął głową, nie mówiąc nic. – Skąd wiedziała, że mogę ci pomóc? – Przechyliłam głowę i zadawszy kolejne pytanie, w napięciu wyczekiwałam odpowiedzi.

– Pamiętasz, gdy przyjechałaś w okresie świątecznym do Horwell wraz ze swoim narzeczonym? Widziałem cię wtedy po raz pierwszy. To trwało zaledwie chwilę.

Mijaliśmy się na chodniku, na wysokości piekarni. Spytałaś wówczas Rachel, czy wypiekają w niej chleb z migdałowej mąki i...

– Wtedy poczułam cię po raz pierwszy – dokończyłam, w uszach słysząc słowa ciotki, które wypowiedziała na chwilę przed odejściem: „Tylko ty możesz go ocalić”. – Rachel też czuła migdałowy zapach, gdy spotykała się z Haroldem, a mimo to nie potrafiła zatrzymać go przy sobie, dlaczego?

Flynn wzruszył ramionami i się przygarbił. Atmosfera ponownie stała się przytłaczająca. Obserwowałam, jak pokonany zatapia palce we włosach i siada na sofę.

– Nie wiem, ten fragment układanki jest dla mnie niezrozumiały.

Podeszłam do niego, uklękłam na podłodze i usytuowałam się dokładnie pomiędzy nogami Flynnna. Uśmiechnął się ledwo zauważalnie, a ja miałam wrażenie, że tym prostym gestem rozgonił ciemne chmury, które zebrały się nad naszymi głowami.

– Mam tyle pytań, Flynn – westchnęłam, wciąż prowadząc wewnętrzną walkę z samą sobą. Część mnie wierzyła w każde słowo, które padło z jego ust, ale była też taka część mojej osoby, która wciąż z powątpiewaniem przysłuchiwała się tym wszystkim rewelacjom i nie potrafiła im zawierzyć.

– Odpowiem na każde – wyszeptał, po czym pochylił się i sięgnął moich ust. Złożył na nich delikatny pocałunek, potem jeszcze jeden i kolejny, a gdy byłam pewna, że za chwilę zrzucimy z siebie ubrania i zapomnimy o tym całym szaleństwie, Flynn zamarł z drżącymi wargami przy moich ustach i powiedział: – Jeszcze nigdy nie czułem się tak, jak czuję się, gdy jestem przy tobie: bezpieczny, potrzebny, a przede wszystkim kochany. Nikt nie patrzył na mnie tak, jak ty to robisz. Jeśli miałbym żyć bez ciebie, jeszcze dziś skróciłbym swoje męki. Jesteś moją siłą i szansą na normalne życie. Może to, co powiem, zabrzmii głupio, ale... – urwał i poruszył się nerwowo. – Kochałem cię, na długo zanim pojawiłaś się w Horwell. Czekałem na ciebie, Olive. – Musnął moje usta raz i drugi, by po chwili ściągnąć ze mnie mokre ubranie. Pamiętnik, który skryłam za paskiem spodni, ułożył na stoliku kawowym z należytą ostrożnością. Następnie spojrzał na mnie wzrokiem, w głębi którego skrywała się miłość, i z pomocą dłoni i ust sprawił, że noc, która początkowo wydawała się koszmarem, stała się jedną z najpiękniejszych, jakie dane mi było przeżyć. Była to także noc, podczas której szeptał mi do ucha zaklęcia, mające zaczarować naszą przyszłość. Zaklęcia, które zapisałam w sercu i pamięci i w które wierzyłam całą sobą.

Obudził mnie dotyk palców, delikatnie sunących po moim nagim ramieniu. Chwilę później poczułam na twarzy pierwsze promienie słońca i ciepły oddech Flynnna, gdy złożył delikatny pocałunek na czubku mojego nosa. Wtuliłam się w niego z jeszcze

większą siłą, marząc, by chwile bliskości, które wykradliśmy krnąbrnemu losowi, stały się naszą codziennością. Byłam szczęśliwa i równie mocno przerażona. Jak zakończy się nasza historia? Czy mamy szansę, by wyjść z tego cało?

– Myślę, że tak – odpowiedział Flynn wciąż zaszpanym głosem, a ja zrozumiałam, że wypowiedziałam na głos swoje myśli. – Rachel była przekonana, że w moim życiu zjawi się ktoś, kto będzie moim wybawieniem. Mimo to nigdy, nawet słowem, nie wspomniała, że chodzi o ciebie – mówił, wciąż palcami rysując na mojej skórze esy-floresy.

– Czy ciotka знаła twoją historię? Wiedziała, kim jesteś? – Uniosłam głowę, by móc spojrzeć Flynnowi w oczy.

– Wiedziała, że jestem...

– Wyjątkowy? – Pośpieszyłam mu z pomocą. Nie lubiłam, gdy określał się mianem osoby przeklętej.

– Tak. – Kiwnął głową. – Gdy przeniosłem się do Horwell, już pierwszego wieczoru stanęła w progu mojego domu. Powiedziała mi, że przed laty znała mojego dziadka i że wiedziała, iż ten dom należy do niego. Nie wspomniała jednak, że z Haroldem łączyło ją coś wyjątkowego. Nigdy mi o tym nie mówiła. Teraz, gdy poznałem treść pamiętnika, domyślam się, że kupiła posiadłość w Horwell, bo wciąż wierzyła, że któregoś dnia wróci do niej Harold.

– Trudno mi uwierzyć, że nigdy, choćby słowem, nie wspomniała o twoim dziadku. – Chwyciłam sprężysty lok, który opadł Flynnowi na czoło, i odłożyłam go na bujną czuprynę.

– Nigdy. Próbowwała mi pomóc na wiele sposobów. Raz nawet zaangażowała w sprawę egzorcystę. – Prychnął cichutko pod nosem i uśmiechnął się z sentymentem.

– Nie pomogło?

– Nie pomogło – powtórzył, następnie ujął w palce mój podbródek i przyciągnął mnie do siebie, by móc złożyć pocałunek na moich ustach. – O czym myślisz? – zapytał, gdy w końcu oderwaliśmy się od siebie. – Masz smutne oczy – dodał szeptem.

Ułożyłam głowę na piersi Flynnna i przez chwilę wsłuchiwałam się w dźwięk jego serca.

– Myślę, że Rachel musiała cierpieć. Kochała Harolda, a on ją zostawił i, o zgrozo, związał się z kobietą, która dała mu dziecko. To musiało być dla niej trudne. Mimo to nie przestała o nim myśleć. Mam wrażenie, że wciąż na niego czekała. Czekiła, do ostatniego dnia.

Flynn nabrał do płuc powietrze i wstrzymał je przez dłuższą chwilę, by ostatecznie odetchnąć z głośnym świstem.

– Też o tym myślałem – wyszeptał ponad moją głową, a mnie przeszył dreszcz. Nagle uświadomiłam sobie, że przecież nasza historia może zakończyć się w bardzo podobny sposób. Co, jeśli Flynn postąpi tak, jak Harold? Starłam się oddychać spokojnie, ale nie potrafiłam, nie w momencie, w którym w mojej głowie kołatała świadomość, iż na pewne rzeczy nie będziemy mieli wpływu.

– Olive? – Głos Flynna poniósł się po pokoju i wdarł do mojego wnętrza pomiędzy myśli przesiąknięte strachem. – Nie bój się – powiedział, jakby w nich czytał. – Zawsze znajdę drogę do ciebie. Obiecuję.

Tego ranka poprzysięgam sobie, że nigdy w niego nie zwątpię.

Do końca swoich dni będę wierzyła w łączące nas uczucie.

Do końca...



Rozdział 15

Flynn

Olive stała na ganku z kubkiem gorącej kawy i spoglądała w olchowy las ciągnący się niczym szeroki pas szumiącej zieleni po przeciwnej stronie ulicy. Było jeszcze wczesnie. W ostatnich dniach wstawała skoro świt i właśnie w ten sposób rozpoczynała dzień. Czasami zastanawiałem się, o czym myśli. Czy nadal martwi się tym, co przyniesie los, czy też tak, jak sobie obiecaliśmy, żyła chwilą, starając się nie myśleć o moim przekleństwie. Bywały dni, że ja sam o nim zapomniałem. Przy niej byłem dziwnie spokojny i bezpieczny. Tknięty dobrym przeczuciem wierzyłem, że najgorsze mam już za sobą. Wraz z pojawieniem się Olive w moim życiu uspokoił się także świat, który mnie otaczał. Moje zmysły już nie były wyostrzone na dźwięki. Każdy dzień, który minął bez dramatów i niewyjaśnionych zjawisk, traktowałem jako dobry znak i zapowiedź tego, że kiedyś otuli nas normalność. W uszach wciąż wybrzmiewały mi słowa Rachel: „W odpowiednim momencie zjawi się ta, która przyniesie ze sobą wybawienie”. Założyłem, być może błędnie, że Rachel wiedziała coś, czego ja nie wiem. I to coś pozwoliło jej sądzić, że jeśli związę się z Olive, złorzeczenie straci swą moc. Skoro na świecie istnieli ludzie, którzy byli przekleci, równie dobrze mogli na nim istnieć tacy, którzy emanowali dobrocią, niwelując w ten sposób siłę przekleństwa rzuconego na drugą osobę. Czy właśnie to znajdowało się na wyrwanych stronach pamiętnika? Nie wiem. Wiedziałem natomiast, że każda moja bliższa relacja z drugim człowiekiem lub zwierzęciem sprawiała, że rodził się we mnie

strach. Strach, który z czasem stawał się bólem i cierpieniem, sprawiając, że bezradność dosłownie przyciskała mnie do gleby, niemal dusząc swoją siłą. Tym razem tak nie było.

Stanąłem za nią i otuliłem ją ramionami. Od kilku tygodni nie kryliśmy się ze swoimi uczuciami. Ludzie wsi, jak zwykła nazywać mieszkańców Olive, z czasem przestali posyłać nam ciekawskie wspomnienia, a ich usta w końcu zamilkły. Śmialiśmy się, że nasza relacja dostarczyła im mnóstwo powodów do taniej rozrywki, jaką było sianie plotek. W ciągu dnia Olive pracowała w klinice, a ja skupiłem się na rzeźbiarstwie, rezygnując z prac poza terenem wsi. Wieczory i noce spędzaliśmy razem, ciesząc się sobą i swoim szczęściem. Z każdym dniem stawaliśmy się sobie bliżsi i coraz śmielej spoglądaliśmy w przyszłość. I chociaż nadal byłem wyczulony na wszelkie sygnały zbliżającego się niebezpieczeństwa, Olive starała się mnie uspokajać, wciąż powtarzając, że jeśli będziemy oczekiwali tragedii, to ona wkrótce nastąpi. Bezustannie mawiała, że jest coś takiego jak siła przyciągania i że jeśli chcemy być szczęśliwi, to musimy sobie wizualizować swoje szczęście. Tak też robiliśmy.

– Dzień dobry – powiedziałem wciąż nieco sennie i złożyłem szybki pocałunek na jej szyi.

– Cześć – odpowiedziała, śmiesznie przy tym kuląc ramiona. Uniosła kubek i pozwoliła mi się z niego napić. Robiliśmy tak każdego ranka, mimo że piliśmy zupełnie różne kawy. Ja gustowałem we flat white, Olive natomiast przepadała za americano. Byliśmy różni pod wieloma aspektami i za sprawą tej właśnie odmienności pięknie się uzupełnialiśmy.

– Nad czym dumasz? – spytałem, gdy oddałem kubek i oparłem brodę o czubek jej głowy. Lubiałem zapach włosów Olive. Delikatny, kwiatowy i słodki.

– Hm, nad żurawiami. Bardzo mi ich brakuje. Wcześniej budził mnie ich klangor, teraz wczesnym rankiem słyszę tylko skrzek mew i śpiew rudzika i sikorki modrej. – Zanurzyła usta w napoju.

– Ludzie potrafią być bez serca. Słyszałem, że za wszystkim nie stał Grayson, a Trusthon. Podobno dostał grzywnę w wysokości trzech tysięcy funtów, którą ma wpłacić na konto ośrodka opiekującego się dzikimi ptakami.

– Za niska kara – oceniła ze smutkiem w głosie. – Powinien dostać trzy razy wyższą, tak by nikomu innemu nie przyszło na myśl strzelać do żurawi.

– Farmerzy nie przepadają za żurawiami – powiedziałem, przypominając sobie treść przeczytanego niedawno artykułu. – Pożerają im dojrzewające ziarna zbóż i kukurydzę, czasem owoce, do tego są dość hałaśliwe i...

– Są piękne i zagrożone wymarciem. Ludzie powinni zrozumieć, że nie są na planecie sami. Niszczą naturalne środowiska zwierząt, budując aglomeracje na ich terenach, a potem mają pretensje, że one niszczą ich plony. Człowiek to najbardziej samolubna istota żyjąca na ziemi.

– Trudno się z tobą nie zgodzić.

– Wiesz, gdybym nie miała kliniki, zapewne spróbowałabym stworzyć ośrodek rehabilitacyjny dla dzikich ptaków. Może nawet stworzyłabym coś na kształt azylu? – Wzruszyła ramionami i spojrzała na mnie, uśmiechając się szeroko. – Musiałabym się jeszcze dużo nauczyć, ale to by była bardzo satysfakcjonująca nauka.

– Wciąż możesz to zrobić. Jedno nie wyklucza drugiego. Co więcej, nazwa kliniki nabrałaby sensu. Teraz, gdy żurawi tu nie ma...

– Wiem, powinnam ją zmienić, ale nie chcę – przyznała szczerze, ponownie zatapiając wzrok w olchowym lesie. – Wierzę, że żurawie kiedyś tu wrócą i będą zapowiedzią lepszych czasów. Wówczas nazwa znowu będzie aktualna. I masz rację, Flynn, jedno nie wyklucza drugiego.

– Każde marzenie można zrealizować, Olive. Trzeba tylko mieć do tego odwagę i wiarę w sukces. Jeśli nie spróbujesz, do końca dni będziesz żałowała. Gdy odchodzimy z tego świata, nie żałujemy tego, co zrobiliśmy, wręcz przeciwnie, żałujemy niewykorzystanych szans, niespełnionych marzeń i uczuć, które zamknęliśmy w sobie, nie pozwalając im wydostać się na zewnątrz.

Olive odwróciła się, wciąż pozostając w moich ramionach. Odstawiła kubek na drewnianą balustradę i zarzuciła mi ramiona na szyję. Wspięła się na czubki palców i pocałowała mnie dokładnie w chwili, w której samochód mleczarza zatrzymał się na podjeździe, a do naszych uszu dotarł dźwięk brzdękających butelek.

– Dzień dobry, pani doktor!

Odsunęliśmy się od siebie, wiedząc, że nasz wspólny poranek właśnie dobiegł końca.

– Dzień dobry!

– Będzie miała pani chwilę, by spojrzeć na mojego psa? Zaczął utykać na przednią łapę. – Mleczarz zdjął z głowy czapkę i przetarł dłonią łysinę. – Boję się, że to może być coś poważnego – dodał po chwili, krzywiąc twarz w grymasie.

– Proszę do mnie zajrzeć o czternastej. – Olive nadstawiła mi policzek, na którym złożyłem szybkiego całusa, i życząc jej miłego dnia, zbiegłem po schodkach, aby skierować się w stronę samochodu. W drodze do warsztatu uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy, żegnając się z nią, nie powiedziałem, że powinna na siebie uważać. Traciłem czujność. Z każdym dniem coraz bardziej.

A nie powinienem...

Olive

Ależ byłam podekscytowana! Przeszłowałam z nogi na nogę, nie mogąc się doczekać chwili, w której dwóch monterów opuści klinikę, a ja w końcu stanę się częścią cywilizowanego świata.

– I na pewno wszystko będzie działało? – dopytywałam niczym małe dziecko spragnione zapewnień, że wszystko ułoży się po jego myśli.

– Tak jest, proszę pani. Nowy maszt postawiony w okolicy spełnia swoje zadanie. Jeszcze dziś będzie pani miała sygnał.

Niemal jęknęłam z zachwytu. Internet znacznie ułatwi mi prowadzenie kliniki. W końcu będę mogła robić internetowe zamówienia leków, będę w stanie odczytywać wyniki badań bez konieczności biegania i szukania zasięgu w telefonie lub gnania do miasta za każdym razem, gdy będę musiała wysłać maila. No i będę mogła dzwonić do Memphis, kiedy tylko zapragnę. Od tego zresztą zaczęłam. Gdy monterzy opuścili klinikę, a ja skończyłam zajmować się psem mleczarza, który wyskakując z busa, nadwyrężył staw skokowy, zadzwoniłam do przyjaciółki. Gdy odebrała połączenie video, zmarszczyła brwi i po dłuższej chwili, darując sobie wymianę grzeczności, rzuciła:

– Co się tak szczerzysz, małpo?

– Ha! Zobacz, skąd do ciebie dzwonię! – Odwróciłam kamerę i powolnie prześledziłam obiektywem wewnątrz kliniki.

– Bez jaj! – krzyknęła Memphis, po chwili śmiejąc się w głos.

– Właśnie złapałam sygnał. – Ruszyłam w stronę kuchni z zamiarem zrobienia sobie kawy.

– Stój! – wrzasnęła Memphis, a ja jak na komendę zatrzymałam się w miejscu. – Przełącz kamerę jeszcze raz – zadysponowała.

– Po co?

– Chcę zobaczyć twoją kuchnię. No przełącz, no!

Zrobiłam, o co prosiła, zupełnie nie rozumiejąc jej zachowania.

– Co, u diabła, robi męska, flanelowa koszula, przewieszona przez oparcie krzesła w twojej kuchni? Olive! Mów!

Wywróciłam oczami, śmiejąc się pod nosem. Odwróciłam kamerę i patrząc na Memphis, wzruszyłam ramionami, mówiąc:

– Tak, spałam z nim. Tak, nawet kilkakrotnie. Tak, jesteśmy parą. Tak, można powiedzieć, że mieszkamy razem, i nie, jeszcze mi się nie oświadczył – wyrecytowałam na niemal jednym wydechu.

– O mój Boże! Kiedy zamierzałaś mi o tym powiedzieć? Powinnam strzelić focha!

– Chciałam nabrać pewności, że to coś poważnego, zanim cię o tym poinformuję.

– Aha! Czyli teraz, skoro już o tym rozmawiamy, mam rozumieć, że to dobrze rokujący związek? – dociekała, zbliżając twarz do kamery tak bardzo, że mogłam dostrzec piegi na jej nosie.

– Pracujemy nad tym, Memphis. Każdego dnia. – Odstawiłam telefon na blat, wlałam wody do czajnika i wsypałam kawę do kubka.

– Powinnam skopać ci tyłek za te tajemnice, ale... – Wciągnęła głośno powietrze i pokręciła głową. – Cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

– Obrzydliwie – dodałam po chwili, chichocząc.

– A jak sprawy kliniki?

– Wszystko układa się super.

– Cieszę się. Rozumiem, że Flynn już nie jest taki dziwny? – Uniosła brew, wyczekując odpowiedzi, a mnie szybciej zabiło serce. Do tej pory zawsze byłam z nią szczerą, ale w tej chwili nie mogłam powiedzieć Memphis, że Flynn jest nieszablonowy, i to z zupełnie innego powodu, niż mogłaby zakładać. Z całą pewnością podeszłaby do mojego wyznania równie sceptycznie, jak ja to zrobiłam w chwili, w której Flynn postanowił wyznać mi prawdę.

– Jest wyjątkowy – powiedziałam.

– Jasne! Wszyscy są, dopóki nie zaciągną cię przed ołtarz i nie zrobią z ciebie służącej. – Puściła mi oczko i trzymając w dłoni telefon, starała się założyć buty. – Muszę uciekać. Mam wizytę u stomatologa. Zdzwonimy się wieczorem.

– Rany, jak fajnie to zabrzmiało: zdzwonimy się wieczorem.

Memphis zaśmiała się, posłała mi wirtualnego buziaka i zakończyła połączenie. Zaparzyłam kawę i chwyciwszy kubek i herbatnik, udałam się do kliniki z zamiarem dokonania pierwszych zakupów internetowych na rzecz swoich pacjentów. Gdy zamknęłam laptop, było już późne popołudnie. Wiedziałam, że Flynn zamierzał dziś dłużej popracować, z tego też powodu postanowiłam zajrzeć do Jodie. W ostatnich tygodniach znowu się oddaliśmy. Obawiałam się, że mogło to mieć coś wspólnego z Graysonem. Z coraz większym niepokojem pokonywałam rowerem wyboistą drogę do jej posiadłości, w duchu prosząc los, by Jodie i dziewczynki miały się dobrze.

Powinnam była wcześniej do niej zajrzeć, ale klinika i obecność Flynn'a skutecznie wypełniały każdą moją wolną chwilę.

Zeskoczyłam z roweru, oparłam go o bramę i chwilę później stuknęłam kołatką do drzwi. Wstrzymałam oddech, gdy te zaskrzypiały, a po ich drugiej stronie pojawiła się Jodie. Nie byłam gotowa na to, co zobaczyłam. Całą twarz miała posiniaczoną, a na kości policzkowej widniało spore rozcięcie. Jej prawą rękę aż do wysokości łokcia pokrywał bandaż, na widok którego ogarniający mnie strach dmuchnął chłodnym oddechem wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Cześć... – powiedziała cicho, a z jej spierzchniętych warg popłynęła krew. Odruchowo zakryłam usta dłońmi, chcąc stłumić próbujący wydostać się ze mnie szloch. Zrobiłam dwa kroki w tył i stanęłam na krawędzi schodów, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Straciłam równowagę i upadłam, dotkliwie uderzając tyłkiem o kostkę brukową.

– Olive! – krzyknęła Jodie, a z jej oczu popłynęły łzy.

– Nic mi nie jest – jęknęłam i przerażona jej krzykiem niemal natychmiast stanęłam na nogi. – Zniszczę gnojka, rozumiesz? Zniszczę go za to, że podniósł na ciebie rękę. Tak nie może być. Nie możesz mu na to pozwalać! – krzyczałam, zupełnie nie przejmując się tym, że ktoś mógłby mnie usłyszeć. O takich zbrodniach świat powinien wiedzieć. – Co z dziewczynkami? – spytałam, dłonią rozmasowując obolały pośladek. Wzrok Jodie stał się rozbiegany. Potrzebowała chwili, by zebrać myśli i odpowiedzieć:

– Są u moich rodziców. – Jodie wciąż stała w progu, zaciskając dłoń na klamce. Miałam nieodparte wrażenie, że boi się przekroczyć próg domu, jakby wiedziała, że jeśli to zrobi, ponownie poczuje siłę męskiej ręki.

– Spakuj swoje rzeczy! Wrócę samochodem i zabiorę cię do siebie, dobrze? – powiedziałam, idąc tyłem w stronę bramy, jednocześnie układając w głowie plan.

– Dobrze – odparła cicho, bez emocji, zupełnie nie protestując. Miałam wrażenie, że była dziwnie nieobecna i potulna. Pomyślałam wówczas, że Grayson w swoich poczynaniach przekroczył granicę. Granicę, której naruszenie sprawiło, że Jodie zdecydowała się odejść. Czasami musimy przejść przez piekło, by zrozumieć, że wydostanie się z niego jest naszą ostatnią szansą na przeżycie.

Wskoczyłam na rower i pedałowalam, ile sił w nogach. Gdy dotarłam na farmę Rolandsa, wiedziałam, że przymierzam się do starcia, które z góry przegram. Minęłam Trusthona, który na mój widok splunął na ziemię, posyłając pod moim adresem kilka nieprzychylnych epitetów. Nie zareagowałam na nie. Nie miałam na to czasu. Wpadłam do obory, wzrokiem poszukując Graysona, a gdy go znalazłam, coś we

mnie pękło. Na widok jego spokojnej twarzy i beztronskiego żartowania z jednym z pracowników farmy poczułam złość, która zaczęła we mnie wrzeć. Bez zastanawiania się nad ewentualnymi konsekwencjami doskoczyłam do niego z zamiarem uderzenia go pięścią prosto w twarz. Byłam pod wpływem adrenaliny, wściekła tak bardzo, że nawet nie słyszałam słów, którymi plućam z pogardą w jego stronę. Zamachnęłam się i już miałam wyprowadzić cios, gdy Grayson chwycił moją rękę i boleśnie ją wykręcił. Byłam bezradna.

– Powiem o wszystkim policji. Zapłacisz za to – syknęłam, próbując się wyrwać z jego uścisków. – Damski bokser! – wrzasnęłam, a Grayson z jeszcze większą siłą zacisnął dłoń na moim ramieniu.

– Uspokój się – wycedził mi do ucha, potrząsając mną niczym cienką witką. – Co ty odpierdalasz, Loughy?

– Wiem o wszystkim. Już nigdy więcej nie podniesiesz na nią ręki, rozumiesz?! – wrzasnęłam w chwili, w której wyrósł przede mną roślak mężczyzna w kowbojskim kapeluszu. Zwróciłam uwagę na jego wyjątkowo czyste buty, które wyróżniały się na tle obuwia pozostałych pracowników, i już wiedziałam, kim jest.

– Jakież problemy, O’Larry? – spytał, a zapach dymu nikotynowego wypełnił dzielącą nas przestrzeń.

– Żadnych, szefie.

– Zabierz ją z mojej ziemi – warknął, wciąż trzymając papierosa w ustach, i ruchem głowy wskazał na wyjście. Grayson pchnął mnie, zmuszając do posłuszeństwa. Szedł szybko, a gdy tak pokonywałam wraz z nim kolejne metry, kątem oka dostrzegłam dwie krowy wymagające pomocy. Leżały na posłaniu, nie mogąc utrzymać głów, a z ich nozdrzy i warg ściekał gęsty śluz. Gdy znaleźliśmy się na zewnątrz, O’Larry przycisnął mnie do ściany budynku. Napierał na mnie swoim dużym ciałem, a jego oddech był wzburzony.

– Pojebało cię – syknął. – Prosisz się o kłopoty, Loughy. Ostrzegałem, żebyś nie węszyła – cedził przez zęby. – Zostaw w spokoju moją rodzinę.

– Dlaczego? – Uniosłam dumnie podbródek, chcąc mu pokazać, że się go nie boję, mimo że prawda była zgoła inna. Nogi tak bardzo mi się trzęsły, że z trudem się na nich utrzymywałam. – Jakim trzeba być człowiekiem, by krzywdzić własną rodzinę? – Spuściłam z tonu, licząc, że tymi słowami poruszę jego sumienie.

– Nie wiesz, co mówisz. – Wciąż przytrzymywał mi ręce nad głową. – Nigdy nie skrzywdziłbym Jodie ani dziewczynek. One są dla mnie najważniejsze.

Zaśmiałam się niewesoło, nie wierząc w jego zapewnienia.

– Doprawdy? I w imię miłości wymierzasz im ciosy?

Grayson spuścił głowę i uwolnił z uścisku moje ręce.

– To nie ja – powiedział cicho, ale na tyle głośno, żebym mogła usłyszeć jego słowa. Gdy podniósł głowę i spojrzał mi w oczy, dostrzegłam w nich coś, na co nie byłam gotowa. Na krawędzi jego czarnych rzęs balansowały łzy.

– Nie ty? – powtórzyłam, słysząc, jak absurdalnie to zabrzmiało. – Więc kto jej to robi? Sama się rani?

Stał i patrzył na mnie, niemo poruszając ustami, jakby szukał właściwych słów, które pozwoliłyby mi zrozumieć dramat, z jakim mierzy się Jodie. A gdy ich nie znalazł, przymknął powieki i delikatnie pokiwał głową.

– Grayson – powiedziałam cicho, czując, jak nienawiść, którą jeszcze przed chwilą do niego żywiłam, zastępuje współczucie. – Możesz mi o wszystkim opowiedzieć. Postaram się wam pomóc najlepiej, jak potrafię – przekonywałam, w myślach karząc się za swoją pochopność.

O’Larry, zapewne z bezsilności, uderzył pięścią w ścianę tuż obok mojej głowy. Krzyknęłam przerażona.

– Jodie ma problem z autoagresją – wyznał pokonany, zagryzając zęby na pięści, którą chwilę wcześniej wyprowadził cios. – To dlatego dziewczynki często wyjeżdżają do teściów. Chcę im tego oszczędzić. Widoku matki z siniakami, śladami ugryzień na rękach i głębokimi skaleczeniami. Nie potrafię jej pomóc, Loughy, nie wiem jak. Byłem z nią u wielu specjalistów, ale leczenie w ramach NHS* ogranicza się jedynie do faszzerowania Jodie tabletkami, a wówczas... ona nie jest sobą. – Patrzył na mnie, chyba tracąc nadzieję w to, że mu uwierzę. Krwawiłam od środka. Świadomość, z jakim bólem i bezsilnością oboje się mierzą, sprawiła, że zrodziło się we mnie uczucie bezgranicznej wściekłości. Chciałam im pomóc. Chciałam zrobić coś, co spowoduje, że Jodie na powrót stanie się tą samą radosną dziewczyną, którą była w czasach, gdy byliśmy nastolatkami. Współczułam Graysonowi, nie potrafiąc sobie wyobrazić, jak ciężko musi mu być ze świadomością, że niewiele może zrobić.

– Oprócz autoagresji u Jodie zdiagnozowano schizofrenię paranoidalną. W ostatnim czasie wystąpiły u niej halucynacje słuchowe, nieraz węchowe. Znalazłem ośrodek, który być może pomógłby jej wyjść na prostą, pod opieką którego mogłaby w miarę normalnie funkcjonować, ale... – urwał. Nie musiał kończyć. Wiedziałam, o co chodzi.

– Nie jest refundowany.

Znowu spuścił głowę. Przetarł dłońmi twarz i zacisnął palce na nasadzie nosa, chcąc zapanować nad łzami.

– Pracuję po szesnaście godzin przez siedem dni w tygodniu, a to i tak nie wystarczy. Sprzedałem wszystko, co miałem. Pozostał nam jedynie dom. Wczoraj oddałem go w ręce agenta nieruchomości – wyznał drżącym głosem. – To nasza ostatnia szansa, by pozyskać fundusze.

– Tak mi przykro, Grayson. Nie miałam pojęcia. – Objęłam go ramionami i przyciągnęłam do siebie, a on zapłakał gorzko, mimo iż starał się zdusić łzy. – Gdybym mogła wam jakoś pomóc...

– Już to zrobiłaś. – Odsunął się ode mnie. – Odkąd wróciłaś do Horwell, Jodie częściej się uśmiecha. Nie odtrącaj jej, Olive, proszę, traktuj ją tak, jak robiłaś to do tej pory. To jej pomaga.

– Dobrze – zgodziłam się. – Gdy zapukałam do drzwi waszego domu, otworzyła mi Jodie. Czy jest sama?

– Nie – zaprzeczył. – Jest z nią moja mama. Czasami pilnuje jej moja siostra, a są dni, w których Jodie świetnie radzi sobie bez niczyjej pomocy.

– Rozumiem. Jestem ci winna przeprosiny i...

– Zapomnijmy o tym. – Machnął ręką, zbywając temat. – Po prostu zachowaj to, co powiedziałem, dla swojej wiadomości, okej? – Grayson zrobił dwa kroki do tyłu z zamiarem odejścia.

– Słuchaj – zatrzymałam go jeszcze. – A te krowy, które wymagają pomocy? – Ruchem głowy wskazałam na wejście do obory. – Może mogłabym się wam przydać?

– Nic nie widziałaś, Olive – powiedział stanowczo, kręcąc przy tym głową. Wsunął rękę do kieszeni i nim odszedł, powtórzył: – Nic nie widziałaś.

.....
* National Health Service – służba zdrowia w Wielkiej Brytanii, finansowana ze środków publicznych.



Rozdział 16

Flynn

– Nigdy mnie nie dogonisz, Flynn! Nigdy! – Zerwałem się w środku nocy, zlany potem. W uszach wciąż słyszałem głos Ervina. Oddychałem ciężko, niemal spazmatycznie, w myślach powtarzając, że to tylko dotyk przeszłości, który przestał parzyć z chwilą wyrwania się z sennych wspomnień.

– Flynn? Kochanie, wszystko w porządku? – Olive zapaliła nocną lampkę i spojrzała na mnie z zafrasowanym wyrazem twarzy. – To tylko zły sen. – Położyła ciepłą dłoń na moim ramieniu.

– Tak – przyznałem. – To tylko zły sen.

– Przytul się do mnie – powiedziała i zachęcająco rozłożyła ramiona.

– Jestem zlany potem, powinien wziąć prysznic – mruknąłem, zrzucając z siebie kołdrę.

– Najpierw pozwól mi się przytulić. – Uśmiechnęła się kusząco i pociągnęła mnie za rękę. Opadłem tuż obok niej, słysząc, jak głośno bije moje serce. Tuląc Olive, utkwilem wzrok w stojącej na nocnej szafce fotografii Harolda. Odniosłem wrażenie, że zarówno dziadek, jak i Ervin próbują mi coś powiedzieć. Poczulem lęk, ten sam, z którym mierzyłem się na krótko przed tym, zanim zdecydowałem się wpuścić Olive do swojego życia. Lęk, że najgorsze wciąż przede mną. I świadomość bezsilności, która rwała mnie na kawałki.

Spienione morskie fale z łoskotem rozbijały się o brzeg, skutecznie zagłuszając skrzek mew unoszący się w powietrzu. Słońce przyjemnie pieściło nasze twarze, gdy siedząc na plaży, nieśmiało syciliśmy się szczęściem, niejako danym nam na kredyt. Od dłuższego czasu nosiłem w sobie dziwne przeczucie, że nic nie jest nam ofiarowane na zawsze, że chwile spokoju są tylko preludium do koszmaru, który już wkrótce wyciągnie po nas swoje szpony. W ostatnich dniach byłem dziwnie poddenerwowany. W snach, niemal każdej nocy, nawiedzał mnie Erwin. Widziałem go roześmianego, gdy pedałowal zaciekle na chwilę przed tym, jak spadł z klifu. Nocą, będąc w letargu, spotykałem również dziadka, mimo że nigdy nie widziałem go na żywo. Spoglądał na mnie w skupieniu, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Za każdym razem, gdy próbowałem się do niego zbliżyć, odwracał się i znikał niczym ostatnie minuty nocy tuż przed wschodem słońca. Nie miałem okazji poznać człowieka, z którym łączyły mnie więzy krwi, tak samo jak nigdy nie poznałem biologicznego ojca. Nawet nie wiedziałem, czy wciąż żyje. Mogłem być pewien tylko tego, że był taki, jak ja i Harold. W przeciwnym razie szukałby ze mną kontaktu – łudziłem się, może nieco naiwnie. Chciałem wierzyć, że opuścił matkę, bo wiedział, że życie u jego boku może zesłać na nią niebezpieczeństwo. I tak właśnie się stało. Mama zginęła przez niego.

– Co cię trapi? W ostatnim czasie jesteś myślami daleko stąd. – Olive, leżąc z głową na moich kolanach, utworzyła z dłoni daszek, chcąc ochronić oczy przed słońcem. Wyglądała pięknie z policzkami muśniętymi ciepłym latem i z piegami, które pojawiły się na jej nosie.

– Powinienem tam pojechać – rzuciłem i zatopiłem wzrok w bezkresie lazururowej wody.

– Dokąd? – spytała, następnie podparła się na ramieniu i usiadła tak, by móc mi spojrzeć w oczy. Wiatr rozwiął jej włosy, mieszając ich zapach z wonią morskiej bryzy.

– Do Penzance – wyjaśniłem, widząc, jak jej oczy powiększają się z zaskoczenia. Nigdy wcześniej nie poruszaliśmy tego tematu. Jeszcze wczoraj nawet o tym nie myślałem, ale z jakiegoś niewiadomego powodu obudziłem się dziś rano z myślą, że powinienem się tam udać.

– Do Penzance? – powtórzyła z pewną dozą lęku w głosie. – I co chcesz tam robić? – Skrzyżowała nogi, a ja zatrzymałem wzrok na drobinkach złocistego piasku, który przykleił się do jej skóry, skrząc się w promieniach słońca.

– Odnaleźć ludzi, którzy być może znali mojego dziadka. Popytam. Poszukam. Może dowiem się czegoś, co pomoże mi zrozumieć to, co w tej chwili jest dla mnie niezrozumiałe.

– Po co, Flynn? Przecież nic strasznego się nie dzieje. Może lepiej nie szukać odpowiedzi, nie grzebać w tym wszystkim – mówiła z przejęciem. – Obiecaliśmy sobie, że nie będziemy żyli przeszłością.

Spuściłem głowę. Miała rację, właśnie tak się umawialiśmy, tylko że ja czułem całym sobą, że już niedługo bezpieczna bańka, w której się zamknęliśmy, pęknie, a ścigające mnie demony dostaną to, czego pragną – dusze ludzi, których kocham.

– Próbowałem żyć tak, jakby szaleństwo, z którym mierzyłem się od dziecka, w ogóle nie istniało. Próbowałem myśleć pozytywnie, wierzyć w siłę przyciągania dobrych rzeczy, ale z każdym wschodem słońca kocham cię jeszcze mocniej. To mnie przeraża, Olive. Myśl, że stałaś się najważniejszą osobą w moim życiu, sprawia, że paraliżuje mnie lęk. Lęk przed tym, że mogę cię stracić. Boję się tego, bo tylko jedna rzecz mogłaby sprawić, że nie będę w stanie zaczerpnąć kolejnego oddechu. Gdybym cię stracił...

– Nie stracisz – przerwała mi w połowie zdania. – Zawsze będę twoja. Nie ma na tym świecie siły, która mogłaby nas rozdzielić. Myślę, że brakującym elementem tej jakże chorej układanki jest właśnie nasza wiara w to, że razem jesteśmy nie do pokonania. Twoje sny, w których odwiedzałam cię, na długo zanim stanęliśmy na swojej drodze, to, jak bardzo jestem wyczulona na twój zapach, muszą być tego dowodem. Powinniśmy odpuścić, poczekać i zobaczyć, co przyniesie nam los.

– Powinniśmy być krok przed siłami, z którymi się mierzymy – powiedziałem i zakręciłem na palcu kosmyk jej włosów. – Muszę tam pojechać. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by nie narazić cię na niebezpieczeństwo.

– Ale ja jestem bezpieczna, Flynn. – Spojrzała na mnie spod wytuszowanych rzęs. – Gdy jestem obok ciebie, nic mi nie grozi. Jeśli coś miałoby się stać, już by się stało. Każdego dnia mogłabym wpaść pod samochód, zakrztusić się podczas posiłku, dostać zawału serca w młodym wieku. – Parsknęła pod nosem i pokręciła głową. – A jednak nic takiego się nie wydarzyło. Wiesz dlaczego? Bo jesteśmy sobie pisani. Jestem twoim antidotum. – Uśmiechnęła się ledwo zauważalnie, a ja zastanawiałem się, jak bardzo wierzy w to, co powiedziała. – Rachel o tym wiedziała, a ja jej ufam – dodała nieco ciszej.

Przyciągnąłem Olive do siebie i zamknąłem ją w ramionach, analizując w myślach wypowiedziane przez nią słowa. W ostatnich tygodniach świat wokół mnie był spokojny i normalny, nie działo się nic, co mogłoby mnie zaniepokoić. Nic, oprócz snów, które nawiedzały mnie nocami. Powinienem zatem być dobrej myśli, tylko wciąż miałem świadomość, że przed największym sztormem morze zawsze jest wyjątkowo spokojne...

Olive

Obserwowałam Flynna, jak wrzuca na fotel pasażera niewielką torbę sportową. Minioną noc spędziliśmy na rozmowie odnośnie do jego podróży do Penzance. Staralam się wybić mu ten pomysł z głowy, ale Flynn potrafił być uparty, a mnie w końcu zabrakło argumentów, by tkwić przy swoich racjach. Sceptycznie podchodziłam do jego wyjazdu. Nie bardzo wierzyłam w to, by udało mu się znaleźć ludzi, którzy pamiętali Harolda. Wciąż powtarzałam, że sąsiedzi jego dziadka będą w bardzo podeszłym wieku i jeśli nawet uda mu się odszukać kogoś, kto miał kontakt z Haroldem, to pamięć dziewięćdziesięciolatków bywa zawodna. Odpowiedział mi wówczas, że przez życie trzeba kroczyć w zgodzie ze swoim głosem wewnętrznym, a jego głos mówi mu, że powinien tam pojechać. Co mogłam zrobić wobec takich słów? Nic. Absolutnie nic. Wiedziałam, że jeśli zostanę w Horwell, najpewniej zwariuję z nerwów. Z tego powodu postanowiłam, że długi weekend będzie idealnym czasem, by w końcu zamknąć przeszłość raz na zawsze, a jeśli dopisze mi szczęście, być może przy okazji będę mogła pomóc Jodie.

– Obiecuj mi, że będziesz ostrożna. Uważaj na autostradzie. Miej oczy dookoła głowy i...

– Ty też – weszłam mu w zdanie i zarzuciłam ramiona na szyję Flynna, by móc złożyć soczysty pocałunek na jego wargach. – Zamierzam dojechać do Bristolu bez najmniejszych problemów, spędzić długi weekend z Memphis i wrócić do ciebie cała i zdrowa. – Uśmiechnął się tak szeroko, że wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. – Liczę, że trochę za mną zatęsknisz – powiedziałam i palcem wskazującym delikatnie dźgnęłam Flynna w pierś, posyłając mu nieco zaczepne spojrzenie.

– Jestem tego pewien.

– W takim razie do zobaczenia za dwa dni. – Wspięłam się na czubki palców i zagarnęłam jego usta swoimi wargami. Flynn odwzajemnił mój pocałunek, następnie zamknął mnie w ramionach na dłuższą chwilę. Każdy jego mięsień był spięty, jakby szykował się do walki. A gdy w końcu się od siebie oderwaliśmy, wsiedliśmy do samochodów i pojechaliśmy w przeciwnych stronach. Wówczas nie podejrzewałam, że to, co się wkrótce wydarzy, zmieni życie moje, Flynna i kogoś, kto będzie dla nas ważny.

Memphis zbyt energicznie mieszała łyżeczką w swoim latte. Posłała mi krótkie spojrzenie, najpierw jedno, zaraz po nim następne i gdy już nie mogła dłużej trzymać języka za zębami, pokręciła głową i westchnęła ciężko.

– Nie wiem, czy to dobre rozwiązanie. To sporo pieniędzy, Olive. Na pewno przekalkulowałaś to sobie na spokojnie? Rozumiem, że chcesz pomóc Jodie, to bardzo szlachetne, ale pomagając jej, wyświadczysz również przysługę Martinowi, a on na to nie zasłużył.

– Wiem, ale to jedyne rozwiązanie, jakie przyszło mi do głowy. Nie potrafię być obojętna na chorobę Jodie. – Wzruszyłam ramionami, wiedząc, że Memphis to zrozumie. Może nie dzisiaj ani jutro, ale z czasem nabierze przekonania do mojego pomysłu. – Gdybyś widziała to, co ja zobaczyłam... – urwałam, a palce przyjaciółki zacisnęły się na mojej dłoni. – Ona ma dwie małe córeczki i męża, który zrobiłby wszystko, by jej pomóc, ale jest po prostu bezsilny i sam nie poradzi sobie z tym, co przyszykował dla nich los.

– Posłuchaj, nie oceniam cię, nie namawiam również do zmiany decyzji. – Memphis jeszcze mocniej zacisnęła palce na mojej dłoni. – Jeśli możesz sobie na to pozwolić, to zrób to, co podpowiada ci serce. – Uśmiechnęła się tak szeroko, że miałam wrażenie, iż wnętrze kawiarni wypełnił jej wewnętrzny blask. – Zawsze starałaś się pomagać ludziom. Kiedyś to wszystko do ciebie wróci, a wówczas będziesz bardzo szczęśliwym człowiekiem. – Puściła mi oczko i zanurzyła usta w karmelowym latte, mrużąc przy tym z rozkoszy. – Boska ta kawa.

– Zawsze mogę na ciebie liczyć. Dziękuję. – Odłożyłam trzymaną w dłoni łyżeczkę na talerzyk i ziewnęłam zmęczona długą podróżą i minioną nocą, którą spędziłam na rozmowie z Flynnem.

– Powinnaś odpocząć, Olive. Słabo wyglądasz.

– Odpocznę, jak tylko załatwię to, po co tu przyjechałam.

– Chcesz, żebym poszła z tobą? – spytała całkiem poważnie.

– Nie, dziękuję. Jestem pewna, że sama sobie poradzę. To nie będzie długie spotkanie. Nie sądzę, żeby Martin chciał wracać do tego, co nas kiedyś łączyło.

Z tym przekonaniem, dwie godziny później, przekroczyłam próg kliniki, w której pracował Martin. Czułam się odrobinę nieswojo na widok znajomych ludzi, którzy nie potrafili ukryć swojego zaskoczenia, gdy mijali mnie na korytarzu. Przykleiłam uśmiech do twarzy, honor i dumę schowałam głęboko w kieszeni spodni i pewna siebie zastukałam w drzwi, gdy znalazłam się pod odpowiednim gabinetem. Martin poprosił, żebym weszła, a gdy to robiłam, podniósł się z fotela i okrążywszy biurko, stanął naprzeciwko mnie. Przez chwilę się wahał, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, a gdy nadstawiłam mu policzek, chcąc zachować chociażby pozory normalności, cmoknął mnie i wprost w moje ucho wyszeptał słowa powitania.

– Też się cieszę, że cię widzę – skłamałam, siadając w fotelu, który wskazał mi ręką.

– Długo kazałaś mi na siebie czekać – rzucił bez pardonu i zajął miejsce za biurkiem. Dobrze wyglądał w białym fartuchu i nienagannie wyprasowanej koszuli. Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy teraz prasowaniem jego odzieży zajmuje się lafirynda z dużymi cyckami, czy może pralnia. Szybko jednak odsunęłam od siebie tę myśl i najpierw posłałam mu szeroki uśmiech, a następnie przystąpiłam do negocjacji.

– Przyszłam do ciebie z propozycją.

– Z propozycją? – powtórzył niczym echo, oparł plecy o fotel i delikatnie odgiął się w nim do tyłu.

– Dokładnie tak. I jestem pewna, że na nią przystaniesz. – Sięgnęłam po karafkę i pod czujnym spojrzeniem Martina nalałam sobie wody do szklanki, po czym upiłam z niej kilka łyków. Jego zapach wypełniał cały gabinet i pomyślałam, że kiedyś kojarzył mi się z poczuciem bezpieczeństwa, natomiast dziś przyprawiał mnie jedynie o ból głowy.

– Byłem przekonany, że będziemy rozmawiać o naszym domu i o podziale majątku, który razem zgromadziliśmy przez lata, a nie o...

– Tak, właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać.

Martin w zadumaniu pokiwał głową, następnie nachylił się nad biurkiem i oparł na nim przedramiona, po czym palcami zaczął nerwowo wystukiwać rytm. Zauważyłam, że posiwały mu skronie, a wesołe oczy, które zawsze były jego wizytówką, dziś wydawały się poważne i zmęczone. I nie powiem, poczułam dziwną satysfakcję. Najwyraźniej życie Martina nie było tak kolorowe, jak by chciał. Co więcej, nie miało nic wspólnego ze mną, z osobą, która, jak to sam określił, nie pozwalała mu się rozwijać i zawsze ściągała go w dół. Cisnęło mi się na usta, by mu powiedzieć, że mimo naszego rozstania nie poszybował jakoś szczególnie wysoko, ale w ostatniej chwili postanowiłam ugryźć się w język.



Stałem na ulicy Oxford, pod drzwiami, które widniały na fotografii przedstawiającej Harolda. Tabliczka z nazwą ulicy, wisząca w połowie odległości pomiędzy nimi

a oknem, była nadgryziona przez upływający czas, ale wciąż stanowiła tę samą tabliczkę, która w 1950 roku była umieszczona na ścianie budynku. Poczuję dziwną energię. Świadomość, że stoję przed domem człowieka, który był taki jak ja, sprawiła, że zaczęły pocić mi się dłonie. Nie chcąc przedłużyć tego, co nieuniknione, zastukałem w drzwi kołatką, łudząc się, że po ich drugiej stronie pojawi się ktoś w sędziwym wieku, kto doskonale pamięta Harolda. Moje myślenie okazało się myśleniem życzeniowym. Przeszył mnie ból rozczarowania, gdy ukazała mi się kobieta znacznie młodsza ode mnie.

– Dzień dobry, przepraszam, że panią niepokoję, ale szukam kogoś, kto lata temu mieszkał w tym domu. Nazywam się Flynn Sallow i tak się składa, że mój dziadek, Harold, był właścicielem tego budynku w 1951 roku. Niestety, z przyczyn ode mnie niezależnych, nasza rodzina straciła z nim kontakt. Z tego powodu szukam ludzi, którzy być może znali mojego dziadka i...

– Chwileczkę. – Kobieta uniosła rękę, dając mi do zrozumienia, żebym poczekał. – Mamo! Chodź tu, proszę! – krzyknęła, po czym spojrzała na mnie i wyjaśniła: – To dom moich rodziców. Może mama będzie potrafiła panu pomóc.

– Rozumiem. Dziękuję. – Skłoniłem głowę w chwili, w której za plecami młodej kobiety dostrzegłem jej matkę. Przedstawiłem się i ponownie wyjaśniłem powód swojej obecności, przekazując w ręce kobiety zdjęcie Harolda. Liczyłem na to, że będzie potrafiła mi pomóc. Przez chwilę w skupieniu przyglądała się fotografii, a następnie spojrzała na mnie, wciąż nie przestając marszczyć brwi.

– Kojarzę to nazwisko. Moi rodzice kupili ten dom od twojego dziadka. Co prawda nigdy się nie spotkali, bo wszelkie formalności odbyły się za pośrednictwem agencji mieszkaniowej, ale... – urwała niespodziewanie, a ja odniosłem wrażenie, że przeszukuje swoją pamięć, starając się wyłuskać z niej to, co istotne.

– Czy wie pani, dokąd przeniósł się mój dziadek? – Nerwowo przestępowałem z nogi na nogę, wyczekując odpowiedzi.

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale jest ktoś, kto być może będzie to pamiętał. – W kapciach wyszła z domu, stanęła na chodniku tuż obok mnie i przerzuciwszy przez ramię kuchenną ścierkę, poprosiła, bym udał się z nią na drugą stronę ulicy. Załedwie chwilę później zastukała w drewniane drzwi, na których widniały resztki czerwonej farby.

– Irene! Dobrze, że nie śpisz. – Tymi słowami powitała starszą kobietę wspierającą się na chodziku, po czym, nie czekając na odpowiedź, wkroczyła do jej mieszkania i ruchem ręki zaprosiła mnie, bym do niej dołączył. Posłuchałem, chociaż miałem wewnętrzne opory przed poczynieniem kroków. – Irene, pamiętasz Harolda? No

wiesz, tego dziwaka, którego znał Rupert? – spytała, po czym spojrzała na mnie i wyjaśniła: – Rupert to mąż Irene.

Kiwnąłem głową na znak, że zrozumiałem.

– Hę? – wydusiła z siebie starsza kobieta. Sądząc po jej wyglądzie, wiekiem mogła dobijać do setki. Miała białe włosy upięte na czubku głowy i okulary tak grube, że bliżej im było do denek słoika. Na szczerpych dłoniach widniały plamy wątrobowe, a jej cienkie usta były już niemal całkowicie pozbawione pigmentu.

– Rupert miał przyjaciela, dziwaka czy też poetę. – Machnęła ręką, by po chwili kontynuować: – Pamiętasz? Moi rodzice kupili od niego dom, gdy wyjechał z Penzance. Twój mąż wspomniał kiedyś, że Harold opuścił miasto w pośpiechu, a on mu wysyłał jego bagaże. Pamiętasz dokąd?

Wstrzymałem oddech.

– Ten młodzieniec to wnuk Harolda. – Wskazała na mnie ręką, za którą poszedł wzrok Irene, a ja niemal dygnąłem z przejęcia.

– O, dzień dobry – powiedziała kobieta, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z mojej obecności.

– Dzień dobry – odpowiedziałem i zbliżyłem się do niej, sądząc, że może mieć problemy ze wzrokiem.

– Irene, dokąd Rupert nadał bagaże Harolda? No skup się, dziewczyno. – Młodsza kobieta położyła dłonie na biodrach i postukiwała nerwowo nogą, jak ktoś, kto zaczął tracić cierpliwość.

– Rupert wysyłał bagaże? – spytała, najpewniej niewiele rozumiejąc z naszej obecności. – Nie doszły? Szkoda... – zakończyła ze smutkiem.

Zrozumiałem, że od Irene niewiele się dowiemy. Nie było na to szans. Jej wiek i wewnętrzne splątanie stanęło nam na przeszkodzie.

– Nie, nie, dziewczyno, bagaż doszedł, nie wiemy tylko dokąd – tłumaczyła kobieta, próbując przebić się do świadomości Irene.

– Proszę jej dać spokój. – Spojrzałem na młodszą kobietę i wymownie pokręciłem głową. – Nic tu po nas. To było tak dawno.

– Czasami miewa lepsze dni, ale dzisiejszy do nich nie należy.

– Rupert zawsze nadawał bagaże pocztą królewską, nigdy ich nie gubił – odezwała się Irene, wciąż wyglądając na zasmuconą.

– Wątpię, żeby na poczcie mieli rejestr przesyłek z 1950 roku – oceniłem, wykrzywiając usta.

– Rupert zbierał notki rejestracyjne i chował je w pudełku po ciasteczkach maślanych – zachichotała Irene, a jej śmiech po chwili zmienił się w kaszel

długoletniej palaczki. Spojrzałem na młodszą kobietę i nim zdążyłem się odezwać, ona spytała:

– A gdzie masz pudełko po ciasteczkach maślanych, dziewczyno?

– Pewnie tam, gdzie zawsze – odparła i z pomocą chodzika ruszyła w głąb korytarza.

– Czyli gdzie? – dociekałem.

Irene przystanęła, spojrzała na mnie przez ramię i ze szczerością wyznała:

– Nie pamiętam.

Dwie godziny – tyle czasu zajęło nam odszukanie pudełka po ciasteczkach maślanych, które Irene trzymała w skrzyni podwójnego łóżka w swojej sypialni. Gdy w końcu na nie natrafiliśmy, kobiecina roześmiała się, po czym wyznała: „Że też na to nie wpadłam, trzymam tu wszystkie ważne dokumenty”. Pośród licznych notek rejestracyjnych, wszelkich pokwitowań, a nawet starych telegramów znaleźliśmy poświadczenie nadania paczki do Burnham-on-Sea, zaadresowane na Harolda Sallowa. Zaledwie kwadrans później pędziłem autostradą w stronę nadmorskiej miejscowości, ponownie licząc na to, że uda mi się trafić na ludzi, którzy znali mojego dziadka. Byłem zmęczony. Miałem za sobą ponadczterogodziną jazdę, którą zawdzięczałem licznym korkom na autostradzie, przed sobą zaś perspektywę kolejnych dwóch godzin spędzonych za kierownicą. Mimo to całym sobą czułem, że postępuję właściwie.

Gdy dotarłem pod wskazany adres, z nieba lał się deszcz. Porywisty wiatr ściągał ludziom z głów kaptury, targając bezlitośnie ich włosy. Wyskoczyłem z auta, które pozostawiłem zaparkowane na ulicy, i trzymając w kieszeni bluzy dłoń zaciśniętą na zdjęciu Harolda i pokwitowaniu nadanej do niego paczki, zastukałem w drzwi starego, wiktoriańskiego budynku. Moim oczom ukazał się mężczyzna lekko przygarbiony i wąły. W myślach oceniłem, że mógł dobiegać osiemdziesiątki. Zaskoczony moim pojawieniem się, cierpliwie wysłuchał, co miałem mu do powiedzenia, a gdy zamilkłem, w napięciu wyczekując jego słów, powiedział:

– Pański dziadek był znajomym moich rodziców. Z całą pewnością opowiedzieliby panu o nim więcej, ale dwa lata temu oboje zginęli w wypadku komunikacyjnym. Ja z kolei kilka miesięcy temu straciłem żonę, sprzedałem nasz dom i wróciłem na stare śmieci – tłumaczył cierpliwie niskim, umęczonym przez życie głosem.

– Bardzo panu współczuję. – Zaczesałem włosy do tyłu, nie robiąc sobie nic z deszczu, który spływał po moim czole. – Czy ktoś z sąsiadów może pamiętać dziadka? Orientuje się pan, do których drzwi mógłbym zapukać? – spytałem, rozglądając się na boki.

– A dlaczego chce pan pukać do drzwi? – Wykonał ruch przeżuwania, jakby coś miał w ustach.

Zdębiałem. Pomyślałem, że ponownie trafiłem na człowieka, któremu starość odebrała nie tylko wspomnienia, ale przede wszystkim świadomość. Olive miała rację. Ułynęło zbyt wiele czasu, by szukać ludzi, którzy mogliby znać Harolda.

– Po prostu łudziłem się, że trafię na kogoś, kto mógłby mi opowiedzieć o człowieku, którego nie miałem okazji poznać. – Wzruszyłem ramionami i ponownie przetarłem twarz dłońmi. Zrozumiałem, jak niedorzecznie to zabrzmiało.

– A dlaczego nie zapytać u źródła? – Spojrzał na mnie nic nierozumiejącym wzrokiem.

Zaśmiałem się cicho i palcami ścisnąłem nasadę nosa, chcąc w ten sposób zapanować nad emocjami i bólem głowy, który przybierał na sile. Najpierw natrafiłem na kobietę z demencją, teraz na mężczyznę, który za chwilę zaproponuje mi seans spirytystyczny.

– Ciężko rozmawia się z umarłymi – odpowiedziałem najdelikatniej, jak potrafiłem, kierując się tym, by nie urazić mężczyzny. Deszcz przybrał na sile. Miałem już przemoczone nie tylko spodnie, ale również buty. Bez sensu było stać na dworze i kontynuować tę rozmowę.

– Pański dziadek zmarł? O, bardzo mi przykro. Nie miałem pojęcia. Kiedy to się stało? – zapytał.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami, szeroko przy tym rozkładając ręce.

– To dlaczego zakłada pan, że nie żyje? – dociekał.

Zaśmiałem się cicho i niewesoło, dokładnie tak, jak śmieje się człowiek zupełnie bezradny.

– Bo gdyby żył, miałby dziś sto trzy lata – powiedziałem bardziej do siebie niż do mężczyzny.

– Mój tata w chwili śmierci miał równe sto lat. Zginął wraz z mamą pod kołami autobusu miejskiego, gdy wracał z Domu Szczęśliwego Seniora w Exmouth.

– Bardzo mi przykro – rzuciłem, robiąc kilka kroków w tył, z zamiarem szybkiego pożegnania się i udania w kierunku samochodu. A gdy w końcu odważyłem się, by zostawić za sobą przeszłość, pogodzić się z tym, że już nic nie mogę zrobić, że przyjazd tu był błędem, z ust mężczyzny padły słowa:

– Nie spyta pan, kogo odwiedzali w Domu Szczęśliwego Seniora?



Rozdział 17

Flynn

Po wyjściu od pana Hackinsa wynająłem pokój w pierwszym hotelu, jaki napotkałem na swojej drodze, i noc upłynęła mi na intensywnych analizach i rozważaniach. A jeśli Harold faktycznie żyje? Jeśli nawiedzał mnie w snach właśnie po to, by zmusić mnie do tej podróży? W jakim jest stanie psychicznym i czy moje spotkanie z nim nie będzie początkiem przykrych konsekwencji? A może wręcz przeciwnie? Może nasze spotkanie zatrzyma bieg wydarzeń? Może gdy staną naprzeciw siebie dwaj mężczyźni naznaczeni tym samym przekleństwem, ale bez obecności człowieka, który był łączącym ich ogniwem, w tym przypadku był również moim ojcem, wszystko wróci do normalności?

– Flynn, to nie brzmi racjonalnie. Nawet nie masz pewności, że on żyje – uspokajała mnie Olive. Przez telefon brzmiała inaczej. Wydawała się bardziej chłodna, daleka. W tle słyszałem głośno grającą muzykę i domyśliłem się, że wraz z Memphis zdecydowała się wyjść na miasto. Przeraziło mnie to. Będąc daleko od niej, nie mogłem jej chronić.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Nie wiem, czy mogę się z nim spotkać, czy to nie będzie czymś na zasadzie zapalnika, który uruchomi coś znacznie potężniejszego.

– Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

– Jesteś na to gotowa? – spytałem, zdając sobie sprawę z powagi słów.

– Tak – powiedziała stanowczo. – Jestem gotowa.

Przysnąłem nad ranem, gdy za oknem zaczęło świtać. Obudził mnie dźwięk budzika i wibrujące w uszach słowa wypowiedziane przez Olive: „Jestem gotowa”. Wziąłem szybki prysznic, zjadłem skromne śniadanie i po wymeldowaniu się ruszyłem w stronę Exmouth i domu, w którym wciąż mógł mieszkać mój dziadek. Zaskoczył mnie teren, na którym znajdowała się placówka. Wokół niej rozciągały się połacie zieleni i liczne pola golfowe, a sam budynek wzniesiony był na klifie. I mimo iż było nieco wietrznie, dało się słyszeć dochodzący z dołu łoskot fal uderzających o brzeg. Zaparkowałem auto na parkingu dla gości i upewniwszy się, że w kieszeni bluzy wciąż mam fotografię Harolda, wkroczyłem do recepcji. Spodziewałem się zapachu starszych ludzi, ponurego lub przesadnie kolorowego wnętrza z portretami przedstawiającymi zadowolonych z życia seniorów, a otrzymałem coś zupełnie odwrotnego. Budynek urządzony był w stylu glamour. Przeważały w nim marmury i złote dodatki i mimowolnie zacząłem zastanawiać się, ile wynosi miesięczny czynsz za pobyt w takim miejscu.

– Mogę panu w czymś pomóc? – spytała atrakcyjna brunetka z pięknym hollywoodzkim uśmiechem i z oczami, w których pobłyskiwała życzliwość.

– Dzień dobry, nazywam się Flynn Sallow i szukam dziadka, Harolda – powiedziałem, idąc tym samym na skróty. Nie chciałem tłumaczyć powodu swojej wizyty, gdyż wyszedłem z założenia, że nie ma takiej konieczności. Zrobię to, jeśli okaże się, że Harold nie żyje. Wówczas spytam, gdzie go pochowano, co zrobiono z jego rzeczami i jaki on był.

– Więc to pan jest tym wnukiem, w istnienie którego nikt z nas nie wierzył – powiedziała recepcjonistka, pozwalając sobie na prywatny komentarz.

Zadrżały mi nogi. Świadomość, że on tu jest, ścisnęła mi płuca i przez chwilę obawiałem się, że nie będę już w stanie zaczerpnąć oddechu. Zrobiłem to dopiero, gdy kobieta wstała i poprosiła, bym wpisał się do księgi gości.

– Harold nie czuje się najlepiej. W ostatnich dniach stał się bardziej wycofany i milczący. Zawsze należał do tych pensjonariuszy, którzy stronili od kontaktów z innymi współmieszkańcami, ale teraz w zasadzie się nie odzywa.

– Zaprowadzi mnie pani do niego? – spytałem, wycierając spocone dłonie o uda.

– Oczywiście. – Odebrała ode mnie księgę gości. – Proszę za mną. Harold z całą pewnością jest w swoim pokoju. Nie opuszcza go od miesiący.

Przemierzałem placówkę, czując dziwną energię. Kumulowała się w palcach rąk i nóg i sprawiała, że doświadczałem nieprzyjemnego mrowienia. Moje zmysły ponownie się wyostrzyły, mimo że nie odbierałem świata w ten sposób przez ostatnie tygodnie. Słyszałem dźwięk, jaki wydawała tkanina uniformu idącej przede mną

kobiety, gdy jej ręce naprzemiennie poruszały się w przód i w tył. Słyszałem odgłos ugniatającej się wełny, z której zrobione były dywany, kiedy stawiałem na nim swoje kroki, ale najgłośniejszy w uszach rezonował odgłos mojej krwi, płynącej żyłami w zastraszająco szybkim tempie.

Przystanęliśmy pod drzwiami, recepcjonistka spojrzała na mnie i wysunąwszy dłoń z kieszeni różowego uniformu, uniosła jedną z nich, by zastukać w drzwi. Powstrzymałem ją niemal w ostatniej chwili, zaciskając palce na jej nadgarstku.

– Dziękuję, już sobie poradzę – powiedziałem miękko, licząc, że w żaden sposób tego nie skomentuje.

– Dobrze. Gdyby mnie pan potrzebował, będę w recepcji. I proszę dozować emocje, dobrze? Harold ma już swoje lata i, co tu wiele mówić, jest nieprzewidywalny.

– Wzruszyła ramionami. – Potrafi wybuchnąć złością z byle powodu. To bardzo zgorzkniały i zamknięty w sobie człowiek, który żyje we własnym świecie. Może szczęście panu dopisze i pański dziadek chociaż na chwilę odzyska świadomość.

– Demencja? – szepnąłem, gdy spowił mnie strach. Strach przed tym, że narażam siebie i Olive i być może nie dowiem się niczego ponad to, co już wiedziałem.

– Schizofrenia, panie Sallow. – Przymknęła na krótką chwilę oczy. – Pański dziadek żyje w swoim własnym świecie. To ciężki przypadek. Proszę być dla niego wyrozumiałym. – Dłonią pomasaowała moje przedramię, jakby chciała dodać mi otuchy.

– Będę – zapewniłem, a ona w ciszy potaknęła głową i odeszła.

Jeszcze chwilę stałem pod drzwiami, poruszając palcami dłoni i stóp, aby pozbyć się uczucia nieprzyjemnego mrowienia, a gdy to nie ustąpiło, cicho zapukałem i nie czekając na pozwolenie, wszedłem do środka. Tuż przy dużym oknie, z którego rozciągał się zapierający dech w piersi widok na morski bezkres, w skórzanym fotelu siedział wąty mężczyzna, zwrócony twarzą w stronę okna. Ubrany w koszulę i wełniane spodnie opierał dłonie i brodę na drewnianej lasce. Dostrzegłem, jak nabrał głębokiego haustu powietrza, aż jego ramiona uniosły się, i powolnie przekręcił głowę, by na mnie spojrzeć. Czas się zatrzymał. Moje serce również. Przez krótką chwilę obawiałem się, że to mogą być ostatnie chwile mojego życia. Harold uniosł delikatnie laskę, następnie stuknął nią o parkiet i wówczas moje serce ruszyło. Być może był to zbieg okoliczności, głupi przypadek, ale zdarzenie to wywarło na mnie ogromne wrażenie.

– Długo kazałeś mi na siebie czekać – powiedział i wskazawszy laską fotel stojący naprzeciwko niego, przeniósł swój wzrok na morze. – Siadaj – zarządził.

Nie takiego powitania się spodziewałem. Nie liczyłem na to, że rzucimy się sobie w ramiona, wszak w zasadzie byliśmy dla siebie obcymi ludźmi, ale nie sądziłem też, że Haroldowi wystarczy jedno spojrzenie, by wiedzieć, kim jestem.

– Skąd wiesz, kto cię odwiedził? – spytałem, następnie podszedłem do fotela i zająłem w nim miejsce. Spojrzałem na dziadka i pomyślałem, że w ogóle nie jesteśmy do siebie podobni. Nie mieliśmy takich samych nosów ani kształtu uszu. Nie znalazłem nic, co mogłoby stanowić dowód tego, że jesteśmy ze sobą spokrewnieni. Nic, poza dziwnym przeczuciem i energią, którą smakowało powietrze.

– Każdy z nas posiada lub posiadał jakieś zdolności. Mój dziadek potrafił przewidywać zamiary napotkanych na swojej drodze ludzi. Nie, nie przewidywał przyszłości, po prostu wiedział, których ludzi należy unikać, a z którymi można żyć w symbiozie. – Popatrzył na mnie przez chwilę, po czym ponownie skierował swój wzrok na morze, jakby w tafli wody mógł dostrzec obrazy przeszłości. – Z kolei mój ojciec potrafił czytać w myślach. Nie we wszystkich. – Pokręcił głową i uniósł palec wskazujący. – Odczytywał tylko te myśli, które stawały się zaczątkiem złych czynów. – Zwrócił się do mnie twarzą i wówczas dostrzegłem, że jedno z jego oczu jest szare, podczas gdy drugiemu bliżej do zielonego. – Twój ojciec, Joshua, wyczuwał śmierć. Potrafił wskazać dokładną datę śmierci, ale tylko tych ludzi, którzy planowali samobójstwo.

Obsypała mnie gęsia skórka i przez chwilę zacząłem zastanawiać się, czy Harold nie odpłynął. Czy to, co powiedział, było prawdą, czy tylko majakiem starszego człowieka, w dodatku spowitego cieniem demencji i choroby psychicznej.

– Ja natomiast potrafię pojawiać się w snach ludzi, których chcę do siebie przywołać. – Zastygł w bezruchu, czujnie obserwując moją reakcję. Jeśli chwilę wcześniej zastanawiałem się, czy Harold zachował świadomość, jego słowa właśnie rozwiąły moje wątpliwości. Zaciśnąłem dłonie na metalowym oparciu nowoczesnego fotela. Czułem, jak strach skuł mi żyły lodem. – A jaki jest twój dar, Flynnie? – zapytał, oparł łaskę o fotel, a swoje plecy o jego oparcie. Nagle wydał mi się mniejszy niż chwilę wcześniej.

Spuściłem głowę, nie bardzo wiedząc, co mógłbym odpowiedzieć. Nie zauważyłem u siebie żadnych nadprzyrodzonych mocy, żadnych, poza...

– Słyszę lepiej niż inni. Dźwięk serca, przepływ czyjejś krwi, odgłos spadających z drzew liści czy dźwięk kropli rosy przesuwających się po źdźbłach trawy. Słyszę wszystko to, czego przeciętny człowiek nie byłby w stanie usłyszeć – powiedziałem, a na tle tego, co padło z ust dziadka, moja wyjątkowa zdolność zdawała się błaża, mało istotna, taka zwyczajna.

Harold nie skomentował moich słów i po chwili ponownie przeniósł spojrzenie na lazurową wodę.

– Skoro potrafisz się zjawiać w snach ludzi, dlaczego wezwałeś mnie do siebie dopiero teraz? Myślałem, że nie żyjesz. – Parsknąłem cicho pod nosem. – Cholera, byłem o tym przekonany. – Pochyliłem się do przodu i oparłem przedramiona o uda.

– Bo gdy spotykają się dwa pokolenia, wytwarza się ogromny ładunek, a wówczas on rośnie w siłę.

– On, to znaczy kto? – spytałem. Wirujące drobinki kurzu z hukiem upadały na dębowy parkiet. Dźwięk był tak głośny, że sprawiał mi ból. Odruchowo zasłoniłem dłońmi uszy. Pierwszy raz doświadczenie dźwięku było tak wyraźne, tak bardzo bolesne. Zrozumiałem, że to coś robi wszystko, by uniemożliwić mi rozmowę z Haroldem.

– Nie wolno nam wypowiadać jego imienia. Nie możemy – syknął, stając się nagle poważnym.

– Dlaczego? – Nic nie rozumiałem.

– Bo wówczas on stanie się potęgą, a nasze przekleństwo przejdzie na dwanaście pokoleń do przodu.

Nieprzyjemny dźwięk wzmógł się, by po chwili zacząć słabnąć. Świat wrócił do względnej normalności. Teraz słyszałem odgłos bijącego serca Harolda i rybich płetw mącących wodę w niewielkim akwarium, które stało na eleganckiej komodzie.

Wyprostowałem plecy porażony tym, co usłyszałem. Chciałem zapytać Harolda, czy naprawdę wierzy w to, co mówi, ale nie miałem wystarczająco odwagi. Wierzyłem w przekleństwo. Wierzyłem w złorzeczenie i w to, że z chwilą narodzin ktoś przeklął mój los, ale jakże ciężko mi było uwierzyć w istnienie demona, który miał władzę nad życiem moim i moich krewnych. Przez lata zrzucałem zdolność słyszenia tego, czego nie słyszeli zwykli ludzie, na karb wyjątkowo wyostrzonych zmysłów lub na porażenie jakichś nerwów, które sprawiły, że byłem bardziej wrażliwy słuchowo niż pozostali, ale nigdy nie wiązałem tego z demonem.

– Posłuchaj... – zacząłem mówić, starając się zachować spokój i otwartość umysłu. – Musisz mi opowiedzieć wszystko od początku.

Harold chwycił laskę, wstał i stanął przed oknem. Idąc w ślad za nim, zauważyłem, że na szerokim parapecie znajduje się zaledwie jedno zdjęcie, oprawione w ramkę. Znałem kobietę z fotografii. Znałem ją doskonale.

– Nie mam pewności, jak to się zaczęło. Wiem zaledwie tyle, ile przekazał mi ojciec, a ojcu jego ojciec. – Zmrużył oczy jak ktoś, kto chce dostrzec statek płynący w oddali. – Podobno w XVII wieku jeden z naszych krewnych, w myśl polityki

ogradzania, wyrugował rodzinę chłopów z ich ziem i zagarnął należące do nich tereny pod pastwiska, by móc na nich hodować owce. Pośród licznych kobiet w tejże rodzinie żyła też baba, uznawana przez mieszkańców za wiedźmę. Słysząc z tego, iż potrafiła wywoływać choroby oraz szkodzić ludziom. Gdy wygnaną rodzinę zmógł głód i jej członkowie zaczęli umierać, kobieta rzuciła przekleństwo na nasz ród. W myśl jej słów owo przekleństwo miało dotyczyć każdego pierworodnego, który zrodzi się w naszej rodzinie. Miało również sprawić, że męskie nasienie będzie tak silne, iż żadna kobieta nie powije dziewczynki, a wraz z przyjściem na świat kolejnego dziecka przyjdzie również przekleństwo, które będzie mu towarzyszyło przez całe życie. Czuwać nad tym miał on. Ten, co cień śmierci na zielonych pastwiskach rozciąga.

– Chowaniec? – spytałem. Harold spojrzął z dziwnym uśmiechem satysfakcji.

– Nie – zaprzeczył, po czym dodał: – Widzę, że nie próżnowałeś.

Wzruszyłem ramionami, następnie wsunąłem dłonie do kieszeni spodni i tak jak on utkwiałem wzrok w horyzoncie.

– Latami szukałem odpowiedzi. Nie zliczę godzin spędzonych w uniwersyteckich bibliotekach ani książek, które przewinęły się przez moje ręce. Nic nie pasowało mi do tego, z czym się mierzymy.

– Pokonałem tę samą drogę. Mnie również zapędziła w ślepy zaułek. I mimo że wiem więcej niż ty, to nadal wiem tylko to, co wyszło z ust naszych krewnych. – Zabrzmiało smutno, jak ktoś, kto zmuszony jest przyznać się do porażki.

– Od XVII wieku w naszej rodzinie nie urodziła się żadna dziewczynka? – spytałem, wracając do tematu. Czułem, jak nieprzyjemna suchość pojawiła mi się w ustach. Harold potaknął głową, spojrzął na mnie i po chwili dodał:

– Dobrze rozumiesz, Flynn.

Zrobiło mi się duszno i gorąco, jakby temperatura w klimatyzowanym pomieszczeniu wzrosła o kilka stopni. Nerwowym ruchem szarpnąłem podkrój bluzy, który nagle zaczął mnie dusić niczym pęto założone na szyi.

– Jak to zatrzymać?

Harold skrzyżował dłonie i oparłszy je na lasce, zabujał się na czubkach palców.

– Pomyśl, Flynn, jesteś bystrym chłopakiem. – Posłał mi krótkie spojrzenie i ponownie uciekł wzrokiem w lazurowy bezkres, a ja stałem jak oniemiały, słysząc odgłos upadającego na parkiet włosa, który zsunął się z jego ramienia.

– Tylko narodziny dziewczynki będą potrafiły przerwać ten łańcuch – szepnąłem i osłabiony swoim odkryciem klapnąłem bezwładnie na zajmowany wcześniej fotel. Skryłem twarz w dłoniach, gdy w zaledwie chwilę runął mój świat. Pod przymkniętymi

powiekami zobaczyłem roześmianą twarz Olive. Widziałem ją, gdy leżała na plaży, a wiatr rozwiewał jej włosy, i gdy spała nieświadoma tego, że ją obserwuję. Ujrzałem, jak zmysłowo językiem zwilża usta i gdy opada na mnie, chwilę po tym, jak skończyliśmy się kochać. I wiedziałem, że będę zmuszony stracić wszystko to, co do tej pory udało mi się chronić. Olive nie może mieć dzieci – wiedziałem o tym doskonale. Wielokrotnie mi o tym wspominała, tłumacząc, że nie chce mieć przede mną tajemnic. Ta myśl dźgała mój obolały mózg, robiąc z niego gąbkę. Poczułem wilgoć pod powiekami i zacisnąłem je z większą siłą, by nie pozwolić łzom wydostać się na zewnątrz. Mój świat skurczył się do tej konkretnej chwili. Chwili, w której uświadomiłem sobie, jak bardzo byłem naiwny i na jak duże ryzyko naraziłem kobietę, którą kocham.

Poczułem dłoń zaciskającą się na moim ramieniu, a wraz z nią wrażenie prądu, który nieprzyjemnie przeszył moje ciało. Uniosłem głowę i zobaczyłem najbardziej smutne oczy, jakie kiedykolwiek widziałem. Były to oczy człowieka, który znał ból, smak odtrącenia i szykanowania, a ponadto doświadczył niespełnionej miłości. Pomyślałem wówczas, że jeśli ktokolwiek miałby zrozumieć, co czuję, tą osobą byłby właśnie Harold. Przeniosłem wzrok na jego palce, następnie ponownie spojrzałem mu w oczy.

– Nie obawiaj się mojego dotyku, Flynn – powiedział czule, po czym zajął miejsce w fotelu, uważnie mi się przyglądając. – Jesteś podobny do ojca. Wyglądasz jak jego kopia – zmienił tor naszej rozmowy.

– Nigdy go nie poznałem, nawet nie widziałem na fotografii. Do niedawna myślałem, że moim ojcem był Tom. – Wraz z wyznaniem otworzyły się niezasklepione rany w sercu. Będąc dorosłym człowiekiem, zrozumiałem, jak wielką traumą była dla mnie utrata rodziców. Wcześniej starałem się być silny. Musiałem taki być. Teraz mogłem sobie pozwolić na szczerą, bo cóż więcej mogłem stracić? Los odebrał mi wszystkich, których kochałem, zmuszając mnie, bym sam zostawił tych, po których on jeszcze nie wyciągnął szponów.

– Joshua wierzył, że twoje narodziny zmienią bieg wydarzeń. Lekarze przez całą ciążę zapewniali twoją matkę, że urodzi dziewczynkę.

Pokręciłem głową, nie mogąc uwierzyć, że los był aż tak krnąbrny.

– To dlatego mój ojciec zostawił moją matkę? Żeby nas chronić? – spytałem, chcąc to usłyszeć na własne uszy, zapamiętać i zapisać w sercu, bo nawet jako dorosły człowiek pragnąłem żyć ze świadomością, że byłem kochany.

– Dokładnie tak. Wszyscy mężczyźni w naszej rodzinie postępują tak samo. Łańcuch przekleństwa mogą przerwać narodziny dziewczynki lub...

– Samobójstwo najmłodszego pokolenia – dodałem cicho i odwróciwszy ręce wnętrzem ku górze, spojrzałem na swoje nadgarstki. Spojrzał na nie również Harold, a ja mógłbym przysiąc, że widok blizn głęboko go poruszył. Uniósł do ust pięść i przymknął oczy. – Ona mnie uratowała – powiedziałem, celowo nie używając jej imienia. Dziadek zacisnął powieki jeszcze mocniej. Mierzył się z bólem, który ja również znałem. Z bólem, który nie słabnął, wręcz przybierał na sile z każdym tygodniem, miesiącem, rokiem. – Rachel mnie znalazła. Opatrzyła i wezwała pogotowie. Nawet mnie wówczas nie znała.

– Znała cię, Flynn. Znała cię doskonale. Wszystko o tobie wiedziała – powiedział z takim spokojem, jakby słyszał tę historię już po raz drugi. Oczy zaszyły mu mgłą i wówczas wszystko rozumiałem.

– Sny? Przychodziłeś do niej w snach, prawda? To dlatego zjawiała się u mnie w środku nocy? Wiedziała, co zamierzałem zrobić? A ty skąd wiedziałeś, że spróbuję zakończyć to wszystko? – spytałem i z chwilą, z którą słowa opuściły moje usta, spłynęła na mnie odpowiedź. – Tata... – wyszeptałem.

Harold nic nie powiedział. Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu, by w końcu potaknąć głową.

– Drugi raz chciałem spróbować osiem miesięcy później. Dobrze się przygotowałem. – Prychnąłem, sam słysząc, jak durnowato zabrzmiały moje słowa. – Zaryglowałem drzwi, położyłem się do łóżka i zaledwie na chwilę chciałem przymknąć oczy, by poszukać w sobie odwagi. Zasnąłem. Do teraz się zastanawiam, jak to możliwe. – Pokręciłem głową i dłońmi przetarłem twarz. – Wówczas ją zobaczyłem. Olive patrzyła na mnie swoimi dużymi oczami i prosiła, bym tego nie robił. Obudziłem się zlany potem. Od tamtego zdarzenia śniła mi się każdej nocy. Czekałem na nią. Tylko dzięki niej byłem na tyle silny, by się nie poddać i... – urwałem, nie mogąc wydusić z siebie kolejnych słów, a Harold cierpliwie czekał, aż odzyskam panowanie nad własnym gardłem. Trząsnąłem się, w żaden sposób nie mogąc okiełznać emocji. Jakiś ciężar przygniótł mi pierś, sprawiając, że każdy kolejny oddech bolał jeszcze bardziej niż poprzedni. Z każdą sekundą bałem się coraz bardziej. Bałem się tego, czy po naszym spotkaniu Olive bezpiecznie powróci do domu, jak jej wyjaśnię to, że nie możemy być razem, skoro tak bardzo wierzyliśmy, że ona jest moim antidotum.

– Flynn, mam ochotę na spacer. Chciałbym jeszcze raz zawitać na plażę. – Harold uśmiechnął się smutno, a z jego oczu biła tęsknota.

– Przyjechałem samochodem. Możemy zjechać klifami w dół i...

– Zróbmy tak – zdecydował.

Zaledwie dziesięć minut później zaparkowałem tuż przy wejściu na plażę. Wymknęliśmy się tylnym wyjściem, ponieważ Harold był pewien, że na recepcji zatrzyma go pielęgniarka. Wciąż powtarzał, że troszczył się o niego z przesadą, będąc przekonanym, że mierzy się ze schizofrenią. Ku mojemu zdziwieniu w miarę sprawnie wysiadł z samochodu, zaplął zamek wełnianego swetra niemal pod samą szyję i z pomocą laski ruszył w stronę plaży. Był sędziwym, ale bardzo dystyngowanym i eleganckim mężczyzną, który nie wyglądał na kogoś, kto przeżył sto trzy lata. Poruszał się sprawnie, bez zadyszki, zaledwie muskając laską podłogę, a gdy założył na nos duże, przeciwsłoneczne okulary, a wiatr rozwiało mu białe, zaczesane na bok włosy, uśmiechnąłem się, nie potrafiąc powstrzymać tej reakcji.

Szliśmy brzegiem morza w milczeniu, a mewy i rybitwy krążyły nad naszymi głowami. Zrodziła się wówczas we mnie myśl, że to takie normalne. Spacer z dziadkiem. Mimo swoich lat doświadczam go po raz pierwszy. Z powodu przekleństwa nigdy nie zaznałem tego, co moi rówieśnicy mieli na wyciągnięcie ręki: bliskości, wspomnień, rodzinnych anegdot, odwiedzin, historyjek, tych śmiesznych i tych, które miały wywoływać zażenowanie. Zrozumiałem, jak wiele straciłem, ile mnie ominęło. I teraz, gdy szliśmy z Haroldem ramię w ramię, nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że dziadek myślał dokładnie o tym samym. Byliśmy jak dwie krople wody: tak samo przezroczyste, a mimo to zupełnie inne.

– Domyślam się, że panna Autumn zakończyła swój żywot, prawda? – Przystanął nagle i odwrócił się twarzą do mnie. – Od dłuższego czasu próbuję odwiedzić ją w snach, ale nie mogę tego zrobić. – W jego głosie dało się słyszeć smutek.

– Zmarła sześć miesięcy temu – powiedziałem, czując w ustach gorzki smak wypowiedzianych słów. Harold spuścił głowę, przez chwilę stał w bezruchu, by następnie ruszyć przed siebie niespiesznym krokiem. Patrzyłem, jak jego laska zanurza się w złocistym piasku, krusząc drobne muszle.

– Cierpiała? – spytał drżącym głosem.

– Nie, nie w chwili, w której żegnała się ze światem. Była przy niej Olive.

– Dobrze... – powiedział cicho, ale na tyle głośno, że mogłem usłyszeć jego słowa mimo szumu morskich fal.

– Myślę, że zmarła z mojego powodu – wyznałem z ciężkim sercem, mrużąc oczy przed intensywnymi promieniami światła. – Bardzo starała się mi pomóc. Robiłem wszystko, by nie stała mi się bliska, ale...

– Możliwe – przyznał Harold, zaskakując mnie swoją szczerością. Nawet nie próbował wyprowadzać mnie z błędu. – Musisz wiedzieć, że była świadoma czyhającego na nią niebezpieczeństwa.

– Otrzymałem od niej pamiętnik. Ten, w którym wspominała o tobie i o uczuciu, które was połączyło. – Uśmiechnął się, gdy mu o tym powiedziałem, i podrapał się po dokładnie ogolonej brodzie.

– Zatem wiesz już wszystko. – Znowu się uśmiechnął, tym razem oszczędnie, króciutko.

– Dopóki go nie przeczytałem, sądziłem, że jestem wyjątkowy, że to przekleństwo dotyczyło tylko mnie.

– Nic bardziej mylnego – prychnął, kręcąc głową.

Wsunąłem rękę do kieszeni bluzy i wyjąłem z niej fotografię Harolda.

– Przez te wszystkie lata trzymała twoje zdjęcie na nocnej szafce. – Podałem mu ją, a Harold przyjął ją drżącą ręką. Przez chwilę jej się przyglądał, by w końcu mi ją oddać. – Czekala na ciebie. Czekala do ostatniego dnia. – Łza spłynęła po jego policzku. Dostrzegłem ją, nim zdążył wyjąć z kieszeni batystową chusteczkę, by z jej pomocą wytrzeć słoną wilgoć.

– Wiem, któregoś dnia odwiedziła mnie Eleonor, siostra Rachel.

– Babka Olive – powiedziałem, a on potwierdził.

– Przekazała mi wiadomość od swojej siostry. Rachel napisała wówczas, że zawsze będzie na mnie czekała – oświadczył, poważniejąc w ułamku sekundy, i wsunął chusteczkę do kieszeni. – Ale ja wiedziałem, że moje oczy już jej nie zobaczą. Nie mogłem jej dłużej chronić. Wypadek, w którym została ranna, był niczym ostrzeżenie. Wiedziałem, że jeśli się nie wycofam, on mi ją zabierze. Na zawsze... – Przystanął na chwilę, delikatnie rozpiął pod szyją sweter i znowu ruszył przed siebie. – Rachel nie mogła mieć dzieci. Już w młodym wieku zdiagnozowano u niej zespół Ashermana. Łudziłem się, że jeśli będę wystarczająco czujny i uważny, to ją przed nim uchronię. Myliłem się.

Stałem. Słowa Harolda odbiły mi się echem w uszach. W głowie miałem tylko jedną myśl: Nie będę w stanie ochronić Olive. Nie uda mi się. Przegram, tak jak przegrał Harold.

– Gdy zabrano ją do szpitala i miałem już pewność, że z tego wyjdzie, wiedziałem, że widzę ją po raz ostatni. Tej nocy pośpiesznie opuściłem miasto. Przyjechałem do Burnham-on-Sea, osiadłem w niewielkim domu i popadłem w marazm. Z czasem spotkałem Otylię, młodą wdowę, która zadurzyła się we mnie bez pamięci. Nigdy jej nie kochałem. Nie potrafiłem.

– Ale zaszła w ciążę – powiedziałem, a wiatr poniósł moje słowa wprost do jego uszu.

– Myślałem, że skoro nie kocham Otylii, to nic jej nie grozi. Brzmi to logicznie, prawda?

Potaknąłem głową, a Harold kontynuował:

– Otóż myliłem się. Otylia zmarła przy porodzie. Ja natomiast umarłem po raz kolejny, gdy położna podała mi dziecko ze słowami na ustach: „Ma pan syna”. Wówczas zrozumiałem, że to się nigdy nie skończy. Zostawiłem swoje dziecko w szpitalu, wiedząc, że jeśli tego nie zrobię, stracę także syna.

Ból ścisnął mi gardło. Poczułem łzy pod powiekami. Zgoniłem to na drobinki piasku, które unosił w powietrzu wiatr.

– Jak to się stało, że tata cię odszukał? Wnioskuje, że tak było, skoro wiesz, że miał dar przewidywania śmierci. Musieliście ze sobą rozmawiać.

Harold przystanął, zdjął z nosa okulary i spojrzał na mnie przenikliwym wzrokiem.

– Pokonał tę samą drogę, którą pokonałeś ty. Dane Otylii widniały w jego akcie urodzenia. Najpierw szukał mnie w Burnham-on-Sea, a wkrótce dotarł do Exmouth. Tydzień wcześniej odwiedziła go Lauren.

– Moja matka – powiedziałem, starając się trzymać emocje na wodzy. – Zginęła wraz z Tomem, gdy wracali do domu.

– Zgadza się. Joshua dowiedział się o tym. Śmierć Lauren zmusiła go do kontaktu ze mną. Szukał odpowiedzi na pytanie, jak cię chronić. Nie potrafiłem mu pomóc. Nie umiałem.

Bałem się zadać to jedno pytanie, które cisnęło mi się na usta od dłuższej chwili. Dziadek to dostrzegł, bo zacisnął rękę na moim ramieniu, chcąc najpewniej dodać mi odwagi, i ze spokojem oświadczył:

– Jego serce stanęło tego samego wieczoru. Lekarze nie potrafili mu pomóc.

Ścisnąłem głowę rękami, z bólu niemal zginając się wpół. Płakałem. Ja, dorosły facet, stałem na plaży i nie potrafiłem zatrzymać łez. Świadomość, że ojciec próbował mnie ratować, wiedząc, że spotkanie z dziadkiem któryś z nich może przypłacić życiem, sprawiła, że spojrzałem na niego zupełnie inaczej, niż patrzyłem do tej pory. Poczułem z nim bliskość. Zrodziła się we mnie wdzięczność. Do dziś, gdy o nim myślałem, zawsze towarzyszyło mi poczucie żalu, pretensji, niezrozumienia. Jakże się myliłem. Jak niesprawiedliwy byłem w swojej ocenie.

– Zaczekaj... – odezwałem się, przełykając łzy. – Skoro jesteśmy tu razem, czy to oznacza, że któryś z nas umrze? – Patrzyłem na dziadka. Był spokojny, opanowany, jakby już dawno pogodził się ze swoim losem.

– Myślę, że jesteś bezpieczny, Flynnie – powiedział tajemniczo, wyrzucając słowa w pachnące jodem powietrze. Doszliśmy do drewnianej ławeczki i Harold poprosił,

byśmy na niej usiedli. Zmęczył się, mimo iż starał się to ukryć. Patrzyliśmy w lazurową wodę, a upływający czas odmierzaaliśmy oddechami. Każdy kolejny bolał bardziej od poprzedniego. Niebo zasnuło się puszystymi chmurami, które wiatr gnał w zawrotnym tempie po niebieskiej połaci.

– Myślę, że tylko ty możesz to zatrzymać, Flynnie – orzekł Harold. – Jesteś dwunastym pokoleniem, a w Biblii liczba dwanaście oznacza porządek Boży i doskonałość.

Przymknąłem oczy, zapisując słowa Harolda w pamięci. Miałem w głowie bałagan.

– Myślałem, że Olive będzie moim antidotum. – Z nerwów zacząłem skubać skórę przy paznokciu. – Nawiedzała mnie w snach, długo przed tym, jak stanęła na mojej drodze. Jako jedyna wyczuwa mój naturalny zapach, dokładnie tak, jak Rachel twój, ale... – Zamilkłem na krótką chwilę. – Nie może mieć dzieci – dodałem i zgarbiłem się pokonany. – Zatem pozostaje mi skończyć ze sobą lub być tym ostatnim, który nie przekazuje przekleństwa. Jeśli nie będę miał potomka, to problem sam się rozwiąże.

Harold oparł dłonie na lasce, na nich zaś wsparł brodę.

– Jesteś pewien, że Olive nie może mieć dzieci? – spytał, a ton jego głosu był inny niż jeszcze chwilę wcześniej.

– Tak mówiła. Zresztą nawet gdyby mogła, to wciąż istnieje ryzyko, że urodziłaby mi syna.

– Eee... – Harold machnął ręką.

– Wiesz coś, o czym ja nie wiem? – Serce waliło mi jak szalone, niemal boleśnie objijając się o żebra.

– Tylko to, że Rachel miała same siostry, więc...

– Gdybanie – skontrowałem.

– Myślę, że skoro wyczuwa twój naturalny zapach i pojawiała się w twoich snach, a ty jesteś tym dwunastym, i ona wiedząc to wszystko, jeszcze nie uciekła, to coś musi być na rzeczy. Rozwiązanie jest blisko, tylko my jesteśmy na nie ślepi. – Szturchnął mnie ramieniem w bok. Serce mi urosło! Łaknąłem normalności. A Harold dał mi jej namiastkę.

Gdy wróciliśmy do Domu Szczęśliwego Seniora, musieliśmy zmierzyć się z pretensjami personelu i dyrekcji, którzy w czasie naszej nieobecności zdołali już podnieść alarm, a nawet zaangażować w nasze poszukiwania służby ratownicze. W całym zamieszaniu zmuszony byłem szybko pożegnać się z Haroldem, gdyż nalegano, bym opuścił placówkę. Na dziadka czekał już lekarz, który miał go osłuchać, i kolacja, którą powinien zjeść, zanim przyjmie leki. Harold, zupełnie nic nie

robiąc sobie z głośnych pretensji zespołu medycznego, wcisnął mi w dłonie ramkę ze zdjęciem Rachel, które do tej pory stało na parapecie w jego pokoju. Pogładził mnie dłonią po policzku, a gdy łyzy przysłoniły mu świat, powiedział:

– Bądź ostrożny, mój kochany chłopcze.

Uścisnąłem go delikatnie, zważywszy na jego wiek, on zaś dodał jeszcze, bym przekazał zdjęcie Olive, gdy wrócę do domu. Wiedziałem, że widzę go po raz ostatni. Mimo to czułem wdzięczność. Rozmowa z nim miała na mnie kojący wpływ. To dzięki niemu wiem, że byłem kochany nie tylko przez matkę i ojczyma, ale także przez ojca. Zrozumiałem również, że jeśli szybko nie znajdę rozwiązania, życie Olive będzie w niebezpieczeństwie. Już było.

Wsiadłem do samochodu, wybrałem numer Olive i odetchnąłem z ulgą, gdy usłyszałem jej pogodny głos:

– Hej, nie mogłam się doczekać twojego telefonu. Co z Haroldem?

– W porządku – powiedziałem, wciąż patrząc na stojący przede mną budynek. – Okazał się dość żywotnym staruszkiem.

– A więc żyje? Rozmawiałeś z nim?

– Tak. – Włożyłem klucz do stacyjki i ostrożnie opuściłem parking dla gości.

– Coś nieprawdopodobnego! – wykrzyknęła, następnie usłyszałem dźwięk klaksonu i ciche przekleństwo, które padło z jej ust. – Och, wyobrażam sobie, jakie emocje musiały towarzyszyć waszemu spotkaniu. Jak się z tym czujesz, Flynn?

– Hm, dziwnie – wyznałem. – Jestem szczęśliwy, że mogłem go poznać.

– Pytałeś o Rachel?

– Tak, opowiem ci wszystko, jak wrócę do domu. Mam dla ciebie upominek.

– Od Harolda?

– Tak – potwierdziłem, sprawnie manewrując po wąskich uliczkach. – A jak sprawy z Martinem? Przyjął twoją propozycję?

– Oczywiście! Dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów to całkiem pokaźna suma. Spodziewam się, że w najbliższych dniach otrzymam od niego telefon.

– Jesteś niesamowita. – Zaśmiałem się cichutko.

– Flynn, tęsknię za tobą – rzuciła niespodziewanie. Jej słowa popłynęły z głośników i trafiły wprost do mojego serca.

– Ja za tobą też. Za dwie godziny powinienem być w Horwell, jeśli nie wbiję się w korki. – Ugryzłem się w czubek języka, by nie powiedzieć tego w złym momencie.

– W porządku. Będę na ciebie czekała. Właśnie wjeżdżam na stację benzynową. Kupię w Tesco Express coś na kolację. Jesteś głodny?

– Cały dzień nie miałem nic w ustach. Widzimy się w domu, skarbie. Prowadź ostrożnie, dobrze?

– Zawsze prowadzę ostrożnie – odparła, lekko urażona, a może tylko ja tak to odebrałem. – Do zobaczenia w domu, Flynn.

Samochód wypełniły dźwięki piosenki AC/DC, którą nadawało lokalne radio. Wjechałem na autostradę i ustawiwszy tempomat, tym razem już bez emocji, zacząłem analizować dzisiejsze spotkanie i to, czego dowiedziałem się od Harolda. Błędnie założyłem, że Rachel zjawiła się w Horwell, bo liczyła na to, że któregoś dnia wróci tam również Harold. Tymczasem przeprowadziła się na wieś, by mnie strzec. Działała na wyraźną prośbę Harolda, będąc dla mnie kimś w rodzaju stróża. Dopuszczała do siebie myśl, że Harold nie wróci, wiedziała również, z czym się mierzy, a mimo to nigdy nie dała po sobie poznać, że się boi i że wie więcej niż ja.

Prychnąłem pod nosem, gdy wyobraziłem sobie chwilę, w której opowiadam o wszystkim Olive. Wiedziałem, jak delikatnym tematem jest dla niej macierzyństwo. Nie chciałem, żeby z mojego powodu ponownie mierzyła się z presją i rozczarowaniem. Czasami nasz seks bywał spontaniczny, a mimo to Olive nie zaszła w ciążę. Idąc tym tropem, założyłem, że raczej się to nie stanie. Zaciśnąłem ręce na kierownicy z większą siłą, gdy moje myśli skierowały się ku przekonaniu, że najbezpieczniej dla Olive będzie, jeśli ułoży sobie przyszłość z kimś innym. I chociaż nie wyobrażałem sobie życia bez niej, wiedziałem, że łatwiej mi będzie odejść i trwać długie lata ze świadomością, iż jest bezpieczna, niż pozostać z nią i któregoś dnia stracić Olive bezpowrotnie. Spokoju natomiast nie dawał mi fakt, że pojawiała się w moich snach. Dlaczego? Skoro i tak nie mogła mnie wyzwolić z piekła, w którym brodziłem od ponad dwóch dekad? Dźwięk telefonu poniósł się po wnętrzu samochodu. Odebrałem połączenie i wstrzymałem oddech, gdy usłyszałem głos recepcjonistki:

– Panie Sallow, znalazłam pana numer w księdze gości, do której się pan wpisał. Bardzo mi przykro, ale mam smutne wieści. Pański dziadek... – Odchrząknęła wyraźnie zdenerwowana, po czym kontynuowała: – Odszedł od nas przed chwilą. Doszło do tragedii. Nie potrafiliśmy go upilnować i...

Samobójstwo. To dlatego Harold zapewniał mnie, że jego dotyk mi nie zaszkodzi, że jestem bezpieczny. Wiedział, co musi zrobić, by mnie ocalić, i to zrobił. Odszedł, by mieć pewność, że zło nie wyciągnie po mnie swoich szponów, tak jak wyciągnęło je po mojego ojca. I gdy słowa recepcjonistki wciąż płynęły z głośników samochodu, wypełniając sobą przestrzeń auta, ja myślami byłem już daleko. Byłem w miejscu, w którym nikt nie będzie mi bliski.

.....
* Chowaniec (ang. *familiar*) – pomniejszony demon, który mógł przybierać postać psa lub kota.



Rozdział 18

Olve

Chwyciłam siatkę z zakupami i wyszłam ze sklepu, kierując się do samochodu. Wrzuciłam zakupy do bagażnika i gdy miałam już wsiadać, dostrzegłam Graysona. Stał tuż obok swojego auta, którego koła oblepione były gliniastą ziemią, i w skupieniu napełniał kanister. Odruchowo wytarłam dłonie o uda i ruszyłam w jego stronę. Chciałam chociaż wspomnieć o tym, co udało mi się zrobić dla Jodie, by zaoszczędzić mu kolejnych dni zamartwiania się o jej przyszłość. Okrążyłam samochód, stanęłam naprzeciwko niego i chowając dłonie w rękawach swetra, powitałam go radosnym „cześć”. Nie odpowiedział. Posłał mi zaledwie krótkie spojrzenie, unosząc przy tym brew, i założył nakrętkę na kanister.

– Wszystko w porządku? Masz minę, która krzyczy: „odpierdol się ode mnie” – powiedziałam szybciej, niż pomyślałam. Na jego ustach pojawiło się coś na kształt grymasu, wrzucił kanister na pakę samochodu i zdjął z niej kolejny. Patrzyłam, jak skupia się na wypełnianiu ich benzyną, i zrozumiałam, że nie był w nastroju. Drżały mu ręce, ale nie tak, jak komuś, kto się czymś denerwuje. Wyglądało to raczej jak delirka alkoholowa lub drastyczny spadek cukru. Zaniepokoiłam się.

– Hej, jeśli nie chcesz rozmawiać, to okej, ale zachowujesz się dziwnie. Stało się coś? – spytałam nieco ciszej, zbliżając się do niego.

– Spieszę się, Loughy, nie mam czasu na pogaduszki – burknął.

– W porządku. – Wzruszyłam ramionami i już miałam odejść, gdy z moich ust padło pytanie: – A co u Jodie? – Zauważyłam, że zacisnął zęby z taką siłą, że jego twarz stała się niemal kwadratowa.

– Dobrze. – Nie przekonał mnie. Wciąż wbijałam wzrok w jego zaciśniętą szczękę i spiętą sylwetkę. Coś we mnie krzychało, że nie mówi mi prawdy. Odepchnęłam. Nie chciałam naciskać. Pomyślałam, że porozmawiam z nim, gdy będę miała dla niego wiadomości, na które czeka od długiego czasu.

– To dobrze – rzuciłam, chcąc zakończyć naszą rozmowę. Uniosłam rękę w geście pożegnania i odwróciwszy się, pomaszerowałam do auta. Resztę drogi pokonałam z dziwnym przeświadczeniem, że Grayson starał się coś przede mną ukryć. Minęłam farmę Rolandsa i w ostatniej chwili skręciłam w drogę prowadzącą wprost do posiadłości O'Larrych. Wysiadłam z auta i idąc w stronę ganka, podniosłam różowy rowerek, który leżał dokładnie na środku drogi. Odłożyłam go w bezpieczne miejsce i zastukałam kołatką. Wiatr wzmógł się, kołysząc teraz zawieszony pod balkonem czerwone pelargonie, których płatki przez chwilę tańczyły w powietrzu, by ostatecznie opaść na deskowany taras. Ponownie zastukałam w drzwi, a gdy nikt nie otworzył, tknięta złym przeczuciem chwyciłam za klamkę i wkroczyłam do środka.

– Jodie?! Dziewczynki?! Jesteście w domu?

Przystanęłam w korytarzu, czekając na pojawienie się przyjaciółki. Minuta zmieniała się w dwie, potem trzy, a ja nadal krzychałam, prosząc, by się odezwały. Zebrawszy się na odwagę, ruszyłam w stronę salonu. Dostrzegłam w nim bałagan, jakiego nigdy nie spodziewałabym się zobaczyć w mieszkaniu Jodie. Pośród leżących na dywanie porozrzucanych ubrań, książek i zabawek dziewczynek zauważyłam zakrwawione bandaż. W mojej głowie rozległ się alarm. Zaczęłam przywoływać do siebie Jodie, szukając jej w całym domu. Zaglądałam do każdego pomieszczenia i błagałam, by się odezwała. Znalazłam ją dopiero na piętrze. Siedziała w łazience na muszli sedesowej, ubrana w satynową podomkę, i za pomocą żyłki raniła swoje uda. Po jej nogach i przedramionach spływała krew. Czułam jej metaliczny zapach, mimo że znajdowałam się trzy metry od niej. Starając się zapanować nad głosem, tak by nie przestraszyć Jodie, podeszłam i klękłam obok niej, nie zważając na fakt, że brodzę w krwi.

– Jodie, kochanie, co robisz? – spytałam łagodnie, starając się nawiązać z nią kontakt. Patrzyła na mnie nieobecny wzrokiem. – To ja, Olive, umówiłyśmy się, że wspólnie wypijemy kawę, pamiętasz? – Chwyciłam ręcznik, który wisiał tuż przy umywalce, i przyłożyłam go do jej uda. Odetchnęłam z ulgą, gdy zorientowałam się, że cięcia nie były głębokie. – Słuchaj, mam w samochodzie twoje ulubione ciasteczka

migdałowe. Co ty na to, byśmy zeszły na dół, zrobiły sobie kawę i zjadły po jednym? – Jodie przechyliła głowę, następnie delikatnie nią pokiwała.

– Lubię je.

– Pewnie, że je lubisz. Właśnie dlatego je kupiłam. Tak się umawialiśmy – skłamałam.

– Tak? – powtórzyła.

– No oczywiście. Wiesz, zanim zejdziemy do kuchni, muszę zabandażować ci rękę i nogę. Pamiętasz, gdzie masz apteczkę? – Rozglądałam się po łazience, próbując zgadnąć, gdzie mogła ją trzymać.

– Tam. – Wskazała ruchem głowy. – W szafce za tobą.

Wstałam, sięgnęłam po bandażę i w miarę sprawnie owinęłam nimi przedramię i udo Jodie, zastanawiając się, jak skontaktować się z Graysonem.

– Gdzie są dziewczynki? – spytałam, wciąż czując obawę, że mogła im coś zrobić. Grayson co prawda zapewniał mnie, że Jodie krzywdzi tylko siebie, ale...

– U mamy. Zabrała je i Froda dziś rano. Jutro jadą do Legolandu. Giovanna z tego wszystkiego nie mogła zasnąć.

– Legoland? Wow! Będą się świetnie bawiły. – Pomogłam Jodie wstać i poprowadziłam ją w stronę korytarza, następnie schodami zeszliśmy w dół. Cały czas starałam się z nią rozmawiać, by zmusić jej mózg do aktywności.

– Maisy uwielbia Lego. Jest w tym dobra. Ostatnio w zaledwie jedno popołudnie złożyła z klocków Hogwart.

– Masz bardzo zdolne córki.

– To prawda.

– Pamiętasz, o której godzinie Grayson kończy pracę?

– Już skończył. Zjadł obiad, a potem...

Urwała, najpewniej przeszukując myślami odmęty świadomości.

– Wyszedł. Gdy się obudziłam, już go nie było. Zrobiłam bałagan... – Spojrzała na przedramię, teraz już zawinięte w bandażę. – Mówił, że to załatwi, że mam być grzeczna i... Pocałował mnie w czoło – mówiła nieskładnie.

Świat niebezpiecznie zawirował mi w głowie. Nagle wszystko zaczęło być dla mnie zrozumiałe. Elementy układanki złożyły się w jedną całość. Zdenerwowanie Graysona nabrało sensu. Poczułam mdłości, gdy uświadomiłam sobie, co zamierzał zrobić. Nie chcąc tracić czasu, ściągnęłam z wieszaka bluzę, którą kazałam założyć Jodie, na nogi wsunęłam jej sandały i chwyciwszy za klamkę drzwi, powiedziałam:

– Wiesz, Jodie, pomyślałam, że zrobimy sobie piknik. Co ty na to? – Podtrzymałam ją, gdy wolno kierowałyśmy się w stronę samochodu.

– Piknik? – spytała umęczonym głosem. – Teraz? Wieczorem?

– Tak, to będzie taki piknik pod gwiazdami. – Otworzyłam drzwi od strony pasażera, wdzięczna losowi, że Jodie, najpewniej wskutek leków na uspokojenie, którymi nafaszerował ją Grayson, nie protestuje. Wsiadła, zapięła pas, a ja zajęłam miejsce za kierownicą. Jadąc w kierunku farmy, bezskutecznie próbowałam połączyć się z Flynnem. Nie miałam zasięgu. Nie miałam też wystarczająco odwagi, by zadzwonić pod numer alarmowy. Nie chciałam zaszkodzić Graysonowi. Na farmie panowała cisza. Rozejrzałam się po parkingu, na którym dostrzegłam zaledwie trzy samochody, z czego dwa pick-upy właśnie zmierzały w stronę wyjazdu. W normalnych okolicznościach na farmie roіło się od pracowników, ale dziś był *bank holiday*^{*}, a dodatkowo zbliżała się godzina dwudziesta druga.

– Jodie, kochanie, zostaniesz przez chwilę w aucie, dobrze? – powiedziałam, rozglądając się z uwagą, czy nie mam w samochodzie ostrych przedmiotów, którymi mogłaby zrobić sobie krzywdę.

– Dlaczego? – spytała sennym głosem. Domyślałam się, że najpewniej za chwilę zaśnie.

– Muszę zapytać zarządcy, czy możemy zrobić piknik na jego łące. – Odpięłam pas i spojrzałam na przyjaciółkę. Miała przymknięte powieki i głowę opartą o zagłówek. Błądziła świadomością między jawą a snem. – Bądź grzeczna, dobrze? – Nie odpowiedziała. Zasnęła.

Wyskoczyłam z samochodu, zamknęłam pilotem drzwi, tak by Jodie nie mogła wyjść, jeśliby się przebudziła. Pobiegłam w stronę obory z imieniem Graysona na ustach. Nigdzie go nie było. Jak w amoku pokonywałam kolejne metry, ślizgając się na błotnistym klepisku. Dotarwszy do końca pawilonu, wybiegłam tylnymi wrotami i skierowałam się do drugiej, znacznie większej obory. Wiatr zawiął od strony zachodu, niosąc ze sobą smród benzyny. Mięśnie piekły mnie kwasem. Opadałam z siły. Z każdym kolejnym krokiem słabłam coraz bardziej. I gdy już myślałam, że wszystko stracone, wówczas go zobaczyłam. Stał odwrócony do mnie tyłem, w dłoni trzymając zapalniczkę. Nawet z odległości kilku metrów widziałam jego ból. Widziałam cierpienie w opuszczonych ramionach i zgarbionej sylwetce.

– Grayson! Nie rób tego! – wrzasnęłam resztką sił. Odwrócił się raptownie, porażony moją obecnością. – Nie musisz tego robić! – Powoli szłam w jego stronę, starając się nie myśleć o tym, co się stanie, gdy upuści zapalniczkę.

– Uciekaj stąd! Szybko! – krzyknął, machając ręką, w której trzymał ogień. – Po cholere tu przyjechałaś? Miałaś się trzymać z daleka od farmy!

– Uspokój się! Wiem, jak wam pomóc. – Uniosłam ręce, jakby celował do mnie z broni. Zmniejszałam dzielący nas dystans, patrząc na niego i niemal czując ból, z jakim się mierzył.

– Nam już nic nie pomoże – powiedział ciszej. – Ja już nic nie mogę, Loughy. Nie mam już sił, by ciężiej pracować. Nie mam już co sprzedać. Mam tylko ją i dziewczynki i nie potrafię o nie zadbać.

– Nieprawda! Świetnie sobie radziłeś do tej pory.

Pokręcił głową, nie zgadzając się ze mną.

– Udało mi się załatwić miejsce w klinice, o której mówiłeś. Zaopiekują się Jodie. Pomogą jej. Nic nie będziesz musiał płacić – mówiłam, wciąż idąc w jego stronę z dłońmi uniesionymi wysoko.

Grayson pokręcił głową i wytarł nos w rękaw koszuli.

– Pieprzysz tak, bym nie zrobił tego, co zaplanowałem. – Splunął na podłogę.

Byłam już na tyle blisko, że nie musiałam krzyczeć, by mnie słyszał. Teraz dzieliło nas tylko kilka metrów.

– Nie, przysięgam, że mówię prawdę – przekonywałam. – Ale żeby Jodie tam trafiła, potrzebuje twojej pomocy. Musisz zostać z dziewczynkami, musisz ją wspierać, Grayson.

– Zawsze ją wspieram – zapłakał, a mnie pękło serce. – Zawsze o nią dbałem. Teraz też robię to z myślą o Jodie. Ta farma od miesięcy przynosi straty. – Ruchem ręki wskazał za siebie. – Rolands działa na granicy prawa. Krowy są niedożywione, nie mają dostępu do opieki weterynaryjnej, a gdy padną, to nie są utylizowane. Za chwilę to wszystko szlag trafi, a ja zostanę bez pracy. Zostanę bez pieniędzy.

– Nie, Grayson, nie zostaniesz. Znajdziemy ci inną pracę. Nie musisz teraz martwić się o pieniądze – przekonywałam. Nie wierzył mi. Widziałam to w jego oczach. Biła z nich desperacja. Nabrałam przekonania, że już się poddał, że znalazł się na takim etapie swojego życia, na którym nie był w stanie dostrzec pozytywów, zaufać, a przede wszystkim mieć nadziei na lepsze jutro.

– Jeśli puszczę to z dymem, stracę pracę, a wówczas Rolands będzie musiał wypłacić mi solidną odprawę. To powinno starczyć na pół roku leczenia. – Tak jak przed chwilą wytarł łzy rękawem flanelowej koszuli.

– Jeśli puścisz farmę z dymem, pójdziesz do pierdła, a Jodie zostanie sama. Rolands nie wypłaci ci odprawy. Nie otrzymasz ani pensa, bo to nie będzie wypadek, tylko celowe podpalenie. Ubezpieczyciel nie wypłaca odszkodowania w takiej sytuacji.

– Tylko ty będziesz wiedziała, że to moja sprawka – powiedział zdesperowany.

– To tak nie działa, Grayson. Policja sprawdzi twoje alibi, dojdzie do tego, że Jodie jest chora, i podważą jej zeznania.

Przymknął powieki. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam mu wyszarpnąć z ręki zapalniczki, ale bałam się ryzyka. Wystarczyłoby tak niewiele...

– To co mam zrobić? – spytał pokonany, przełykając łzy.

– Zaufać mi – powiedziałam, dłońmi ocierając policzki. – Przysięgam, że Jodie otrzyma pomoc w klinice, którą dla niej wybrałeś.

– Jakim cudem? – Pociągnął nosem raz i drugi.

– Zapłaciłam za jej leczenie. Sprzedałam swoją połowę domu w Bristolu, uruchomiłam dawne znajomości. Nie musisz się o nic martwić. Skup się teraz na żonie i córeczkach. One cię potrzebują.

Grayson palcami zacisnął powieki. Płakał i trząsał się tak bardzo, że z odległości metra słyszałam, jak dzwonią mu zęby. Wyciągnęłam rękę, zacisnęłam ją na jego dłoni, drugą zaś zgasiałam zapalniczkę. Spojrzał na mnie i przysięgam, że tak roztrzęsionego człowieka widziałam w swoim życiu po raz pierwszy.

– Jodie ma miejsce w klinice, tak? Nie kłamiesz? – spytał, sylabizując.

– Przysięgam, że tak właśnie jest.

Rzucił mi się w ramiona, totalnie mnie tym zaskakując. Nogi ugięły mi się pod jego ciężarem. Staliśmy tak objęci przez dłuższą chwilę. On płakał, ja klepałam go po ramieniu, wycierając swoje łzy w jego flanelową koszulę, a gdy w końcu zapanowaliśmy nad emocjami, rozluźniłam uścisk i posłałam mu ciepły, pełen zrozumienia uśmiech.

– Co teraz? – spytał, odzyskując kontrolę nad gardłem i emocjami. – Od czego zaczniemy? Policja? Rolands? – Dłońmi przeczesał włosy i z ciężkością wypuścił z płuc powietrze.

– Służby weterynaryjne i policja. Musimy im powiedzieć o benzynie, by nie doszło do tragedii. – Poklepałam go po ramieniu i pociągnęłam w stronę wyjścia. – Chodź, w samochodzie mam pewną śpiącą damę, którą na pewno chciałbyś przytulić. Podobno uwielbia, gdy całujesz ją w czoło – dodałam, chcąc nieco rozładować atmosferę.

– Jodie? Jest w twoim samochodzie? – spytał przejęty.

– Spokojnie, nic jej nie jest. Śpi. – Dłonią pogładziłam go po plecach, a gdy doszliśmy na miejsce, sięgnęłam po telefon, wybrałam numer policji i poprosiłam o przysłanie patrolu i powiadomienie służb weterynaryjnych o konieczności kontroli na mlecznej farmie.

Wraz z Graysonem poczekałam na przyjazd jednostek. Kolejne dwie godziny spędziłam na składaniu zeznań, bezustannie odpowiadając na te same pytania. Gdy w końcu pozwolono mi wrócić do domu, wsiadłam do auta z ciężarem wydarzeń minionego dnia na barkach. Marzyłam już tylko o tym, by rzucić się Flynnowi w ramiona i zapomnieć o wszystkim, co budziło we mnie strach i niepewność. Docisnęłam pedał gazu, chcąc jak najszybciej znaleźć się w domu.

I wówczas je zobaczyłam...

Światła nadjeżdżającego samochodu.



Samochód wyjechał z podporządkowanej drogi wprost pod moje koła. Nie mogłem nic zrobić. Poczulem szarpnięcie i uderzenie poduszki powietrznej. Straciłem panowanie nad kierownicą, a odgłos gniecionej blachy kaleczył moje bębny. Wszystko słyszałem. Żwir, który wzbił się w powietrze, szkło upadające na jezdnię, krzyk, który wdarł się do mojej głowy, i odgłos łamiących się kości, a potem nastąpiła błoga cisza.

Gdy odzyskałem przytomność, leżałem na desce ortopedycznej. Głowa pulsowała mi nieprzyjemnym bólem. Wszystko działo się tak szybko. Dostrzegłem pochylonych nade mną medyków, którzy w skupieniu wkuwali się w moją żyłę. Przymknąłem oczy i wówczas je usłyszałem. Słabe bicie serca...

– Olive – wyszeptałem, nie mając wystarczająco dużo siły, by krzyknąć. – Olive...
– W ustach czułem metaliczny posmak krwi. Szarpnąłem ramieniem, które było unieruchomione. – Co z nią? Co z Olive? – pytałem, a krople deszczu rozbijały się na mojej twarzy.

– Spokojnie, proszę oszczędzać siły i pozwolić nam pracować.

Zacisnąłem palce na dłoni ratownika. Pochylił się nade mną i spojrzał mi prosto w oczy.

– Pozwólcie mi umrzeć – powiedziałem bez zahamowań. – Ratujcie Olive, ona musi przeżyć. – Łzy płynęły po moich policzkach, mieszając się z zimnym, jesiennym deszczem. – Pozwólcie mi umrzeć – wyszeptałem, ponownie łudząc się, że gdy zamknę oczy, już nigdy ich nie otworzę.

– Flynn, powinieneś wiedzieć, że musiałam się sporo natrudzić, by przekonać lekarzy do twoich odwiedzin. Olive wciąż jest słaba, ale nalegała, by cię do niej przyprowadzić. – Memphis zaskarbiła sobie moją sympatię, gdy już pierwszego dnia wkroczyła do sali ze słowami na ustach: „Cholera, teraz rozumiem, dlaczego Loughy straciła dla ciebie głowę. Nawet z poharataną gębą wyglądasz przystojnie”. Była zabawna i troskliwa, a ja dokładałem wszelkich starań, by była dla mnie także neutralna. Ostatnie pięć dni Memphis spędziła przy łóżku Olive, będąc kimś na kształt łącznika pomiędzy mną a kobietą, którą kocham. W wyniku wypadku wciąż miałem problemy z poruszaniem się i dziś był pierwszy dzień, jak czułem się na siłach, by za pomocą wózka i kul pokonać trasę z drugiego piętra na trzeci poziom budynku szpitalnego, na którym leżała Olive. Jej stan był znacznie poważniejszy. Miała złamaną rękę, nos i obrażenia głowy. Badanie CT wykazało wstrząs mózgu i sporych rozmiarów krwiaka, ale lekarze byli dobrej myśli.

– Wierzymy, że wszystko zakończy się szczęśliwie – powtarzali, ja natomiast miałem tej wiary znacznie mniej. Wiedziałem, że nasz wypadek nie był przypadkiem. W uszach wciąż wybrzmiewały mi słowa Harolda, który powtarzał, że nie będę w stanie uchronić Olive przed tym, który będzie chciał wyciągnąć po nią rękę. Żałowałem, że tej nocy nie zamknąłem oczu już na zawsze. Wówczas koszmar, z którym mierzyłem się niemal przez całe życie, dobiegłby końca, a Olive byłaby bezpieczna.

– Uczciwie ostrzegam, że twoja ukochana nie jest tak piękna, jak jeszcze kilka dni temu. Poza tym wskutek podawanych jej leków jest nieco marudna i w zasadzie przesypia całe dnie, a jak już się obudzi, zgadnij, o kogo pyta? – Memphis wyprowadziła wózek z windy i ruszyliśmy w głąb korytarza. Ubrana w zbyt duży niebieski fartuch dla odwiedzających wyglądała nieco komicznie.

– O mnie? – próbowałem zgadnąć, jednocześnie nie mogłem przestać się uśmiechać.

– Pfff! – prychnęła. – To była oczywista oczywistość. – Mogłem się jedynie domyślać, że najpewniej przewróciła swoimi dużymi oczami. – Trzymaj się, Flynn, to będzie ostry zakręt! – zażartowała, zanim skręciliśmy w lewo. – Jesteśmy na miejscu, popraw fryzurę. – Wytknęła mi język, po czym z bukietu kwiatów, który stał na znajdującej się za nami dyżurce, niepostrzeżenie wyjęła czerwoną różę i wcisnąwszy mi ją w dłoń, powiedziała: – Trzymaj, nie wypada, byś szedł do niej z gołymi rękami. – Zaśmiałem się, a ciasno zabandażowane żebra przypomniały mi o swoim istnieniu.

Przy łóżku Olive stało dwóch lekarzy. Nie chcąc przeszkadzać, poprosiłem Memphis, byśmy chwilę poczekali w niewielkim korytarzu poprzedzającym wejście na

salę. Przez lekko uchylone drzwi docierały do nas strzępki prowadzonej rozmowy. Wyłapałem z niej zaledwie kilka słów: „Nie spodziewaliśmy się tego, to zagraża pani życiu, nie powinniśmy ryzykować, to pani podejmie decyzję”. Spojrzałem na Memphis. Wyglądała na równie przerażoną, co ja. Różniło nas tylko to, że ja miałem świadomość, iż życie Olive wciąż jest zagrożone bardziej, niż Memphis mogłaby sądzić.

– To nie brzmi najlepiej, prawda? – spytała, nerwowo wykręcając dłonie.

Nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Nie mogłem. W głowie wciąż miałem tylko jedną myśl: To się nie uda. Nie wygramy z tym.

Drzwi otworzyły się raptownie, a Memphis pokierowała wózkiem tak, by umożliwić lekarzom swobodne wyjście, następnie weszliśmy na salę, która pachniała lekami i środkami czystości. Olive spojrzała na mnie wzrokiem, który wypełniały łzy. Żal boleśnie ścisnął mi serce. Podjechałem do niej i położywszy różę na poduszce, chwyciłem jej szczupłe palce w dłonie i przytknąłem do ust. Uśmiechnęła się, mimo że łzy wciąż spływały z jej oczu.

– Dobrze wyglądasz, kochanie – wyszeptała spierzchniętymi wargami. Na twarzy miała liczne skaleczenia, za które z pewnością odpowiadały odłamki szkła. Była bledsza niż zwykle, a podkrążone oczy sprawiały wrażenie zmęczonych. W jej dłoń wkluto wenflon, przez który spływała kroplówka, a do piersi przyklejono elektrody urządzenia monitorującego pracę serca.

– Jak się czujesz? – spytałem cicho, bojąc się, że zbyt głośno wypowiedziane słowa mogłyby przyprawić ją o ból głowy.

– Z każdym dniem coraz lepiej – zapewniła, a ja po raz kolejny ucałowałem wierzch jej dłoni. – Jak twoja noga? – Potarła o siebie wargami, tak jak wówczas, gdy nakładała na nie ochronną pomadkę.

– Dobrze. Czeka mnie rehabilitacja, ale od wczoraj chodzę o kuli. Ten wózek to zwykła szpitalna procedura – zapewniłem, dokładając starań, by zachować emocjonalną równowagę. Nie chciałem dostarczać jej zmartwień. Pragnąłem, by jak najszybciej odzyskała zdrowie i wróciła do życia i pracy, którą tak bardzo kochała. – Memphis zrobiła na niego uprawnienia, a ja nie chciałem odbierać jej radości z przejażdżki po szpitalnych korytarzach. – Mrugnąłem okiem, a usta Olive rozciągnęły się w delikatnym uśmiechu.

– Nie kłamie. Jestem specjalistką od pokonywania zakrętów szpitalnych korytarzy, prawda, Sallow? – Memphis podeszła do okna i przyciemniła żaluzje. – O, tak jest znacznie lepiej – mruknęła pod nosem, po czym oświadczyła, że desperacko potrzebuje kawy.

Zostaliśmy sami. Z drżącymi sercami, ze słowami, których baliśmy się wypowiedzieć, i z poczuciem ogromnej niesprawiedliwości.

– Flynn, chciałabym, żebyś wiedział, że to nie była twoja wina – mówiła powoli, dokładnie tak, jakby każde słowo sprawiało jej ból. – Nie widziałam cię. Miałam głowę zajęętą Graysonem i Jodi i...

– Ćśśś. – Położyłem palec na jej ustach. – Nie mów nic więcej. Oszczędzaj siły – poprosiłem.

– Nie możesz tego zrobić, Flynn, jeszcze nie teraz. Nie poddawaj się... – Wypuściła drżący oddech, unosząc dłoń, by dotknąć mojego policzka. Wiedziała, że to nasze ostatnie spotkanie – ta myśl pociągała za rękaw mojej świadomości. Zawsze bezbłędnie odczytywała moje zamiary i chociaż chciałem podarować jej bukiet pięknych słów, nie potrafiłem go dla niej skomponować, nie w chwili, w której na twarzy Olive widniało rozgoryczenie i niedowierzanie. Nachyliłem się i patrząc w jej oczy, zapewniłem:

– Nigdy nie przestanę cię kochać, rozumiesz? – Potaknęła głową, a łzy, do tej pory spokojnie spływające po jej policzku, raptownie spadły na poduszkę, wsiąkając w niebieską poszewkę. – Znajdę sposób, byśmy mogli być razem. Nawet jeśli miałyby to mieć miejsce tylko w naszych snach. Poczekaj na mnie, Olive.

– Flynn... – zapłakała cichutko i drżącymi palcami obrysowała kontur moich ust. – Muszę ci coś... – urwała, opuściła rękę i wzięła głębszy oddech. Zbliżyłem się do niej jeszcze bardziej, a wówczas ciało Olive najpierw wygięło się w łuk, by następnie zacząć drżeć. Konwulsje były tak mocne, że wrzeszcząc, wzywałem pomocy. Głośne dźwięki piszczących maszyn sprawiły, że zacisnąłem dłonie na głowie z obawy, iż mi ją rozerwą. Zrobiło się zamieszanie. W pokoju pojawili się lekarze i pielęgniarki, ktoś chwycił za rączki mojego wózka i wyprowadził mnie na korytarz, pytając, czy wszystko ze mną w porządku. Zgiąłem się wpół, chcąc stłumić rozgorzały w głowie ból, ale to nie przyniosło rezultatu. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem na chwilę przed tym, zanim straciłem świadomość, były słowa krzyczącego lekarza:

– Na blok z nią!

Trzy tygodnie później

– Bronisz go, Olive! Nie zasłużył na to. Zachował się karygodnie. – Memphis z prędkością karabinu maszynowego ciskała słowami, które sprawiały mi ból. Ze wzrokiem wbitym w rozciągającą się przed nami drogę prowadziła auto, kierując się w stronę Horwell. Od dobrych dziesięciu minut rzucała pod adresem Flynn'a najrozmaitsze epitety. Z początku próbowałam go bronić, ale w miarę narastającej wściekłości Memphis poddałam się, wiedząc, że to i tak nic już nie zmieni.

Flynn odszedł. Tak samo jak Harold i zapewne każdy mężczyzna w jego rodzinie. Czy było mi źle, wiedząc, że zrobił to z troski o mnie? Odrobinę. I chociaż w przeciwieństwie do Memphis znałam prawdziwy powód jego zniknięcia, to cholernie ciężko było mi wytłumaczyć sercu, że czasami trzeba odpuścić. Poddać się. Stracić wszystko, co się miało, by w przyszłości móc zyskać jeszcze więcej.

Obawiałam się tego dnia. Obawiałam się powrotu do normalności, do pracy, do mieszkania, w którym kręcił się Flynn. Ostatni miesiąc spędzony w szpitalnym łóżku sprawił, że miałam sporo czasu na rozmyślanie o tym, jak powinna wyglądać moja przyszłość. Wmawiałam sobie, że z każdym dniem będzie mi łatwiej, że przecież życie toczy się dalej, a ja mam co najmniej kilka powodów, by się nim cieszyć.

Historia zatoczyła koło – pomyślałam pewnej nocy, gdy leżałam na szpitalnym łóżku, a księżyc świecący w pełni nie pozwalał mi zasnąć. Rachel po rozstaniu z Haroldem już z nikim się nie związała. Została sama. Tak jak ja. I chociaż w sercu żywiłam nadzieję na to, że któregoś dnia Flynn stanie w progu mojego domu, to jednocześnie mieściła się w nim świadomość, że żaden mężczyzna nie zajmie jego miejsca.

Należałam do Flynna.

Śniłam o nim.

Wspominałam go.

Kochałam, mimo bólu, który rozrywał mnie od środka. Nigdy, nawet przez krótką chwilę, nie winiłam go za to, co nas spotkało, z czym musieliśmy się mierzyć. Rozumiałam jego decyzję i zaakceptowałam ją. Będąc na jego miejscu, postąpiłabym dokładnie tak samo, bo jeśli się kogoś kocha prawdziwie, to człowiek jest w stanie zrobić nawet to, co skazuje go na cierpienie.

– Jesteśmy na miejscu, pomóc ci wsiąść? – Memphis spojrzała na mnie zafrasowanym wzrokiem. Byłam jej wdzięczna za wszystko, co dla mnie zrobiła. Pierwszy tydzień bezustannie siedziała przy moim łóżku, a gdy wróciłam z operacji, podczas której usunięto skrzeplinę krwi z mózgu, trzymała mnie za rękę, cicho szepcząc słowa modlitwy. I chociaż kilkakrotnie głośno oświadczyła, że Flynn mnie zostawił, bo bał się, że będę robiła w pieluchy, nie potrafiłam się na nią złościć. Nie mogłam. Kochałam ją jak siostrę i teraz była mi jedną z najbliższych osób.

– Dam sobie radę. Marzyłam o tej chwili. – Uśmiechnęłam się szeroko, wysiadłam z samochodu i z pomocą Memphis dotarłam na ganek.

– Grayson zajmował się twoim trawnikiem, przepraszam, ale kwiatki szlag strzelił. Zupełnie zapomniałam o ich podlewaniu. – Skrzywiła się i wyjęła z torebki pęk moich kluczy.

– A takie ładne były, różowe... – zażartowałam, na co przyjaciółka przewróciła oczami, otworzyła drzwi mieszkania i puściła mnie przodem.

W salonie dostrzegłam ogromny bukiet słoneczników i wyciągnąwszy z niego bilecik, odczytałam życzenia powrotu do zdrowia, nadesłane przez Jodie i Graysona. Poza słonecznikami na stole stały jeszcze trzy inne bukiety, wiklinowy kosz wypełniony wędliną i serami oraz pudełko z cynamonowymi bułeczkami.

– Jedną ci podkrałam – przyznała się Memphis. – Są obłędne.

– To prawda.

– W kuchni są jeszcze dwa bukiety. – Podrapała się po głowie, zabawnie marszcząc brwi. – No i jeden postawiłam w sypialni. Na następne urodziny kupię ci zestaw wazonów, bo słoiki po oliwkach średnio się prezentują – zażartowała.

– Trzymam cię za słowo. – Ułamałam kawałek sera owczego i wsunęłam go do ust.

– Ludzie wsi cię rozpieszczają – podsumowała przyjaciółka, kradnąc moje określenie.

– Aż za bardzo. – Nachyliłam się i powąchałam lewkonie, które znajdowały się w jednym z bukietów.

– Okej, powinnaś się położyć, Olive. Zajmę się twoją torbą z ubraniami i ugotuję jakąś kolację, a ty w tym czasie zregeneruj siły. Dasz radę sama wejść na piętro?

– Tak – zapewniłam i niespiesznym krokiem udałam się w stronę schodów. Chwyciłam się balustrady i zaczęłam wspinać ku piętru. Wróciły wspomnienia, które zaatakowały mnie z porażającą siłą. Widziałam Flynna, jak remontował schody, i naszą pierwszą wspólnie spędzoną noc, gdy czuwaliśmy nad bezpańskim psem. Słyszałam jego kroki, gdy boszo zbiegał z piętra, by rano powitać mnie szerokim uśmiechem, a gdy poczułam zapach migdałowca, wstrzymałam oddech, łudząc się, że po otwarciu drzwi sypialni Flynn będzie tam czekał. Nic takiego nie miało miejsca. Przysiadłam na łóżku, przekonana, że on jednak musi być w pobliżu – przecież zapach był tak bardzo wyraźny. Spojrzałam na bukiet i wszystko stało się jasne. Pośród piwonii i goździków dostrzegłam gałązki różowego migdałowca. Dotknęłam jego delikatnych płatków tak czule, jakbym dotykała ukochanych ust. Tuż pod bukietem stała drewniana figurka żurawia. Chwyciłam ją w dłoń i uważnie się jej przyjrzałam. Flynn wiernie oddał każdy szczegół. Spojrzałam na metalową płytkę, którą przymocował do spodu figurki, i widząc grawer: „Nigdy nie rezygnuj z marzeń”, rozplakałam się, mimo iż obiecałam sobie, że nie uronię już ani jednej łzy. Kolejne, które spłyną po moich policzkach, będą łzami szczęścia. Odstawiłam figurkę i wzięłam do ręki zdjęcie Rachel, które najpewniej było wspomnianym przez Flynną upominkiem

od jego dziadka. Była na nim taka młoda i szczęśliwa. Wiatr rozwiewał jej włosy, a ona siedziała na plaży i uśmiechała się, najpewniej do Harolda. Tknięta przecuciem odwróciłam w dłoniach ramkę i spod fotografii wyjęłam pożółkłą kartkę. Wyglądała jak ta, której brakowało w pamiętniku Rachel. Rozłożyłam ją i odwracając się w stronę słońca, przeczytałam:

1 maja 1951 roku, Penzance

Kochany Pamiętniku,

czasami w naszym życiu dzieją się rzeczy, których nie rozumiemy. Czasami zmuszeni jesteśmy zrezygnować z kogoś, kogo kochamy, ale czy kochając nieszczęśliwie, zmuszeni jesteśmy zapomnieć? Czy będąc porzuconymi, musimy nienawidzić? Jak nauczyć się żyć, gdy serce bije nierówno? Co zrobić, gdy szum morskich fal szepcze jego imię? Jak oddychać, gdy ma się ochotę zachłysnąć powietrzem, które już nim nie pachnie? I chociaż życie boli, to każda miniona noc i każdy dzień, który chyli się ku niej, jest nową nadzieją na to, że „kiedyś” będzie bolało mniej, że „kiedyś” będzie znowu pachniało migdałem, że „kiedyś” będzie miało smak jego ust i dźwięk jego głosu. I choćby tych nocy minęło tysiące, choćby dni trwały wieczność – „kiedyś” nadejdzie, bo jeśli istnieje na tym świecie coś, co może przetrwać wszystko, to jest tym miłość.

Czymże zatem jest wieczność?

Zaledwie chwilą...

Rachel – Ta, której imię znaczy „Cierpliwa”

Złożyłam ostrożnie kartkę, wsunęłam ją za fotografię i odstawiwszy na nocną szafkę, jeszcze raz spojrzałam na zdjęcie babki, szepcząc cicho: „Czymże zatem jest wieczność?”.

.....
* *Bank holiday* – dni ustawowo wolne od pracy.



Epilog

Osiem lat później

Flynn

W barze U Thrudy serwowano pyszne naleśniki z kurczakiem w śmietanie. Lubiałem je. Lubiałem też Thrudy, chociaż trzymałem ją na dystans. Była charakterystyczną osobą, taką, którą najczęściej spotyka się w małych miasteczkach, a Slover takie właśnie było. Otoczone licznymi lasami sosnowymi, usytuowane tak, że dojechać do niego można było tylko własnym transportem. Liczyło zaledwie trzystu mieszkańców i nie miało w sobie nic, co mogłoby przyciągnąć turystów. Było senne i bezpieczne, sama Thrudy zaś miała sporą nadwagę i równie duże serce. Z jej oczu wylewała się radość, która wypełniała wnętrze niewielkiego baru, najczęściej odwiedzanego przez „lokalne moczymordy” – jak zwykła nazywać swoich klientów Thrudy.

– To, co zawsze, skarbenku? – krzyknęła na mój widok, w dłoni trzymając żaroodporny dzbanek z kawą. Skinąłem głową i zająłem stolik, przy którym zwykłem siadać. Zdjąłem czapkę, położyłem ją na obitej dermą kanapie i palcami przeczesałem włosy.

– Liczyłam na to, że przyjdiesz, więc się przygotowałam. – Postawiła przede mną talerz z apetycznie wyglądającym daniem i nałala mi kawy do kubka. – A tak po prawdzie to ten pijaczyna, Hubbs, wspomniał, że odbierasz dziś od niego zamówione drzewo, więc założyłam, że do mnie zajrzesz.

– Dziękuję – powiedziałem cicho, wyjmując sztucę z plastikowego koszyczka.

– Wiesz, w weekend odwiedza mnie moja siostrzenica. Jest wykładowczynią na uniwersytecie, jest też ładna i...

– Jestem zajęty – oświadczyłem, wbijając widelec w ciasto. – Nie szukam związku. Daleko stąd jest ktoś, kto na mnie czeka. – Uśmiechnąłem się, chcąc w ten sposób wynagrodzić Thrudy swoją bezpośredniość.

– Już to mówiłeś, tylko lata płyną, a ty wciąż siedzisz tu sam – zauważyła trafnie. – Szkoda takiego chłopaka. Jesteś młody, powinieneś korzystać z życia i...

Spojrzałem na nią i mocno zacisnąłem szczękę. Musiała bezbłędnie odczytać moje myśli, bo wytarła dłoń w fartuch i siląc się na uśmiech, powiedziała:

– Mój język to moje przekleństwo. Powinam nauczyć się w niego gryźć. – Mrugnęła nieco zabawnie okiem, bo nie opanowała tej umiejętności do końca, i odwróciwszy się, odeszła w stronę baru.

Dzisiejszego południa ruch w barze był niewielki. Upiłem łyk kawy, kuląc ramiona na dźwięk upadających sztućców. Podniosłem wzrok znad talerza, spojrzałem na Thrudy, która głośno i dosadnie zaklęła, i mimowolnie skierowałem wzrok na telewizor wiszący tuż nad barem. Wydawało mi się, że w okamgnieniu przeniosłem się do innej, nieco surrealistycznej rzeczywistości. Wstałem od stolika, podszedłem do baru i poprosiłem Thrudy, by włączyła głos.

– Mówisz i masz, skarbeńku – zaćwierkotała i wyjęła spod blatu pilot. Chwyciłem się krzesła, gdy przestrzeń wypełniła się głosem Olive. Mojej Olive. Patrzyłem, jak z roziskrzonym wzrokiem, który zdradzał ekscytację, opowiada o żurawiach i ośrodku, który prowadzi, by pomóc w odbudowaniu populacji tych ptaków. Spokojnym krokiem oprowadzała kamerę po swoich włościach, a gdy w tle dostrzegłem nazwę „Pod Skrzydłami Żurawi”, moje oczy wypełniły się łzami. Byłem z niej dumny. Tak cholernie i prawdziwie. Pomyślałem wówczas, że było warto i że lata spędzone na tęsknocie nie bolały już tak bardzo, nie w chwili, w której widziałem szczęście w oczach kobiety, której nigdy nie przestałem kochać. W pewnym momencie kamera najechała na niewielką szklaną gablotę, usytuowaną najpewniej na recepcji, i dostrzegłem drewnianego żurawia, którego dla niej wyrzeźbiłem. Przyjemne ciepło pojawiło się w moim sercu. Nogi drżały mi tak, jak nigdy wcześniej. A gdy reporter spytał Olive, jak udaje jej się połączyć pracę w klinice z pracą w ośrodku dla żurawi, uśmiechnęła się szeroko i wzruszywszy ramionami, powiedziała: „Pomagają mi przyjaciele i moja córka”. Tępy ból rozgorzał w moim sercu. Przestałem oddychać.

– Wszystko w porządku, skarbeńku? – Thrudy posłała mi zatroskane spojrzenie, a ja mogłem sobie pozwolić jedynie na skinienie głową. Olive ma córkę... Córkę... Zapewne wyszła za mąż i jest szczęśliwa. To dobrze. Tak powinna być zrobić.

Zasługuje na szczęście – krzychałem w myślach, wciąż nie mogąc oderwać wzroku od jej twarzy. A gdy w kadrze zobaczyłem dziewczynkę z burzą jasnych loków, tulącą się do matki i uśmiechającą w sposób, w jaki ja to robię, niemal się rozsypałem. Była do mnie tak bardzo podobna. Miała te same oczy i zbliżone do moich rysy twarzy. Patrzyła na matkę z miłością, dokładnie tak, jak ja na nią patrzyłem.

– Skarbeńku, stało się coś? – Thrudy położyła rękę na moim ramieniu.

– To moja córka – szepnąłem, czując, jak łzy płyną mi po policzkach. – Ona jest moja – powtórzyłem cicho, wciąż patrząc na ekran telewizora. Thrudy spojrzała najpierw na mnie, następnie na dziewczynkę i znowu na mnie.

– No, jak zrobiona przez kalkę – oświadczyła, a jej śmiech zawirował mi w głowie. – Śliczna dziewczynka, skarbeńku. Trzeba było mówić od razu, że jesteś ojcem, nie trulałabym ci tyłka swoją siostrzenicą.

Horwell wciąż było tym samym miejscem, na obrzeżach którego piętrzyły się farmy. Przekraczając jego granicę, odniosłem wrażenie, że wyjechałem zaledwie wczoraj. Nic się tutaj nie zmieniło. Drogi nadal były dziurawe. Ludzie wciąż poruszali się niespiesznie, a dom, w którym niegdyś mieszkałem i który otrzymałem od prawnika dziadka w dniu dwudziestych pierwszych urodzin, stał tak, jak go zostawiłem. Na froncie w dalszym ciągu widniała reklama usług remontowo-stolarskich, nieco już wyblakła, pozbawiona wyrazistości.

Kierując się w stronę kliniki, dostrzegłem Jodie idącą chodnikiem w towarzystwie męża. Grayson miał na sobie koszulkę z logo ośrodka dla żurawi, więc najpewniej pracował dla Olive. Wyglądali na szczęśliwych. Trzymali się za ręce i posyłali sobie uśmiechy. To pozwoliło mi sądzić, że plan Olive poskutkował. Wiedziałem, że zamierzała spotkać się z Martinem i wymusić na nim, by pomógł Jodie zakwalifikować się na leczenie w zamian za rezygnację Olive z prawa do połowy wartości domu, w posiadaniu którego byli. Chciałem się zatrzymać i wymienić z nimi kilka zdań, ale za bardzo się spieszyłem do mojej rodziny. Rodzina – zasmakowałem tego słowa na języku, delektując się nim i odmieniając je przez wszystkie przypadki.

W dniu, w którym natrafiłem na reportaż o ośrodku Olive, zacząłem analizować ostatnie lata. Uświadomiłem sobie, że gdy opuściłem Horwell i osiadłem w Slover, nadwrażliwość moich zmysłów stopniowo zanikała. Niestandardowe dźwięki stawały się coraz cichsze, aż wkrótce przestałem je słyszeć. Najpewniej straciłem swój dar wraz z narodzinami córki. Stało się zatem dokładnie tak, jak przewidział Harold. Przekleństwo zostało zerwane na dwunastym pokoleniu, na tym, który oznaczał porządek Boży i doskonałość.

Zaparkowałem samochód na podjeździe należącym do domu i kliniki Olive. Tuż przy ganku stał różowy rower. Miałem ochotę podejść do niego i go dotknąć, dotknąć czegoś, co należało do mojej córki. Dochodziła osiemnasta, a słońce wciąż grzało intensywnie. Z tyłu domu dobiegł mnie dziewczęcy śmiech mieszający się z klangorem żurawi. Stałem i przymknąłem oczy. Chciałem zapisać go w pamięci, chciałem nasycić się nim, wypełnić jego barwą pustkę, którą czułem od lat. Właśnie tak brzmiało szczęście. Beztrosko. Brzmiało dzieckiem, żurawiami i nią... Moją Olive.

– Mamo, jest zbyt zimna! Mamo!

– Joy, nie przesadzaj! – Olive śmiała się w cudowny sposób, w taki, który sprawiał, że sam nie potrafiłem się nie uśmiechnąć. Przystanąłem pośród wysokich cyprysów, by móc im się przyjrzeć. Joy, której imię oznaczało radość, biegała po ogródku, chcąc uniknąć kontaktu z zimną wodą przyskajającą z węża, którego w dłoni trzymała Olive. Śmiała się przy tym i krzyczała, a jej wrzaskom towarzyszyły żurawie, przyglądające się wszystkiemu zza siatek swoich zagród. W pewnej chwili Olive rzuciła na trawnik szlauch i idąc w kierunku córki, zadysponowała:

– Jeśli chcesz spędzić noc u Amber, dokładnie podlej kwiatki, dobrze?

– A będziemy mogły zamówić pizzę? – dopytywała, wsuwając za uszy mokre włosy.

– To twoje kieszonkowe, skarbie, możesz z nimi zrobić, co chcesz. – Olive zniknęła we wnętrzu ośrodka, by po chwili wychylić z niego głowę i dodać: – Masz u mnie ogromny kredyt zaufania, jeśli zrobisz coś głupiego, stracisz go, skarbie, a wówczas...

– Tak, wiem, zamkniesz mnie w wieży i pozwolisz mi z niej wyjść, gdy mój warkocz sięgnie ziemi – zachichotała Joy, zabawnie przy tym kuląc ramiona.

– Właśnie – potwierdziła Olive i ponownie zniknęła we wnętrzu ośrodka. Stałem tak przez dłuższą chwilę, przyglądając się córce. Podziwiałem jej włosy, głos, gdy nuciła najnowszą piosenkę Rihanny, i wciąż nie mogłem uwierzyć w to, że jestem tak blisko niej, że wystarczy zrobić krok, może dwa, by stanąć z nią twarzą w twarz. Gdy Joy przeciągnęła szlauch pod cyprysy, wiedziałem, że nadeszła chwila, której bałem się od czterdziestu ośmiu godzin. Zdjąłem z głowy czapkę i zacisnąwszy na niej dłoń, zrobiłem krok naprzód, wychodząc z cienia krzewów. Byłem pewien, że nie wie, kim jestem, bo skądże miała wiedzieć? Olive nie miała pewności, że wrócę, więc nierozsądnie byłoby mówić córce, że tak może się zdarzyć. I gdy stałem taki obcy, zmieszany, patrząc w oczy dziecka, które było częścią mnie, zrozumiałem, że to jedna z tych chwil, które zostaną ze mną na zawsze, których już nigdy nikt mi nie zabierze. Joy rzuciła wąż na trawnik i zastygła w bezruchu. Przez chwilę mierzyliśmy się

spojrzeniami, oboje wstrzymując oddech. Słyszałem świergot ptaków, bzyczenie pszczoły i dźwięk wciąż płynącej wody, ale żaden z nich nie był bardziej wyraźny, wszystkie brzmiały normalnie, tak jak wtedy, gdy miałem osiem lat.

– Dzień dobry. – Skłoniłem głowę, wypowiadając słowa, które z trudem przeszły przez moją gardziel. – Przepraszam, że ośmieliłem się wejść do twojego ogrodu, ale szukam twojej mamy.

Joy patrzyła na mnie, a na jej twarzy malowało się zdziwienie. Delikatnie rozchyliła malinowe usta i gdy chciała się odezwać, ubiegłem jej zamiary.

– Jestem... – Przyjacielem? Nowym sąsiadem? Co powinienem powiedzieć?

– Wiem, kim jesteś – powiedziała cienkim i nieco stłumionym głosem. Pomyślałem, że to niemożliwe, że najpewniej z kimś mnie pomyliła. I gdy tak stałem zagubiony, zmieszany i cholernie niepewny, ona ruszyła biegiem w moją stronę i bez ostrzeżenia rzuciła mi się na szyję. Upadłem na kolana, nie potrafiąc zapanować nad emocjami. Targał mną płacz, gdy dłońmi gładziłem jej plecy. Całując jasne włosy, czoło i nos, zapewniałem, że już nigdy nie odejdę, że od teraz zawsze będziemy razem, a ona wciąż powtarzała, że wiedziała, iż któregoś dnia wrócę, że czekała i nigdy we mnie nie zwątpiła. Rozsypałem się z bólu utraconych lat i ze szczęścia, że w końcu mogę ją mieć, a gdy wstałem, wciąż tuląc Joy w ramionach, dostrzegłem stojącą zaledwie trzy metry od nas Olive, która dłonią zasłaniała usta. Płakała, tak jak i my. Ruszyła w naszą stronę powoli, ostrożnie, jak ktoś, kto nie dowierza temu, co widzi, i gdy miałem ją na wyciągnięcie ręki pierwszy raz od ośmiu lat, z jej ust padły słowa:

– Nie czuję twojego zapachu, Flynn, czy to już koniec?

Roześmiałem się głośno, cały czas trzymając w objęciach wtuloną we mnie córkę i nie mogąc przestać płakać, pokiwałem głową i wyciągnąłem rękę, by móc przygarnąć Olive do siebie. A ona przylgnęła do mnie z siłą, z jaką nigdy wcześniej mnie nie tuliła. Jej płacz mieszał się ze śmiechem, rezonując w moich uszach, i przysięgam, że był to najprzyjemniejszy dźwięk, jaki dane mi było słyszeć.

KONIEC

Grudziędz, 10.01.2023 r.



Polecamy również:





Droga Czytelniczko,
serdecznie zapraszamy Cię do polubienia naszego profilu [WydawnictwoAMARE](#). Dzięki temu jako pierwsza dowiesz się o naszych nowościach wydawniczych, przeczytasz i posłuchasz fragmentów powieści, a także będziesz miała okazję wziąć udział w konkursach i promocjach.

Przyłącz się i buduj z nami społeczność, która uwielbia literaturę pełną emocji!

Zespół
AMARE

Spis treści

[PROLOG](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Epilog](#)

[Karta redakcyjna](#)

Pod skrzydłami żurawi

ISBN: 978-83-8313-634-9

© Monika Cieluch i Wydawnictwo Amare 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody Wydawnictwa Amare.

REDAKCJA: Dominika Synowiec

KOREKTA: Emilia Kapłan

OKŁADKA: Izabela Surdykowska-Jurek



Wydawnictwo Amare należy do grupy wydawniczej Zaczytani.

Grupa Zaczytani sp. z o.o.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: kontakt@wydawnictwo-amare.pl

<http://wydawnictwo-amare.pl>

Publikacja dostępna jest na stronie zaczytani.pl.

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczyk